

AKANT

Biblioteka Główna
Akademii Bydgoskiej
Imienia Cieszyńskiego

ISSN-1429-9054 PKWiU 22.13 Nr Rej. 295 Nr Indeksu 344141 NR 12(77) Rok VI grudzień 2003 cena 4,00 zł (VAT 0)

www.akant.telvnet.pl ✉ e-mail: akant@akant.telvnet.pl

w numerze:

Tadeusz Badowski • Anna Banasiak • Piotr Baranowski • Jolanta Baziak • Emil Biela • Anna Błachucka
Grzegorz Chwieduk • Stanisław Chyczyński • Hubert Czarnocki • Robert Czop • Marek Czuku
Arkadiusz Frania • Halina Gawenda • Leszek Goldyszewicz • Jerzy Grupiński • Krystyna Grys
Jerzy Hłond • Teresa Januchta • Robert Jermacz • Katarzyna Jeziólkowska • Mariusz Klimek
Teresa Kowalska • Beata Kozakiewicz • Zbigniew Kresowaty • Agnieszka Krężel • Tadeusz Lira-Śliwa
Henryk Liszkiewicz • Zdzisław Tadeusz Łączkowski • Leszek Łęgowski • Anna Makles • Paweł Michalczyk
Alojzy Michalski • Anna Mika • Jakub Mikurda • Alicja Mirkiewicz • Ariana Nagórska
Krystyna Nawrocka • Rafał Orlewski • Janusz Orlikowski • Andrzej Orylski • Tomasz Ososiński
Eryk Ostrowski • Stefan Pastuszewski • Wojciech Jarosław Pawłowski • Edmund Pietryk
Beata Anna Pokorska • Maciej Porzycki • Malina Prześluga • Jan Pyszko • Maciej Rewakowicz
Stefan Rusin • Joanna Rzeszotek • Antonina Sebesta • Vit Sliva • Wojciech Sobocki • Alfons Soczyński
Stanisław Stanik • Jerzy Stążka • Danuta Maria Sułkowska • Han Suyin • Lucyna Szubel
Eugeniusz Szulborski • Jolanta Szwarc • Stanisław Szwarc • Jacek Tabisz • Anna Agata Tomaszewska
Stanisław Truchan • Sonia Watras-Langowska • Dariusz Wiśny

Han Suyin

Jak to jest być Chińczykiem (1)

To stało się, kiedy miałam osiem lat i na brzegu morza stawiałam zamki z piasku. Pewnego popołudnia, kiedy nasza mama oddaliła się i ja zostałam sama razem ze siostrami, do naszej drewnianej kabiny, wynajętej na cały sezon i służącej nam za przebieralnię, weszła pewna Europejka i spokojnie zaczęła jej używać. Siostra natychmiast rozplakała się (bo z natury była płaczliwa), więc ja jako najstarsza poczułam się odpowiedzialna. Podeszłam do kobiety, która się właśnie rozbierała i powiedziałam jej: „To jest nasza kabina”.

„Ty wredny, paskudny, żółty bękartie, ty skośnookie g...” – odpowiedziała mi na to i dalej „Jak śmiesz zwracać się do mnie w ten sposób, ty duża Kitajko?”

Wciąż mam ją przed oczami, bez biustonosza, z obwisłymi piersiami i nadwagą, jak wznosi się nade mną niczym jakaś wieża. Wrzasnęłam do niej: „Pani wcale nie ma żadnego prawa, pani wcale nie ma żadnego prawa, żeby tu być” i tak powtarzałam w kółko, raz za razem.

Nie uderzyła mnie. Ku mojemu wielkiemu zdumieniu pozbierała swoje rzeczy i odeszła, chociaż także zaczęła wykrzykiwać coś, czego w tym miejscu nie podobna powtórzyć.

To wydarzenie musiało na mnie jakoś wpłynąć, skoro je tak dobrze zapamiętałam. Ale wówczas byłam ze siebie dumna i zuchwale stałam z rękami wspartymi na biodrach (w ge-

ście, jaki podpatrzyłam u europejskich kobiet), kiedy tamta oddalała się kolebiąc z boku na bok, niczym kaczką.

Mam jeszcze inne wspomnienie. Jesteśmy w kinie „Jaskrawe Światło” w Pekinie. Kupiliśmy bilety, ale jakoś zabrakło foteli w jednym rzędzie i ja musiałam pójść do tyłu, podczas gdy mama razem ze siostrami i z ojcem usiadła przede mną. To wszystko wydarzyło się dlatego, że wówczas panowały silnie antyeuropejskie nastroje. Był rok 1926, czas, w którym brytyjskie i japońskie garnizony stacjonujące w Chinach strzelały i zabijały studentów w Szanghaju i w Kantonie. W Pekinie także kipiało od emocji, lecz mojej mamy nikt nigdy nie skrzywdził, ani nawet jej nie dotknął. Niemniej ojciec w publicznych miejscach zawsze siadał tuż obok niej na wypadek, gdyby komus zechciało się ją opluć. Tak czy inaczej, matka była osobą zupełnie pozbawioną poczucia rzeczywistości. A więc kiedy podczas przerwy mały chłopiec siedzący tuż obok niej wstał i oddalił się, wówczas ona samowolnie zarządziła, abym ja przesiadła się na ten zwolniony przez niego fotel.

„On może sobie usiąść na twoim miejscu z tyłu, kiedy już wróci z toalety” – orzekła.

Zawsze zakładała, że względem Chińczyków można obejść się bez elementarnej kurtuazji, zwłaszcza że w tamtych czasach nikt nawet nie słyszał o kurtuazji względem „głupich >>żółtków<<”. Kiedy chłopak już wrócił i zastał swoje



Na zdjęciu:
Pokaz na stadionie olimpijskim w Szanghaju
Fot. Stefan Pastuszewski

miejsce zajęte, rozbeczał się, bo miał wszystkiego najwyżej dziesięć lat. Mama warknęła na niego: „Tam jest twoje miejsce”, palcem wskazując poza swoje plecy, „Właśnie tam”.

ciąg dalszy na str. 2

ciąg dalszy ze str. 1

„W moim własnym kraju nie będzie mi tu rządziła biała imperialistka” – odwrzasnął chłopiec i usłyszała go calutka widownia, gdyż kiedy on wrócił, w kinie zapanowała martwa cisza. Ludzie wokół nas powstali z miejsc i zaczęli chłopcu klaskać: „Zwróćcie mu jego miejsce, zwróćcie mu jego miejsce!” Ojciec pozieleńiał na twarzy i starał się wyprowadzić matkę. Chłopiec znów zaczął wrzeszczeć: „Wynocha do domu, wynocha do domu, biała kobieto!”

Tłum pokrzykiwał i bił brawo. A ja tam stałam i wiedziałam, że on ma rację, a matka nie. Wówczas pojawił się Chińczyk, dyrektor kina i raptem wszystko ucichło. Ktoś inny ustąpił mi miejsca w przednim rzędzie i sam usiadł z tyłu, a mały chłopiec powrócił na swój dawny fotel. Nie do wiary, że nikt nawet palca nie zakrzywił na moją matkę, lecz kiedy wreszcie opuszczaliśmy kino, wokół nas dosłownie ziało pustką. To jedno z moich najboleśniejszych wspomnień, gdyż później matka całymi dniami jeszcze powtarzała o tych „niegodziwych Chińczykach”, którzy ośmielili się powiedzieć jej „wynocha”. Sądzę, że to właśnie wówczas zaczął się między matką a mną rozdzźwięk. W każdym razie wtedy przestałam znosić jej ciągle napominanie, że powinnam jeść białe pieczywo, gdyż ono wybiela skórę. Do dzisiejszego dnia nienawidzę białego pieczywa.

Kiedy wreszcie zaczęłam zarabiać maszynopisaniem (miałam wówczas czternaście, czy piętnaście lat, ale z moim wzrostem mogłam uchodzić za szesnastolatkę), natychmiast poszukałam sobie nauczycielki, która miała mnie nauczyć czytać i pisać po chińsku. Chciałam studiować, chciałam wstąpić na uniwersytet, lecz przede wszystkim chciałam zgłębić chiński. Włóczyłam się po mieście, stopami rozpoznając jego kurz, kochając jego parne, lepkie dni. Żywiłam się po straganach, tam, gdzie jadali ubodzy (sama zresztą miałam bardzo niewiele pieniędzy).

Moja matka wyrzuciła jednak nauczycielkę, a ja zaczęłam nienawidzić matkę. Wówczas przeszłam — jak wielu innych Chińczyków z licznych generacji przede mną — od rewolty domowej do tej znacznie większej, do rewolty przeciw systemowi niesprawiedliwości i dominacji. Trwało to wiele lat i wcale nie było łatwe. Nie było łatwe, gdyż w moim przypadku chodziło o batalię podwójną. O batalię przeciw zgodzie na europejską dominację w Chinach, przeciw wyrażaniu dłań swojego poparcia, podczas gdy tak naprawdę moje narodziny i moje istnienie były konsekwencją tej właśnie dominacji. Jako Euroazjatka nie byłabym w stanie zarobić grosza, ani też zdobyć

wykształcenia, gdyby właśnie nie ona. Byłam zależna od cudzoziemskiej instytucji, w której mogłam zapracować na swoje studia. Z drugiej strony nie byłam akceptowana przez Chińczyków, gdyż samo moje istnienie było dla nich żywym przypomnieniem o obcych, o tych stale siedzących im na karkach ludziach i o tym imperialistycznym wyszoku, który był dla nich jak nieustanne przyżeganie rozpalonym żelazcem i to na każdym kroku — w sprawach zasadniczych i małej wagi. Kosztowało mnie to bardzo wiele bólu (celowo unikam tu słowa „męka”, które brzmi zbyt melodramatycznie) i wielu długich lat życia.

To dopiero poprzez rewolucję i dzięki rewolucji mogłam w końcu poczuć się stuprocentową Chinką. Dobrze wiem, co czują Chińczycy i we wszystkich sprawach, wielkich i małych ja czuję dokładnie tak samo, jak oni. Największym komplem, jakim mnie kiedykolwiek obdarzono było powiedzenie pewnego chińskiego dziennikarza z Singapuru: „Słuchamy pani, bo mamy wrażenie, że pani puls bije tym samym rytmem, co nasz”. Ta forma niedomówienia była dla mnie największą pochwałą, jaka jest w ogóle na świecie możliwa. Wówczas zresztą moje chińskie wykształcenie było już kompletne, a ja sama wykladałam po chińsku na uniwersytecie w Singapurze. Mimo to zawsze starałam się zachować jasność widzenia po to, aby zrozumieć, co dla innych ludzi oznacza *bycie Chińczykiem*. Wówczas bowiem byłam już aż nadto świadoma, że w oczach Zachodu stereotyp Chińczyka jest bardzo trudny do wypełnienia. To był stereotyp fałszywy, lecz aby móc z nim walczyć trzeba było wpieryw rozpoznać, na czym polegał jego fałsz. Stereotyp należało bez wątpienia zmienić, lecz zmienić należało również samych Chińczyków. Tymczasem tyłu spośród moich przyjaciół, tyłu z tych ludzi, których znałam, poddawało się. Nie trzeba daleko szukać — wystarczy przykład moich sióstr. One poddały się temu, co uznały za właściwy nurt, poddały się niczym leciuteńkie korki, opowiedziały się po stronie bycia całkowicie białymi, chciały „przejsć”, jak to zwykle określano w środowisku Euroazjatów. „Przejsć” było największym życiowym osiągnięciem. Ale ja nigdy i nigdzie nie przeszłam. Jeśli ktokolwiek mógł mieć co do mnie jakąś wątpliwość, wówczas ja z nieugiętym uporem głosiłam swoją własną chińskość.

Z tej też przyczyny wszystko, co uchodziło za obelgę przyjmowałam z zachwytem i czułam się wówczas bardzo szczęśliwa. Kiedy pewnego dnia stałam w kolejce po bilety, uradowałam się, kiedy dwaj Anglicy wepchnęli się do tej kolejki przede mną. Gdybym bowiem była białą kobietą, oni nigdy nie postąpiliby w ten sposób.

Ucieszyłam się, kiedy po wyjściu powtórnie za mąż mój małżonek Anglik musiał wystąpić ze swego klubu, gdyż nie mógł zabierać swojej żony, czyli mnie na klubowy basen, a działo się tak w 1954 roku w Singapurze. Później ten sam klub zaczął w środy organizować „azjatyckie” wieczory, a członkom „pozwolono” przyprowadzać kolorowych gości. Ja i wielu innych singapurskich Chińczyków, zawsze odmawialiśmy uczestniczenia w tych środowych wieczorach. Nie czułam wówczas upokorzenia, byłam wręcz szczęśliwa. Odmowa innych była moim triumfem.

Wciąż jednak pozostawała druga strona medalu, a więc Chińczycy, którzy mnie nie akceptowali. Wkrótce jednak odkryłam, że to oni mylili się, a ja miałam rację. Mnie zaakceptowała rewolucja Mao Tsetunga. Tamci to byli „biali” Chińczycy, ludzie, którzy odcięli się od tego głębokiego i bogatego źródła życia, bez którego dla mnie nie było mowy o istnieniu. Teraz jednak oni także wracają. Wracają stadami. Okazało się, że nie sposób żyć bez korzeni, że w życiu zawsze trzeba wybierać.

Musiałam wreszcie samej sobie zadać pytanie: co sprawia, że ja czuję w taki właśnie, a nie w inny sposób? Dlaczego dokonałam wyboru bycia Chinką? Co to znaczy czuć tak samo jak inni, pojmwować najlżejsze nawet aluzje, wychwytywać te leciutkie smagnięcia niczym delikatne podmuchy bryzy, prawie nie zdolne, aby poruszyć letnie liście, a które są chińskim sposobem

komunikowania przelotnych zdarzeń, własnych uczuć, tego co nie daje się wyrazić słowami, czy co jest niejasne? W jaki sposób w 1942 roku już wiedziałam i byłam tego najzupełniej pewna, że za niedługo wybuchnie rewolucja, że musi wybuchnąć rewolucja? Dlaczego rozumiałam rewolucję kulturalną, kiedy tylu różnych „ekspertów” wówczas zawiodło? Dlaczego teraz czuję, że wreszcie znikły wszelkie bariery, że zostałam zaakceptowana i że już dłużej nie muszę o nic walczyć?

Dlaczego tak układało się moje życie, że nigdy nie byłam w stanie wyjść za mąż za człowieka, który jakoś nie angażowałby się w sprawy chińskie, albo przynajmniej nie czuł sympatii dla Chin? Wiem, że gdyby mój obecny mąż był wrogo nastawiony do współczesnych Chin (naturalnie mam tu na myśli Republikę Ludową), wówczas moja miłość do niego odpłynęłaby niczym wsiąkająca w piach i ginąca z oczu woda, a ja MUSAŁABYM go opuścić.

To wszystko tkwi we mnie tak głęboko, że całe moje życie osobiste i nawet sprawy seksualne zostały podporządkowane temu dominującemu, biologicznemu przymusowi. Tak, w tym bowiem przypadku chodzi naprawdę o biologię. Mój umysł potrafi stać z boku i obserwować, lecz czemuś innemu podporządkowany jest nawet mój talent pisarski, a to coś innego, to moja pełnia.

O tej niezmiernie długiej drodze ku pełni, którą pamiętam etap po etapie, mogę powiedzieć jedynie tyle: Podobnie, jak olbrzym Anteus z greckich mitów, który narodził się z ziemi, ja też potrzebuję chińskiej ziemi, ażeby istnieć. Więdnę, jeżeli przynajmniej raz w roku nie powrócę do Chin. Zmieniam się wówczas tak, jakby wyciekała ze mnie esencja życia. Jadę więc i ponownie odnajduję siły, nie tylko siły fizyczne, ale również psychiczne. Moje pisarstwo jest silnie związane z Chinami. To nie jest tak, że ja nie potrafię pisać o czymś innym, lecz główne źródło, to z którego wytryskuje życie, z którego bierze się bujna wyobraźnia, poezja i wyczucie słowa, z którego biorą się namacalne wrażenia i ostrzeżenia, to wszystko czerpię z kultury chińskiej.

To nie oznacza, że nie doceniam piękna innych słów, czy innych kultur. Nauczyłam się kochać hinduską rzeźbę i muzykę, przyjemność sprawia mi sztuka europejskiego gotyku, lecz zrozumienie i właściwa ocena rzeczy potrzebują fundamentu, potrzebują podstawy. Moim fundamentem nie jest kultura Zachodu i dlatego jedyny wniosek, jaki mi się nasuwa to taki, że moje bycie Chinką to specyficzne ukształtowanie poprzez kulturę, ukształtowanie tak głębokie, konieczne i trwałe, że przewycięża czas i rewolucję.

Kiedy już mowa o tym, że człowiek jest formowany poprzez kulturę, co w istocie stanowi definicję bycia Chińczykiem, to nasuwa mi się pewne głębokie przeżycie. Pojechałam do prowincji Sinkiang, zamieszkałej przez czternaście mniejszości narodowych, przez ludzi o pochodzeniu etnicznym odmiennym od tego, jakie posiadają Chińczycy Han. Tam spotkałam wspomniałych Ujgurów, ten niewielki odprysk turkmeńskich plemion, który w szóstym wieku przygalopował konno z wyżyn Anatolii i wzdłuż Morza Kaspijskiego aż do Chin. To błąd, jeśli narodowe mniejszości w Chinach postrzega się tak, jakby tu były jeszcze przed pojawieniem się Chińczyków Han (Hanowie to ci, których normalnie uważa się za „Chińczyków”, a więc ponad dziewięćdziesiąt procent całej ludności). Ujgurzy pojawili się tu w szóstym wieku, a to, o czym nie wie się zbyt wiele to to, że cesarze z dynastii T'ang, tej najwspanialszej ze wszystkich dynastii chińskich mieli mieszane pochodzenie, łączyli w sobie krew Ujgurów i Hanów. To samo przewija się poprzez wszystkie epoki cesarstwa, ta domieszka (poprzez kobiety) ujgurskiej krwi w żyłach chińskich rodzin panujących. Dziś Ujgurzy są znakomitą przyskładem Euroazjatów, w ich rysach można bowiem

CZYSTY POLSKI KAPITAŁ!

Przedsiębiorstwo Usług Komunalnych

"TARO"

- * wywóz odpadów komunalnych
- * wywóz gruzu
- * wywóz konterenowy
- * realizacja indywidualnych zleceń

86-065 Łochowo, Lisi Ogon 50B
woj. kujawsko-pomorskie
tel. (052) 583 61 43, tel./fax (052) 583 61 42

ciąg dalszy na str. 4



Rzeka

Fot. Grzegorz Korba

ZIMA

Stefan Rusin

Słońce

słyszają twój śpiew
niecierpliwe łapy kreta
języki węży
proch wykrzesający z siebie
życie

moje ciało
poddaje się twojej
muzyce

gdy spacerujesz
po wzgórzach, w morzu,
gdy wchodzisz w szumiące
ściany szerszeni
tańczą dobre duchy
pustynia pełna zachwyków
omdlewa

ciesz się sny
sklonowane robaki
ziemia uwięziona
w lodzie

Alicja Mirkiewicz

Dzień do dnia, noc do nocy
miesiąc do miesiąca
noce w dni zamienione
z lampą zamiast słońca.
Wrzesień i październik –
jesienne oblędy,
ścięty mrozem grudzień
z pociechą kolędy.
Pierwsze sny o wiosnie
pierwsza z wiosną burza
dłuższy dzień od nocy –
odsnieżona dusza.

Vit Sliva

Gdybym był śniegiem

Gdybym był śniegiem, może bym cię, padając,
zdążył odnaleźć w tłumie idących
kupować prezenty;
i przykleiwszy się do twoich rzęs,
tajałbym. – A ty
chłodno byś łzała.

Z czeskiego przełożył Jan Pyszko

Lucyna Szubel

Zimowe przestrzenie

Białe konie białe
kłębam białymi
noc rozbieliły
i białym tętnem
wypełniły
przestrzeń

dudnią
białych koni
kopyta białe
i świstają białe
wzburzone ogony
i grzywy

jakby
ze wszystkich
zamyśleń mistrza
Chełmońskiego

Świat

zaniósł się
śnieżną zamiecią
a rano – taka biała cisza po nich
w kształt galopu tabunów
zastygła

wiatr nie śmie
ich snu
trącić

a może
i ten wiatr wczorajszy
wplótł się w białe grzywy
i zastygł

sama nie wiem
zima to czy
obraz

Grzegorz Chwieduk

Śliska sprawa

tak się zrobiło ślisko że mijani obcy ludzie krzyczą wniobogłosej
informując mnie o udaremniionych guzach śniegu prawie nie ma
choć święta czuć rozkraczone starsze panie narzekają na służby
odpowiedzialne za stan chodników niektórych właścicieli drogich
czterech kółek widzę w dziwnej bliskości i to na nogach świat
regionalnego klimatycznego przewrotu zafundował prawdziwą
niespodziankę nie takich lodów na patyku wszyscy się spodziewali
dzięki temu dziewczyny obracają się ku ziemi i nie bujają w obłokach



Fot. Alojzy Michalski

dokonanie ze str. 1

dostrzec przodków z plemienia Han, a także przodków o rodowodzie turkmeńskim. Zachowali własną tradycję, kulturę i obyczaj, lecz oni również są Chińczykami. Przebywając wraz z nimi uświadomiłam sobie, że Chiny nie są monokulturowe, że tkwi w nich bardzo wiele kultur. Oraz i to, że znajdujemy się u progu ekspansji tej wielokulturowości, stoimy u progu nowego internacjonalizmu. Istnieją zatem dwa schematy, a nie jeden, a więc *schemat stary i schemat nowy*, ten, który powstał już po rewolucji. Obecnie każdy Chińczyk powinien dokonać *wewnętrzny wzrostu*, powinien pozostać tym, kim jest i jednocześnie rozwijać się, i to jest właśnie sens tej rewolucji. Renesans i przemiana. Ujmując rzecz prościej, bycie Chińczykiem oznacza ciągłość i przemianę jednocześnie.

Ciągłość! W żadnym chińskim umyśle nie powstało nigdy nawet ziarno wątpliwości, czy obecna rewolucja nie zerwała przypadkiem z chińskim schematem kulturowym. Taka teza, dzisiaj zdolna wywołać jedynie huragan urągłego śmiechu, została niegdyś wyrażona przez mędrców z amerykańskiego Departamentu Stanu, ludzi w rodzaju Achesona i Ruska (czy ktoś ich dzisiaj jeszcze w ogóle pamięta?). Lecz ja nigdy w życiu nie słyszałam, aby tę tezę wypowiedziano kiedykolwiek po chińsku, aby ją wypowiedział zwyczajny chiński obywatel, mimo iż Cziang Kai-szek w swoich oficjalnych przemówieniach bardzo się o to starał (choć nikt go nie

słuchał). Chińskość chińskiej rewolucji jest dzisiaj oczywista i taką samą byłaby także i ćwierć wieku temu, gdyby ktokolwiek pofatygował się wówczas przeczytać Mao. Chińscy komuniści całymi latami powtarzali, że myśl Mao to „marksyzm-leninizm zaadaptowany do konkretnej sytuacji Chin”. W tej formule mieściła się również ciągłość chińskiego wzorca kulturowego. Nie oznacza to jednakowoż, że naśladowano wszystko, co zostało osiągnięte w przeszłości, że nadeszła pora neokonfucjanizmu. To oznacza jedynie tyle, że aby pojąć dialektykę oraz nowe terminy z zakresu polityki, trzeba je było wpiąć w chińskie koncepcje i przykłady. Tę właśnie robotę wykonał Mao, a mój własny przypadek jest dokładnie taki sam, jak milionów innych Chińczyków. Mimo, iż miałam europejskie wykształcenie, ani w ząb nie pojmowałam Marksa (po dzień dzisiejszy nie przeczytałam go w całości), póki nie przeczytałam Mao. Czytając Mao zrozumiałam wszystko, gdyż zostało to przedstawione i zilustrowane przykładami zaczerpniętymi z historii Chin. Wątpię, aby praca dokonana przez Mao, to przetłumaczenie komunizmu na bogaty i barwny język, jaki naród chiński tak bardzo uwielbia, została kiedykolwiek w pełni doceniona. Myślę, że nie udało się to nawet wielu chińskim komunistom i dlatego liczne deklaracje polityczne samym nawet Chińczykom wydawały się nieraz zupełnie niestrawne. A tymczasem Mao przez cały czas wypowiadał wojnę „obcym stereotypom”, głosił, że w celu zmiany systemu koniecznie trzeba zwrócić się ku obfitym źródłom chińskiej kultury, wciąż obecnym pośród narodu chińskiego. Czyli innymi słowy przemiana na fundamencie ciągłości. Uważam, że dziś osiemset milionów Chińczyków już to pojmują. I na tym właśnie polega ten istotny fenomen, jaki dziś przeżywamy.

Ciągłość zakłada historyczność, czyli świadomość historii, a ja dodatkowo rozumiem przez to jeszcze głębsze uczucie. Kiedy Europejczycy grzebią we własnej historii, zwykle czynią to w szkołach i uważają ją za coś poniekąd obcego, gdy tymczasem każdy Chińczyk jest bardzo silnie związany ze swoją historią, a ta liczy już sobie trzy tysiące lat. I tak dzieje się nieustannie, aż do dzisiaj.

Nikt nie jest Chińczykiem wskutek takiego oto przywileju, iż urodził się ze skośnymi oczami i z mongolskiego pnia, bo jeśliby rzeczywiście tak było, wówczas moglibyśmy wskazać na przeważającą część Wietnamczyków, Koreańczyków i Japończyków jako na „dodatkowych Chińczyków”, a to już byłaby kompletna bzdura. Poczucie chińskości nie jest i nie może być pocuciem raso-

wym, gdyż wówczas byłoby autodestruktywne. Poczucie chińskości jest ponad wszystko poczuciem wspólnoty historycznej, a także głęboką świadomością tego, że człowiek sam stanowi małą cząstkę historii.

Ta świadomość historycznej ciągłości jest cechą szczególnie chińską, której zupełnie nie znalazłam na przykład w Indiach. Być może dlatego właśnie Hindusi jako jedna wspólnota mają tak niewiele historii pisanej. Cechą, która wyróżnia wzorzec chiński jest skrupulatny zapis wydarzeń, tworzących kulturową jedność i sięgających ponad dwa tysiąclecia wstecz. To jest ta skrupulatna i niemal niespokojna troska, z jaką pokolenia uczonych prowadziły zapiski, a mniejsze i większe miasta pisały swoje własne kroniki. To koncentrowanie się na archiwach, to tworzenie ogromnych encyklopedii i odnotowywanie „wszystkiego pod słońcem” jest cechą wyróżniającą, ściśle powiązaną z naszą obsesją pokoleń! Żaden Chińczyk nie żyje wyłącznie sam z sobą i dla siebie. Tak nie czyniono nigdy i tak nie czyni się nawet dzisiaj. My tkwimy w naszym kontekście pokoleniowym, lecz jednocześnie również poza nim. Czujemy, że ciągłość historyczna jest tym, co również i nas nieustannie ogarnia.

Mój bliski znajomy, mieszkający w Chinach, który bardzo ucierpiał podczas rewolucji kulturalnej, tak oto mi powiedział: „Tak, naciępięciem się, ale już wówczas myślałem, że chociaż to, przez co przechodzę jest niesprawiedliwe, to robię to dla przyszłości. Robię to dla naszych dzieci i dla ich dzieci”. Jakże on potrafił powiązać prześladowanie, przez jakie przeszedł (choć dziś, podobnie, jak wielu innych urzędników, jest już nie tylko w pełni zrehabilitowany, lecz nawet awansował za to, że natychmiast pojął swoje osobiste cierpienie we właściwym kontekście historycznym) z ostatecznym wzrostem świadomości, czyli z korzyścią dla następnego pokolenia? A tymczasem on tak naprawdę nawet nie myślał o swoich rodzonych dzieciach, gdyż takowych nie ma. Kierowało nim głęboko chińskie przeświadczenie o tym, że istnieje coś takiego, jak historyczna ciągłość w czasie i w przestrzeni, że istnieją takie sekundy czy minuty, być może nawet umykające opisowi i prawie zawsze anonimowe, w których nam przychodzi odegrać swoje życiowe role. Jedyną zaś nieśmiertelnością i jedyną satysfakcją może być właściwe odegranie tych naszych ról, jakie by one nie były i koniec na tym. ■

Ciąg dalszy nastąpi

Z angielskiego przełożyła Teresa Kowalska

Emil Biela

Motyle

(fragment powieści)

Patrzył na wypiętrzone pięknie chmurami niebo, na ogrody obłoków opadające tarasami na obrzeż widnokregu. Widział, jak schodzi nimi jego dziadek, który utopił się przed tygodniem w wannie. Gdyby nie zamknięto go w klatce mieszkania na szóstym piętrze, gdyby nie zmuszano na siłę do cotygodniowych kąpeli żyłby sobie z pewnością nadal wesoło i beztrudnie, lekko się zataczając, bo nigdy nie wypijał więcej niż ćwierć litra wódki lub flaszkę wina.

Teraz Dominik widział go znowu wesołego, stąpającego tanecznie przez niebieskie ogrody. Sąsiadami się już nie martwił, śpiewał sobie wesoło, najgłośniej jak potrafił. Pić nauczył się na robotach we Francji, gdzie przed wojną jeździł kilkakrotnie i pracował w dużym gospodarstwie rolnym. Właściciel nie żałował wina Polakom, bo lubił patrzeć na wesołe twarze. Mówił, że krótki śmiech jest sto razy dłuższy, niż godzina płaczu. Gdy niedawno Dominik zapytał dziadka, co sprawiłoby mu największą przyjemność, to powiedział, że powrót do Bretanii, do wina, które tam nie musiał kupować. Pewnie po śmierci dziadkowi dusza pojechała bez wizy i paszportu do francuskich winnic... Dominik był o tym święcie przekonany i trochę dziwił się, że widzi teraz dziadka wędrującego po niebieskich tarasach. Czyżby złudzenia były najlepszą prawdą? Bardzo możliwe.

Myśl o dziadku budziła nieodmiennie w Dominiku największe jego pragnienie. Chciał porzucić uładowaną pracę, jej ściśle wylczone i przestrzegane godziny. Marzyła mu się jakaś pionierska robota. Niechby w ziemi, pod ziemią, w skałach, w lesie, w puszczy na wodzie... Niechby wymagała wielkiego wysiłku fizycznego, żeby nie było czasu starannie ogolić brody, jeść w pokoju na białym obrusie... Niechby zakończyła się zwycięstwem, po latach nawet. Dominik wypatrywał od dwudziestu lat takiego zajęcia, ale bezskutecznie. Chciał zaprząć swój los do innych koni. Ale czy cudze konie, tak piękne z daleka, potrafią ciągnąć wóz z pożyczonymi kołami? ■

Ariana Nagórska

Mikrodialogi autentyczne

* * *

- Czy ci krytycy i literaci, którzy ani słowa nie mówią o „Akancie”, mogli go rzeczywiście nigdy nie czytać?
- Jeśli tych gawędziarzy tak na amen zatkało, to musieli czytać niejedną raz!

* * *

- Jakiej książki nie życzyłaby pani najgorszemu nawet wrogowi?
- Książki mojego autorstwa.
- O?!...Tak skromnego autora nie spotkałem nigdy dotąd!
- Skromnego? Raczej litościwego. Wróg z zawiści cierpiałby takie męki, że nie mogłabym tego znieść.

* * *

- Na przyszłość proszę, by w listach skupiła się Pani wyłącznie na tym, na czym się Pani rzeczywiście najlepiej zna, to znaczy na moich utworach.

- Z taką specjalizacją nie mam żadnej przyszłości. Ten list jest ostatni.

* * *

- Który poeta na redakcyjnym stołku ma pani zdaniem najmniej talentu?
- Niewiadomski.
- Nomen omen...Nie wiem, kto to. Co napisał?
- „Niebylica”.

* * *

- Czy pod groźbą rewolweru wolałabyś zaprenumerować „Kresy”, czy „Odrę”?
- Wolałabym podnieść ręce do góry, bo w tej pozycji zaprenumerować nie można!

* * *

- Czy nie lepiej, że Nike dostał Rymkiewicz, niż Masłowska?
- A karawan od inter-city też byś wolał?

Sonia Watras-Langowska

Uczeń i mistrz

„W gabinecie Tuwima, w powojennym mieszkaniu na Nowym Świecie, wisiały na ścianach portrety trzech poetów. Był tam portret Leopolda Staffa (...) oraz dwa sztychy: Mickiewicza w złoczonej ramie i Kochanowskiego. Te trzy podobizny stanowiły więcej niż deklarację poetycką autora „Rzeczy czarnońskiej” i gawędy o „Wierszu nieznanego poety”. Kochanowski – to było powinowactwo z wyboru, Mickiewicza kochał miłością wielką, dojrzałą (...) Swoją stosunek do Staffa nazwał Tuwim w liście do siostry „obłędem Staffowskim”. Dodajmy: obłędem serca”¹.

27 grudnia bieżącego roku przypada 50. rocznica śmierci Juliana Tuwima, jednego z najwybitniejszych poetów dwudziestolecia międzywojennego, przedstawiciela legendarnej grupy Skamandra. Oceniając jego dzieło z perspektywy nieomal wieku, trzeba by uzupełnić poprzednie zdanie, stwierdzając ze zdumieniem, że nikt przed nim nie komponował wierszy tak wszechstronnie wykorzystujących tkankę fonetyczną polszczyzny, nikt także z nadchodzących po nim poetów nie poszedł jego tropem, czyniąc ze słowa nie tylko narzędzie pracy poetyckiej lecz, materię, pozwalającą przezwyciężyć historię, zmienność, śmierć, a poprzez - jak pisze autorka „Filozofii słowa” Juliana Tuwima Jadwiga Sawicka - „(...) poetycką magię słowa (...) opanować współczesność i osiągnąć raj słowa pierwotnego”².

Spuścizna Tuwimowa jest olbrzymia: W jej skład wchodzi m.in. *Juwienilia*; debiutancki tom poezji z 1918 roku - *Czyhanie na Boga*, zbiór wierszy z 1922 r. - *Sokrates tańczący*, tomik z 1924 r. - *Siądła jesień*, *Wierszy tom czwarty*, zawierający fantazję poetycką, *Słopiewnie*, której przyswiecała myśl o rekonstrukcji pierwotnego języka słowiańskiego, a także wydany w 1926 r. tomik „*Słowa we krwi*” recenzowany przed wojną przez Karola W. Zawodzińskiego, który charakteryzując go, uwypuklił tendencje do niezwykłego i uderzającego rymu, aliteracji, upajającej melodyki wierszy tam zamieszczonych³.

W 1929 ukazała się „*Rzecz czarnońska*” - zbiór liryków - w których Tuwim oddał hołd Kochanowskiemu, zamieszczając tam wiersze sielskie oraz utwory, traktujące o trudzie tworzenia. W 1933 r. została opublikowana „*Biblia cygańska*”. Esencją wirtuozerii poety jest z pewnością „*Treść gorejąca*” - tomik z 1936 r. zawierający utwory pod względem eufonicznym i wersyfikacyjnym doskonałe, jak np. omówiona przez Ireneusza Opackiego „*Zadymka*” czy miniatura poetycka „*Dar*”, charakteryzowana przez piszącą te słowa.

„*Treść gorejąca*” wzbudziła chyba największe emocje krytyki przed i powojennej. Niektórzy, analizując *Zieleń* - fantazję słowotwórczą - uznali kolejną metamorfozę mitu zapoczątku poety za jego dziwactwo. Nawet znany apologeta twórczości Tuwima - Karol W. Zawodziński tym razem nie napisał peanów pod adresem poety. Wiersz krytykował po wojnie Mieczysław Jastrun, obronił go dopiero Michał Głowiński pisząc, że ten „(...) najsilniej zracjonalizowany wiersz Tuwima” jest najbardziej „norwidowskim wierszem poety”⁴.

Niewątpliwie najtrudniejszy do umiejscowienia w czasowym dorobku autora „*Siądła jesieni*” jest napisany w 1936 roku „*Bal w Operze*” - majstersztyk poezji polskiej, w całości opublikowany w czterech kolejnych numerach „*Szpilek*” dopiero w dziesięć lat po jego powstaniu. Przed wojną *Bal* był drukowany jedynie we fragmentach, ponieważ - z uwagi na krytykę przedstawionej tu warstwy politycznej oraz totalne szyderstwo z upadłego moralnie „wielkiego” świata finansjery - ówczesna cenzura nie zezwoliła na jego publikację.

Występujący tu bohaterowie, jako żywo przypominający postaci establishmentu lat trzydziestych, ukazane są w krzywym zwierciadle upojnej zabawy:

„(...) Esterhazy, w sztok zalany,
Zrobił z wędlin przekładańca

*I na wszystkie strony pchany
Klaps go w talerz Donny Diany(...)*”

Groteskowe zniekształcenie świata, wypełnionego niemoralnymi do szpiku kości figurami, przywodzi czytelnikowi na myśl, uczy i igryska Kaliguli.

„(...) Brzuchem do czarnego gacha
Babilońska trzęsie swacha,
Chrzęszcząc w drgawkach, z małpim krzykiem,
Bananowym nabiodrnikiem,
Centaur włazł na Centaurzycę(...)”

Zważywszy pamięć o niechlubnym końcu cywilizacji Babilonu czy Rzymu, nie dziwi odbiorcy eschatologiczna rama, w którą ujęty został „*Bal w Operze*” - wizja zagłady, zaczerpnięta z Apokalipsy św. Jana.

Gdzieś opodal tej szaleńczej zabawy, do której - krocząc po purpurowym dywanie - zmierzają wyfloczone damy w futrach, wynurzające się z nadjeżdżających Buicków, Royców, gdzieś niedaleko wywijającej biodrami „oblanej srebrną lamą” Satanelli - gwiazdy tego wieczoru, znajduje się równoległy, dość bliski sensualnie, świat. Okolica, po której przechadzają się sylwetki typowe dla krajobrazu pogrążonego w chaosie państwa, np. tajniacy:

„(...) Na ratuszu bije druga,
Na tajniaka tajniak mruga,
Na widowni i w sznurowni
I pod dachem i w kotłowni
I pod sceną i w bufecie,
Na galerii i w kłozecie,
W kancelarii i w malarni
I w dyżurce u strażaka
Mruga tajniak na tajniaka(...)”

czy prostytutki:
„(...) Z facjatyki budy drewnianej
Tłusta panna wygląda:
-Która godzina g...rzu?
-Piąta, k...o, piąta...(...)”

W czasie, gdy trwa bal - orgia, opodal toczy się jednocześnie egzystencja szarych, biednych ludzi, żyjących gdzieś za miastem, na wsi, rozpoczynających swą codzienną orkę o trzeciej nad ranem, jadących zarobić na kawałek chleba do stolicy. Gdzieś na horyzoncie wizji poety ukazują się żołnierze rozpoczynający ćwiczenia ze śpiewem na ustach:

„...że na tobie giną, że na tobie giną chłopcy
malowani(...)” - i w tym miejscu odzywa się echo ironii z pacyfistycznego wiersza Tuwima „*Do prostego człowieka*”...

Wreszcie budzi się dzień, a w różowo - popielatych smugach rodzącego się poranka ukazują się zarysy sztucznoty witryny przedmieścia:

„(...)Chaplin, z dykty wycięty,
Krzywo stoi przed kinem(...)”

„(...)Na potłuczonej szybie
sklepu z konfekcją „Lolo”
Widać kawałek gazety:
Literary IDEOLO...”⁵

Słowo widniejące na skrawku urwanej gazety, „ideolo”, to symptom zdeformowanej rze-

czywistości, ukazującej marność wszelkiej propagandy, uprawianej przez grupę społeczną, będącą u władzy. „*Ideolo*”, wystające spod kawałka potłuczonej szyby, jest tu symbolem odwiecznego kłamstwa słów - hasel, mających usprawiedliwić: „szarpanie ojczyzny deklinacją, ludzenie kolorowym godłem i judzenie historyczną racją”⁶. „*Ideolo*” sąsiadujące z dekoracją prowincji „wędruje” w wierszu w kontekst wojen, na której giną niewinni ludzie omamieni ideologią, potem „*Ideolo*” stanowi doskonałą kotarę dla „robienia” robaczywych pieniędzy.

W *Balu*(...), gdzie dociera zdeformowane morfologicznie „*Ideolo*”, słowo „czka” coraz częściej, stanowiąc - obok cynicznej warstwy znaczeniowej - element rytmu pijanego i kolebającego się towarzystwa upiornej zabawy. Bohaterowie *Balu w Operze* „*Śpiewają*” sami swoją melodię i „*tańczą*” według różnych rytmów, dzięki którym czytelnik dostrzega kontrasty pomiędzy poszczególnymi częściami utworu; eufonia dynamizuje bal - wszystko wiruje - ale eufonia również spowalnia, „*tnie*” ten utwór na krótkie, filmowe, dokumentalne scenki. O *Balu w Operze* napisano wiele recenzji, esejów, ale nikt nie ma wątpliwości: to perełka warsztatu poetyckiego Juliana Tuwima. Perełka poezji polskiej!

Wymieniając część dorobku poezji wysokiej twórcy, nie sposób nie napomknąć o wydanym w 1949 r. w Polsce poemacie *Kwiaty polskie*, którego niektórzy filolodzy opatrują etykietą utworu, pod względem eufonicznym, doskonałego. Inni znów nie odnoszą się do niego z takim nabożeństwem. Faktycznie *Kwiaty polskie* kojarzą się chyba wszystkim z kultową piosenką śpiewaną przez Ewę Demarczyko: pt. *Grande val-se brillante*, w której wykorzystano fragment wiersza Tuwima z „*Kwiatów Polskich*”, zaczynający się od słów „*Czy pamiętasz, jak ze mną...?*”.

Obok poezji wysokiej - noszącej piętno twórczości Staffa, Rimbauda, Verlaine'a, Baudelaire'a. Whitmana, Heinego, Słowackiego i wielu innych - w której pojawił się inny język, nowy bohater, nowa sceneria i nowe dekoracje, absolutnie różne od preferowanych przez młodopolskich antenatów muzy Apollina, oprócz zebranych w kilku tomach utworów dla dzieci z perfekcyjnie zastosowaną instrumentacją głoskową i z nowym eklektycznym rytmem, takim jaki został skomponowany i użyty w znanej chyba wszystkim *Lokomotywie*, i wybornej pracy translatorskiej - m.in. poezji rosyjskiej: K. Balmonta, W. Briusowa, A. Puszkina (*Jeździec miedziany*, *Lutnia Puszkina*), W. Majakowskiego (m.in. *Obłok w spodniach*), adaptacji i przekładów z Gogola (*Rewizor*, *Płaszcz*, *Ożenek*) czy tłumaczenia *Słowa o wyprawie Igora*, autor *Balu w Operze* parał się również pisarstwem kabaretowym i to od wczesnej młodości.

„(...)Twórczość Tuwima w zakresie kultury i rozrywki stanowi dziedzinę samodzielną - pełnoprawną i paralelną w stosunku do poezji „wysokiej”⁸. Poeta współpracował z wieloma kabaretami, których ożywienie łączyło się z chwilami kołysu sytuacji gospodarczej. Pierwsze jego teksty satyryczne recytowano z desek łódzkiego „*Bi - Ba - Bo*”. A po wyjeździe z rodzinnej Łodzi i przeprowadzce do Warszawy, w latach 1919 -1932 zapowiadał je arcykonferansjer najsłynniejszego kabaretu dwudziestolecia międzywojennego: „*Qui pro quo*”, Fryderyk Jarosy. Nadto przez kolejne dwa lata Tuwim współpracował z kabaretem „*Banda*”, z „*Cyrulikiem Warszawskim*”. Pisał teksty do „*Mirażu*”, „*Sfinkska*”, „*Stańczyka*” i „*Perskiego Oka*” oraz do założonego niemal w przededniu wojny „*Ali-Baby*”.

Jadwiga Sawicka pisze o twórczości kabaretowej autora „*Balu w Operze*” tak: „(...) Ta sfera działalności, poza wszystkim, prawdopodobnie bawiła poetę, wciągała w odmienną sytuację nadawczo - odbiorczą... O teksty kabaretowe nie dbał, pisał je pod wieloma pseudonimami, które, choć łatwo rozszyfrowywane, stanowiły przecież formalny podział na dwie piszące osobowości⁹.

W piosence autor „*Czyhania na Boga*” zasłynął przede wszystkim jako twórca tekstów raczej sentymentalnych, pisanych specjalnie dla Hanki Ordonówny. Mało kto dziś pamięta, że wielki szlagier „*Miłość ci wszystko wybaczy*” wyszedł właśnie spod pióra Juliana Tuwima. Ledwie tu dotykając tematyki twórczości kabaretowej autora słów do piosenki *Na pierwszy znak*, nie można nie wspomnieć o szopkach, których był współautorem, o spektaklach, w których występowały wszystkie ówczesne znakomitości świata polityki i kultury, a także o napisanym w 1936 roku wspólnie z Hemarem wodewilu pt. „*Kariera Alfa Omegi*”, którego rysów charakterystycznych dostarczyła sylwetka znakomitego polskiego tenora, Jana Kiepury.

Po wybuchu II wojny światowej Julian Tuwim podzielił los wielu emigrantów.

W obliczu zbliżającej się zagłady w 1939 roku wyjechał przez Rumunię do Francji. Później do Portugalii, stamtąd przedostał się do Brazylii, a w 1942 roku przyплыł do Nowego Jorku. W Stanach Zjednoczonych związał się z lewicą demokratyczną, której patronował Oskar Lange i, niestety, ta współpraca mocno nadwątlila przyjaźń kolegów – emigrantów, skupionych wokół niegdysiejszego *Skamandra*. Ich drogi, którymi niegdyś wspólnie kroczyli, rozeszły się na zawsze.

W 1946 roku Tuwim wrócił do Polski witany przez ówczesne władze z honorami „(...) i od tego momentu można mówić o nowym akcie dramatu poety(...)”¹⁰.

Podobno przyjechał pełen zapału, wiary i twórczych pomysłów. Pełen entuzjazmu dla nowego ustroju. Pisał, że przyjeżdża do „*Polski Lublina*”, że „(...) chce rzeczywistość akceptować, a nie negować jak w latach trzydziestych. Można więc mniemać, że służy odmówiła tylko nieprzekupna muza poety(...)”¹¹.

W tym miejscu wielbiciele poezji Tuwima, powinni „opuszczać swój róg” i przerwać opowieść o znikomej twórczości oryginalnej okresu postemigracyjnego. Siedem ostatnich lat życia poety sprowadziło na niego (zresztą nie pierwsze) napastliwe i szydercze ataki jego antagonistów, których oddziaływanie okazuje się do dnia dzisiejszego tak silne, że spoglądając z perspektywy czasu nieprzychylnego dla literatury wysokiej, ma się wrażenie, że autor „*Balu w Operze*” po swej śmierci powędrował do jakiegoś czyścica, z którego wciąż nie może się wydostać do nieba, a na które z pewnością sobie zasłużył.

Treścią tego artykułu nie jest jednak analiza chwil słabości pikardczyka po powrocie z emigracji do kraju. Idea, która przyświeca tej wypowiedzi, przypominającej, w gruncie rzeczy dość pobieżnie jego dzieło, jest jego relacja z mistrzem, którego miał szczęście w życiu spotkać:

Otóż zamiast pokazywać ciemne strony tych siedmiu chudych lat, które niewątpliwie w jakimś innym miejscu i o innym czasie trzeba będzie starannie zanalizować, należałoby rzec, że przyjeżdżając z Ameryki, autor „*Zieleni*” zdążył się w jakiś sposób odwzajemnić Leopoldowi Staffowi – człowiekowi, który okazał mu moc serdeczności i kto wie – jak bardzo pomógł w narodzinach poety, Juliana Tuwima.

Wszyscy badacze twórczości autora „*Siódmej jesieni*” podkreślają jego perfekcyjny warsztat poetycki. Nawet antypanegirysta Jan Marx w swojej książce „*Skamandryci*” pisze o Tuwimie: „(...) Nie był poetą metafizycznym, ale był fascynatorem i poetą olśniewających iluminacji. Czarnoksiężstwo słowa jest w poezji wartością autonomiczną. I semantyczne niespodzianki zderzeń między słowami oraz doskonałość eufoniczna wielu wierszy Tuwima stawia go na pierwszym miejscu wśród poetów tego stulecia(...)”¹².

Należałoby zatem zerknąć na początki tworzenia się tego warsztatu, którego niewątpliwie skamandryta był kreatorem, ale powiedzmy szczerze, bez inspiracji Leopolda Staffa, bez jego pozytywnych wzmocnień, uwag krytycznych ów warsztat mógłby wyglądać zupełnie inaczej, bądź – co gorsza – zważywszy nieco neurotyczną naturę Tuwima, jego wiersze mogłyby nie ujrzeć światła dziennego w ogóle.

Zatem można by stwierdzić, że ledwie kłującej się muze Tuwima dopomógł talent, jego własne pasje i odwzajemnione zafascynowanie Staffem i jego poezją.

Rozpiętość zainteresowań autora „*Treści gorącej*” była olbrzymia, nie sposób wymienić wszystkich dziedzin życia, które od wczesnych lat młodości, niczym staranny naukowiec, brał pod lupę i badał wywracając na nice słowa i ich dźwięki. Oto jak tworzył się załazek owego perfekcyjnego warsztatu:

„(...) Pozbawiony możności odkryć w dziedzinie nauk przyrodniczych, a palając nieposkromioną żądzą zaniebdywania za wszelką cenę i wszelkimi sposobami obowiązków ucznia klasy piątej Łódzkiego Gimnazjum Męskiego, zabrałem się z całą wrodzoną pasją do pobocznego bzik: do studiów lingwistycznych, polegających na wyławianiu z dzieł podróżniczych słówek z języków „egzotycznych”. Bez żadnego porządku (...) zapiełem kajety tysiącami wyrazów w setkach języków azjatyckich, afrykańskich, oceanicznych(...)”¹³.

Wspominał Tuwim, że pewnego razu wpadła mu w ręce książka wydana przez Towarzystwo Biblijne z przekładem werseu z Ewangelii na kilkaset języków. Na widok tego rarytasu zwrócił się do ojca, który napisał list do Lipska z prośbą o przysłanie katalogów dzieł lingwistycznych. Katalogi przysłano, a młody pasjonat dziwnie brzmących słów zabrał się do pracy.

Po latach poeta pisał, że z podkreśleń i odnośników było widać, że doszukiwał się analogii etymologicznych najbardziej obcych języków. W celu ujrzenia jakichkolwiek podobieństw fonetycznych młody adept nauki o pochodzeniu wyrazów ułożył listę liczebników od jednego do dziesięciu w dwustu językach(sic!). 12 maja 1910 roku sprowadził do domu małego Chińczyka, który dawał występy zonglerskie w Łodzi, nucając przy tym jakąś piosenkę. W zapiskach późniejszego poety pojawiła się transkrypcja owej piosenki wraz z chińskim podpisem sztukmistrza. Autor „*Z wierszy o Małgorzatce*” i wielki admirator poetki cygańskiej – Papuszy wcześniej zetknął się z Cyganami. Pierwszy słowniczek wyrazów cygańskich sporządził po rozmowie z Romką – Marią Gajewską.

We wspomnieniach z 1936 r. Tuwim o swoich wczesnych penetracjach lingwistycznych pisze z rozbrajającą szczerością: „(...) Takie to były moje studia językoznawcze w r. 1910. Nie zmieniły się ani nie spoważniały dotychczas(...)”¹⁴. Nie można więc odmówić racji autorce „*Filozofii słowa*” Juliana Tuwima, która przyglądając się ogólnym zainteresowaniom językowym twórcy „*Czyhania na Boga*”, mającym wpływ na kształtowanie się warsztatu poetyckiego poety, skrupulatnie

wyszczególniła obszary wiedzy o języku, które leżały w kręgu zainteresowań skamandryty, wymieniając na pierwszym miejscu etymologię. Natomiast trudno jest zrozumieć, dlaczego eufologia, jako przedmiot zainteresowań Tuwima, znalazła się aż na szóstym miejscu tej listy, choć zainteresowania fonetyczne korespondowały przecież równolegle z pasją etymologiczną.

„(...) Owe młodzieńcze studia lingwistyczne naprowadziły (...) mnie na myśl o języku międzynarodowym. Nauczyłem się esperanta – i esperantu zawdzięczam pierwszy mój kontakt z Leopoldem Staffem. Bo w tym samym właśnie lingwistycznie – esperanckim okresie zacząłem czytać jego wiersze i tłumaczyć je na esperanto(...)”¹⁵.

Późną jesienią 1910 r. Tuwim po raz pierwszy zetknął się z książką pt. „*Wybór poezji*”, w której zamieszczony był portret autora – Leopolda Staffa. Przeczytał wiersze raz i drugi: *Sny o potędze, Dzień duszy, Ptakom niebieskim*. I, jak pisał po latach, zaczął się szaleć. Czytał te wiersze przed snem i gdy się obudził; w szkole i będąc w odwiedzinach. Wszystkie dotychczasowe pasje przestały go interesować. Nastąpiło królowanie i zachłyśnięcie się Staffem. Najbardziej podobał mu się wiersz *W mroku* („*chłop się powiesił w opuszczonym młynie, dziewczyna dziecko utopiła w stawie*”). A potem „*Dzwony*” i „*O szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny*”. Fascynacja poezją otworzyła przed nim nowy świat doznań i wzruszeń. „(...) W duszy zakotłowało od rymów (...) Pamiętam tylko, że już po paru dniach „*twórczości*” napisałem gryzącą satyrę na kolegę Kona(...)”¹⁶.

Zainteresowany dziełem L. Zamenhofs, rozmiłowany w poezjach Staffa napisał list do Lwowa, miasta, w którym mieszkał autor „*Ptakom niebieskim*”, zwracając się do 33-letniego poety per „*czcigodny panie*” – z prośbą o wyrażenie zgody na przetłumaczenie jego wierszy na esperanto. „(...) I oto 9 października roku 1911 nadeszła od czcigodnego pana odpowiedź, że owszem zgadza się i prosi o przesłanie mu wydrukowanych przekładów(...)”¹⁷.

Radość z otrzymanej korespondencji była tak wielka, że wybierając się na przyjęcie rodzinne młody Julek zabrał ze sobą odpowiedź poety i owe zdawkowe zdania pokazywał każdemu, kto siedział przy stole. Niestety, Staffa nikt ze zgromadzonych nie znał tam w ogóle. Euforyczne okrzyki rozgorączkowanego chłopaka, który otrzymał list od wielkiego liryka, nie spotkały się w tym gronie ze zrozumieniem. Nikt go po prostu nie kojarzył i nie czytał.

Pisząc po latach do żony Leopolda Staffa list, Tuwim przyznawał, że nie pamięta, kiedy zainteresował się poezją naprawdę. Miał w pamięci swoje pasje chemiczne, biologiczne, esperanto, ale oczarowanie, wręcz opętanie poezją nadeszło z korespondencją od Staffa.

We wspomnieniach Tuwima czytamy jednak, że to wiersze wielkiego liryka miały moc obezwładniająca inne pasje, które poszły w ką, a list do Staffa, był tylko konsekwencją zafascynowania strofami, rytmem i rytmem tamtej poezji.

„(...) Byłem niejako ambasadorem poety na miasto Łódź i okolice – a esperantem chciałem go na cały świat rozslawić (przełożyłem m.in. (...) *W mroku, Deszcz jesienny*. Otworzył mi się świat jakichś nowych doznań, rozkoszy i zachwyty(...) Zaczęłem pisać własne wiersze.” (...) Gdy się tych pło-dów bezecnie ze Staffa zrzynanych uzbierał spory zeszyt, posłałem go oczywiście do „*czcigodnego pana*” z prośbą o ocenę, z odwiecznym stereotypowym pytaniem: czy warto pisać? (...)”¹⁸.

Czy mamy spuścić zasłonę milczenia na męki, które przeżywał młody adept muzy Apolla, oczekując odpowiedzi mistrza? Niekoniecznie. Co dzień wytrwale wypatrywał listonosza, a że poczta przychodziła w godzinach, w których młodzian był w szkole, w czasie dużej przerwy biegł do domu, by zobaczyć, czy nadszedł upragniony list. Oczekiwanie trwały aż dwa tygodnie, ale było warto. Staff napisał do młodszego „*kolegi*” odpowiedź cztery strony. Po latach Tuwim wspominał te chwile z rozrzewieniem: „(...) Jeszcze go nie przeczytałem, a już wie-

www.fotolabedz.com.pl

Studio Fotografii Artystycznej

„Pod Labedziem”



Marek Rutkowski
Bydgoszcz, tel. 052/ 322-54-69
ul. Gdańska 5

działem, że jest dobrze, skoro poeta tak się rozpiął(...) *Bezcenny list*(...)przepadł w warszawskiej pozodze, ale pamiętam, że wyrok był łagodny, nawet przychylny, że warto pisać, że jest talent(...)"¹⁹.

Ta obszerna ocena zawierała jednak i słowa krytyki Staffa: „Czy się pan na tę rzeź bezlitosną nie zachnie?” Uczeń i późniejszy przyjaciel autora „W mroku” nie tylko się nie zachnął, ale czuł się uradowany. Po pierwsze dlatego, że w rodzinnej Łodzi nie było nikogo, kto mógłby udzielić fachowej porady i dokonać rzetelnej oceny owych prymulek, po wtóre jego wiersze zostały namaszczone przez największego wówczas liryka polskiego. Owa aprobata zaowocowała nowymi utworami, a zeszyty z poezją, wypełniły się niebawem liryką miłosną, kierowaną do przyszłej żony poety – Stefanii Marchew.

Wiadomo, że pierwsze zachowane zapisy autora „*Treści gorejącej*” pochodzą z 1911 roku. Zamieszczone zostały przez poetę wpięrow w kasetach, a później w specjalnych, albumikach, których okładki były ozdobione secesyjnie wystylizowanym, niegdyś złożonym gęsim piórem. Wielokrotnie pisano o losach tych zeszytów, które, uciekając przed Niemcami, powierzył – w walizce zawierającej najcenniejsze papiery – Kazimierzowi Gacowi. Ów skarb został zakopany w piwnicy domu przy ul. Złotej 8. Po wojnie okazało się, że papiery pokryła pleśń, kajety rozpadły się, pozostały luźne, zniszczone, po części nieczytelne kartki. Niemal wszystkie wcześnie próby poetyckie młodziutkiego debiutanta, terminującego przez siedem lat u Leopolda Staffa, dziś wchodzą w skład „*Juweniliów*” wydanych przez „*Czytelnika*” w 1990 r.

Po dwóch latach, które minęły od chwili nawiązania listowego kontaktu, doszło do spotkania obu poetów. Tuwim bawił na wakacjach w Inowłodzu i napisawszy nowe utwory, posłał je do poety, do Lwowa. Ale odpowiedzi się nie doczekał, bowiem Staff spędzał wakacje w Rudzie Malenickiej. Rozgorączkowany uczeń w towarzystwie dwóch kolegów podjął błyskawiczną decyzję i ruszył na spotkanie swojego mistrza.

„(...)Zobacenie żywego Staffa na własne oczy było widocznie tak silnym wstrząsem, że nic z tej pierwszej chwili zetknięcia się z poetą nie pozostało mi w pamięci(...)Wiem tylko, że potem zaprowadził mnie do swojego pokoju, (...)że dopytywałem się o Miłaszewskiego(...), że w toku dalszej rozmowy Staff (...)wtajemniczył mi w genezę powstania wiersza *Dzwony*; szedł kiedyś polem, przez ramie przewieszoną miał strzelbę-dwururkę; dął silny wiatr i wygrywał na wylotach luf gwizdzącą przeciągłą symfonię(...)"²⁰.

Mimo że w pamięci autora „*Siódmej jesieni*” z tego pierwszego spotkania niewiele zostało poza przysmakami kulinarnymi, którymi i jego, i przyjaciół poczęstowano, to pamięć zatrzymała kadrę ze wspólnego ze Staffem spaceru po ścieżkach niewielkiego ogrodu, korzenny aromat mocno pachnących kwiatów i zwierzenia, których poeta uważnie słuchał: „(...)Staff uwierzył (takie miałem wrażenie i zostało mi ono na zawsze) w prawdziwość ognia, jakim się jego gość nieproszony zajął na całe życie. Wracałem do Inowłodza wysoki, skrzydlaty, śpiewający(...)"²¹.

Przyjaźń ucznia i mistrza, trwała przez wiele lat. Po pewnym czasie obaj mówili do siebie już po imieniu, spotykali się przy wódce w „*mordowni*” na Siennej, u Wróbla i u Fukiera.

Staff był honorowym gościem na weselu poety i to on stanowił największą atrakcję wieczoru dla licznie zgromadzonych przyjaciół młodego małżonka.

„(...) Już i ten i ów z młodziutkich prowincjonalnych poetów zwracał się w listach per „*czcigodny panie*” i pytał: czy warto dalej pisać. Takich listów i wizyt miałem setki... Ale nie było wypadku, żebym odpisując młodemu poecie lub rozmawiając z nim nie miał przed oczyma pierwszych listów Staffa do mnie i wizyty w Rudzie Malenickiej(...)"²².

Leopold Staff był przewodnikiem wielu młodych poetów, kimś w rodzaju ojca duchowego i opiekuna całego pokolenia poetyckiego, człowiekiem, o którym Tuwim dwadzieścia lat

po swoim debiucie pisał o jako o poecie czystym i uskrzydłym.

Tę opinię autor *Ptacom niebieskim* zawdzięczał i urodziwej swojej poezji, i niezwyklej prawości i szlachetności charakteru. Na pewno młody uczeń, nawiązując znajomość z mistrzem, miał więcej szczęścia od swych przyjaciół. „(...) *Taka ocena, jaką otrzymał w liście z 11 września 1913 roku, poparta autorytetem wielkiego poety, mogła być marzeniem każdego debiutanta*(...)"²³.

Czas wojny rozdzielił obu przyjaciół. Staff pozostał w Polsce, Tuwim wyemigrował do Ameryki. Zachowało się kilkanaście listów pisanych, i z Nowego Jorku i z Warszawy, czułych i serdecznych, wciąż przechowujących w sobie uczucie wdzięczności za niegdyś okazaną pomoc.

9 I 1946 r. Tuwim pisze z Nowego Jorku do Staffa:

„(...)O tym, żeście się uratowali, wiedziałem już od paru miesięcy, ciągle marzyłem, że się odezwiesz – aż tu nagle list! List od Staffa(...)Mam mnóstwo planów i zamiarów. Skończyłem pierwszy tom „*Kwiatów*(...)”. Drugi będę pisał w Polsce. Jest tam na samym początku cały rozdział o Tobie – o tym, jak czytam Twoje wiersze(...)"

18 XII 1946 r.

„(...) Poldziu! Czy mogę coś dla Ciebie zrobić? Wiedz, że zawsze zrobię wszystko, co będzie w zasięgu moich możliwości(...)"²⁴.

Po powrocie z emigracji niegdysiejszy uczeń pojechał w odwiedziny do swego mistrza. Pełen obaw o kondycję starego druha, ucieszył się na widok jego smukłej sylwetki, wesołego nastroju, dowcipu, którym wciąż tryskał i czarującego dyszkanu przyprowadzonego lwowskim akcentem.

O tym spotkaniu pisze Tuwim tak: „(...)Dokuczta mi tylko chora noga, a mieszka na trzecim piętrze bez windy, w dwupokojowym mieszkaniu we cztery osoby, więc nie ma po prostu własnego kąta do pracy... I tęskni za Warszawą, którą pokochał w ciągu spędzonego w niej dwudziestolecia międzywojennego. Ale nie ma w Warszawie mieszkania dla Leopolda Staffa... Nie ma w Warszawie mieszkania dla Leopolda Staffa(...)"²⁵.

Autor „*Deszczu jesienno*”, który był człowiekiem dość niezaradnym w sprawach materialnych, ostatnie lata wojny spędził w Warszawie, a po upadku Powstania trafił wraz z żoną do obozu w Pruszkowie, potem spędził miesiąc w Skarżysku Kamiennej, później ponad rok w Płaskowicach, gdzie padł ofiarą złodziei, wreszcie dotarłszy do Krakowa, zamieszkał u swojej szwagierki.

Tuwim, znany z licznych wsparć, których udzielał znanym i mniej znanym osobom, starał się również odwdziżyć swojemu nauczycielowi. Ponieważ starania o lokum dla przyjaciela, spaliły chwilowo na panewce, w 1948 roku autor „*Kwiatów polskich*” napisał wspomnienie „*O moim Staffie*”²⁶, w którym zaapelował o przydzielenie poecie mieszkania. Rok później zainicjował obchody jubileuszowe 50-lecia pracy twórczej swego mistrza. Wraz z Juliuszem Gomulickim zaczął przygotowywać „*Księgę pamiątkową*” i w tym celu wysłał do pisarzy i poetów list następującej treści:

Warszawa, 10 kwietnia 1948 r.

Szanowny Kolego!

W listopadzie br. Leopold Staff kończy 70 lat. Pragnąc uczcić tę rocznicę, jak również 50-lecie twórczej pracy największego ze współczesnych poetów polskich, zwracamy się do Kolegi z prośbą o nadesłanie do Księgi pamiątkowej, która w dniu jubileuszu zostanie wręczona Poecie, nie drukowanego dotąd utworu swego (wiersza, urywka prozy lub artykułu).

Objętość utworu nie może przekraczać 3 stron maszynopisu z podwójnym odstępem.

Treść utworu niekoniecznie musi być związana z osobą Staffa.

Ostatni termin nadsyłania utworów upływa 20 maja br. Ze względu na charakter wydawnictwa, z którego całkowity dochód przeznaczony będzie dla Jubilata, wydrukowane utwory nie będą honorowane.

Utwory wraz ze swoją fotografią i własnoręcznym podpisem należy przesyłać na adres Zarządu Głównego ZZLP z adnotacją: „*Księga Pamiątkowa Leopolda Staffa*”.

PRZEWODNICZĄCY
Komitetu jubileuszowego
Julian Tuwim

22 stycznia 1949 roku Staffa uhonorowano tytułem doktora honoris causa Uniwersytetu Jagiellońskiego. 28 stycznia uroczyste go powitano w Warszawie i odznaczono Krzyżem Komandorskim Odrodzenia Polski z Gwiazdą. Dwa dni później odbyła się w Teatrze Polskim impreza jubileuszowa, którą otworzył wielki orędownik sprawy pomocy i przywrócenia literaturze wybitnego poety, Julian Tuwim. Również za sprawą starań autora *Balu w Operze* i Związku Literatów Polskich w maju 1949 roku Staff otrzymał od ówczesnego premiera mieszkanie usytuowane przy Nowym Świecie 60/19.

Leopold Staff był człowiekiem prawym, zacnym i niezazdrosnym o sławę innych, zdolnych ludzi. Wspierał ich mądrym słowem, zawsze służąc radą. Wielu jego uczniów, jak np. Kazimierz Wierzyński otrzymało wskazówki, które – jak wspominał po latach – pomogły w komponowaniu wierszy, lecz nieliczni terminowali z takim zapałem u Staffa jak Tuwim.

„Był spośród uczniów poety tym, który nie tylko najbardziej spełnił pokładane w nim nadzieje, ale umiał też swej wdzięczności i miłości nadać wymiar uniwersalny wzoru stosunku ucznia do mistrza”²⁷.

Słowa tu napisane są dedykowane wszystkim tym, którzy mają odwagę wieść ludzi obdarzonych talentem przez meandry rzemiosła; wszystkim, którzy podnoszą swych uczniów na duchu w chwilach zwątpienia, nie żywiąc zawści o ich przyszłą sławę.

BIBLIOGRAFIA

- 1 L.Staff, J. Tuwim, *Z tysiącem serdeczności* – korespondencja z lat 1911-1953. oprac. T. Januszewski, Warszawa 1979;
- 2 Jadwiga Sawicka, *Filozofia słowa Juliana Tuwima* Ossolineum. Wrocław 1975;
- 3 K.W. Zawodziński, *Wśród poetów*;
- 4 Michał Głowiński, *Poetyka Juliana Tuwima a polska tradycja literacka*, Warszawa 1962;
- 5 Julian Tuwim, *Bal w Operze*;
- 6 Julian Tuwim, *Do prostego człowieka*;
- 7 Julian Tuwim, *Kwiaty polskie*;
- 8 Jadwiga Sawicka, *Julian Tuwim*; Warszawa, 1986;
- 9 Jw.
- 10 Jw.
- 11 Jw.
- 12 Jw.
- 13 Julian Tuwim, *O „moim” Staffie*, Dzieła t.V., opr. J.Stradecki, Warszawa 1964;
- 14 Julian Tuwim, *Dzieła t. V*, opr. J.Stradecki, Warszawa 1964
- 15 Julian Tuwim, *O „moim” Staffie*, Dzieła t.V, opr. J. Stradecki, Warszawa 1964;
- 16 Julian Tuwim, *Dzieła t.V*, opr. J. Stradecki, Warszawa 1964;
- 17 L.Staff, J. Tuwim, *Z tysiącem serdeczności* – korespondencja z lat 1911 –1953. oprac. T. Januszewski Warszawa 1979;
- 18 Julian Tuwim, *O „moim” Staffie*, Dzieła t. V, opr. J. Stradecki, Warszawa 1964;
- 19 Jw.
- 20 Jw.
- 21 Jw.
- 22 Jw.
- 23 L.Staff, J. Tuwim, *Z tysiącem serdeczności* – korespondencja z lat 1911 –1953 oprac. T. Januszewski, Warszawa 1979;
- 24 Jw.
- 25 Julian Tuwim, *O „moim” Staffie*, Dzieła t. V, opr. J. Stradecki, Warszawa 1964;
- 26 L.Staff, J.Tuwim, *Z tysiącem serdeczności* –korespondencja z lat 1911 –1953, oprac. T.Januszewski;
- 27 Jw.

Teresa Januchta

„Miedzioroty” na dziewięćdziesiąte urodziny

Taka frekwencja jak 28 października 2003 roku na organizowanych przez Koło Literackie przy Klubie Nauczyciela w Poznaniu „wtorkach literackich” zdarza się dość rzadko: sala, będąca równocześnie siedzibą Klubu Polskiej Książki, wypełniła się po brzegi, do ostatniego miejsca (część gości siedziała na „dostawkach”). Bo i okazja niezwykła – dziewięćdziesiąte urodziny nestorki poznańskich poetów – JADWIGI BADOWSKIEJ.

Właściwe urodziny odbyły się w gronie rodziny i przyjaciół już w czerwcu 2003 roku, jednak tak znaczny jubileusz wymaga dłuższego świętowania. Okazję do gratulacji stanowiła bowiem, obok urodzin, promocja wydanej przez Nauczycielski Klub Literacki w Białymstoku książki pt. „Miedzioroty”, zawierającej wiersze poświęcone pamięci Leona Kosmulskiego, zaprzyjaźnionego z poetką w okresie międzywojnia grafika i malarza, asystenta prof. Ludomira Slendzińskiego.

Powitawszy tak licznie zgromadzonych gości, prowadząca spotkanie Teresa Januchta przedstawiła krótko biografię poetki, co było bardzo trudne, gdyż w ciągu owych dziewięćdziesięciu lat nazbierało się wydarzeń dobrych i złych co niemiara. Przede wszystkim druga wojna światowa wycisnęła swe piętno na dalszym życiu ju-

bilatki. Wilnianka z urodzenia, związana ze swoim miastem ukończonymi tam studiami aktorskimi, pracą zawodową w wileńskich teatrach, a nade wszystko z rodziną: matką Anną z domu Ignatiew, ojcem Kazimierzem Szafkowskim (wileńskim adwokatem), mężem Janem Władysławem Badowskim (za sprawą NKWD przebywającym w latach 1941-47 na zesłaniu w głąb Rosji) oraz dziećmi (Jolantą i Tadeuszem), musiała opuścić ukochane miasto i szukać nowego miejsca na ziemi. Znalazła je w Poznaniu. Tu kontynuowała pracę w swoim zawodzie, pracując także jako instruktor kształcący młodych adeptów sztuki aktorskiej. Tu wydała swój debiutancki tomik wierszy dla dzieci pt. „Uliczkami po Poznaniu” (1987) oraz większość następných: „O Ntombi i morzu” (Warszawa 1987), „Zaszumiła mi Wilia” (Poznań 1991), „Namaluję twarz” (Poznań 1993), „Krople słońca” (Poznań 1993), „Dęby Rogalińskie” (Goślin 1994), „Ondyna nad Niemnem” (Poznań 1995), „Dla ciebie Dafne” (Murowana Goślina 1996), „Dziwny ogród” (Kraków 1998), „Zamknięci w słowach” (Poznań 2001).

Najnowszy zbiór wierszy pt. „Miedzioroty”, po mistrzowsku prezentowany przez samą autorkę i jej przyjaciela Bogusława Duszyńskiego, przy śpiewie Małgorzaty Górnej, akompaniującej sobie na gitarze, został wydany przez Eugeniusza Szulborskiego.

„Miedzioroty” są osnute na wspomnieniach związanych z osobą Leona Kosmulskiego, a ko-

pie jego grafik wzbogacają każdy utwór poetycki. „To wspaniała poezja, mądra i dojrzała” – powiedział Paweł Kuszczyński – omawiający na wstępie twórczość jubilatki, a Stefan Pastuszewski żartował, że gdyby autorka miała mniej niż 90 lat, nie przyjechałby na tę uroczystość, choć bardzo ceni jej twórczość, zaś „Miedzioroty” uważa za perłę w jej dorobku.

W toku spontanicznej lawiny hołdów i gratulacji, jaka miała miejsce po recytacji wierszy, Nikos Chadzinikolau zwrócił uwagę na wątki z mitologii greckiej w twórczości autorki „Dziwnego ogrodu”, a Łucja Danielewska przypomniała okres wspólnej działalności w Literackiej Grupie Niezależnych „Swantewit”. Nie brakło gratulacji i życzeń od Tomasza Szymańskiego, kolegi aktora z Teatru im. Aleksandra Fredry w Gnieźnie, zaprzyjaźnionej poetki Ewy Najwer, Kazimierzy i Jana Deskurów – przyjaciół z Promna, improwizującego do rymu Lecha Konopińskiego, młodszych co najmniej o pokolenie koleżanek i kolegów z Koła Literackiego. Syn Tadeusz odczytał prześmiewczą fraszkę na Mamę, a Stefan Pastuszewski wręczył jubilatce jej karykaturę oprawioną w ramki oraz rysunkowe tableau „Akantu”.

Poezji i muzyce towarzyszyła wystawa prezentująca drzewo genealogiczne, portrety i drobne literackie nestorki, przygotowana przez Ninę i Tadeusza Badowskich, z zawodu plastyków. Wspomniane drzewo genealogiczne częściowo ożyło dzięki obecności na wieczorze najbliższej rodziny, nie wyłączając wnuków i prawnuków. Wrażeń i wzniosłych przeżyć doznanych przez wszystkich uczestników spotkania nie oddadzą ani fotografie, ani ten lapidarny opis. Chcielibyśmy, i tego życzymy czcigodnej Jubilatce, aby następny jubileusz – stulecia urodzin – obchodziła w tak dobrej kondycji jak obecny. ♣

Jolanta Szwarz

Gniazda

Jadwidze Badowskiej

Gdzieś daleko za wojną
pozostał,
pewnie znałaś,
Klub Artystyczny „Smorgonia”
w celi, no, tego tam... Konrada
„poety smorgońskiego”,
co dumiał sobie na paryskim bruku.
Tam rozżarzyły się Żagary,
tam Kurier Wileński i radiowa Kukułka,
tam się losy splatały,
by czas miał co dzielić
między Poznań, Warszawę, a nawet Berkeley.
To tam, tam, tam
słyszysz jak murzyński tamtam.
Z daleka dobiega natrętny rytm.
Szum miasta nad Wartą pochłania te dźwięki,
a tramwaj turkocze
teraz tu, teraz tu, teraz tu.
Poznałaś tu teraz
dla dzieci i wnuków
i gniazdo uwiłaś
w gałęziach dębowych.



Na zdjęciu: Łucja Danielewska czyta napisaną wiele lat temu fraszkę dla Jadwigi Badowskiej.
Obok: z lewej - Bogusław Duszyński i Jadwiga Badowska, z prawej - Paweł Kuszczyński
Fot. Tadeusz Badowski

Tadeusz Badowski

O Jadwidze Be na „asz”

Jadwigo, Ty nie wchodzisz,
lecz wkraczasz
Ty nie siedzisz – zasiadasz
i nie chodzisz, lecz chadzasz
i nie biegiesz, lecz jedziesz
nie chodzisz – ulatasz
Ty z Olimpem się

bratasz

Tadeusz Badowski

To było niedawno –
dzieciństwo jak raj:
Wilno, Lisowo
pies i teatr „Baj”.

Łódka po Naroczy,
Kola chlapie wodą,
słońce się uśmiecha,
Szafkowska się droczy.

Powozy, dorożki,
stryj podkręca węża
- coś służba oporna,
Jadwiga się dąsa.

Reflektory, oklaski,
scena, słowa zachwytu,
sprzeciw męża boksera
i nici z Madrytu.

Jolasia kaprysi,
Tadek woli ciszę,
Jot Badowska na obiad
poematy pisze.

Mijają epoki –
zmienia się moda.
Jedno niezmiennie
- poetka wciąż młoda.

Poznań, 28 października 2003

Jerzy Grupiński**Wiersz na oddech, światło i falę**

(fragment)

Zatrzymaj się
i lamentuj przy tym grobie
ale jak płakać
gdy piersi bohaterów – kurosów
podnoszą się wysoko radośnie
i ten najmłodszy
imieniem Kroisos?
który jak napisano
nie odwracał się który padł
walcząc w pierwszym szeregu
- twarz ma spokojną
Widzi przyjaciół goniących piłkę
ich lśniące plecy tłuste włosy
Kroisos nie spieszy się
Wie że dla wszystkich starczy
oliwy kamiennych rękawic kastetów
i cienkich ołowianych taśm na pięści
Uśmiecha się
przez sen przez śmierć
bo widzi znajomego efebę
tego samego którego Nike
nie zdążyła pocałować
w wierszu Zbigniewa Herberta
Więc kiedy pękła mi
w ręce skrobaczka
i przecięła palec
podniosłem złamaną strigilis
brudną od oliwy i piasku
A wyjmując drzazgę
pomyślałem
że mam coraz więcej
na nogach włosów
i chociaż kocha mnie
tak bardzo mistrz Arystes
powinienem już przybrać sobie
znaleźć w palestrze
młodziutkiego erogenosa
młodego chłopca
który pragnąłby mnie
za coś więcej
niż za zwyczajstwo w pankrationie
Którego nauczyłbym wielu rzeczy
I powtórzy za mną kilka razy
aż nauczy się na pamięć
„Będziesz biegł
w cieniu świetlistych oliwek
pachnąc cisem rozkwitłym
drżącym liściem srebrzystej topoli”
i przyniesie aryballos
pełen wonnego olejku
wyleje na moje plecy
I będzie
zawsze czekać przy schodach
i nie zapomni
Bo czyż wszystkie muzy
nie są córkami
Mnemozyny – pamięci?

To było wczoraj
albo gdy Grzegorz VII spalił
wszystkie klasyczne biblioteki
Konstantynopola i Rzymu
A może jeszcze wcześniej
kiedy to na placu
podpalili epitalamia
epigramaty i miłosne pieśni
Safony do przyjaciółtek

Paweł Michalczyk**Judasz**

Prześladują mnie ręce wyciągnięte z oddali Skóra
pokrywa je pomarszczona jak zeschnięta ziemia nie ludzka Skóra
Pośrodku pustyni rana studni w samaryjskiej spiekocie południa
I głos: *Daj mi pić!* natrętny jak ten skwar

Uciekam od głosu od ran studziennej obietnicy naglony niedowiarstwem
Schronię się w cieniu galilejskich pól w pobliżu Betsaidy
Tam nad Jeziorem rozbiję swój namiot wątpienia w cieniu człowieka chwiejącego się na lustrze
wody

Są chwile gdy mam ochotę wierzyć ale natychmiast powraca niezawodny rozsądek

Malina Prześluga**Głupek**

że liście lecą z drzew
do nieba
i wiosną wracają szczęśliwsze
że eskalacja
przemocy
to namalowany wodną farbą
obrazek na sprzedaż
za pięć złotych nie dla sławy
że nakarmiony człowiek
ma problem z głową
że las
ma nas
że niebo jest niebieskie z obu stron
że dzieci są dziećmi
zanim znajdą dorosłość
pornograficzną
lub chociaż popitą
że w teście wyboru
- jedyna odpowiedź a) TAK -
wybierze nie
że wszystko co dobre to się dobrze
kończy
że
że
by
być
wystarczy raz krzyknąć *Jestem*

w to wierzy głupek

i że ryby można zabijać bo nie czują

(nie wstydź się głupek
wszyscy
jesteśmy z tobą)

5 września 2003

Agnieszka Krężel**Kim jestem?**

Wszystkie metafory
odkryte odkrywam
ja jako ja
pierwszy raz
ciekawa szkiełka
pod mikroskopem
przestrzenią kosmiczną
ironią zainspirowana
przesłanką podniecona
kim jestem?

Wojciech Sobiecki**Strach na wróble**

ludzie
zawsze byli bezlitośni skazali
niewinnego stracha na wróble na
wieczne potępienie postawili
w niewygodnej
pozie na jednej nodze z dala od
zabudowań ubrali w
przechodzony niemodny płaszcz
na głowę zawadiacko
wcisnęli kapelusz to ludzie
skazali go na udrczenie zmusili
do służby bez przestanku
w trudnych warunkach w czasie
upałów burz i
silnych wiatrów gdzie za każdy
zmarowany kłós każdą
garść ziarna można stracić
posadę
ludzie zawsze byli bezduszni
przecież kiedyś wydali
na śmierć Chrystusa teraz skazali
na upokorzenie stracha na
wróble narazili na śmiech
przechodniów oplucie
wyzwiska i
drwiny strach na wróble
na darmo czeka na podanie wina z
żółcią
ludzie zawsze byli okrutni to
oni nazwali go
ironicznie królem pola

Anna Banasiak**Snuć sen...**

W ruchomych prze-stworach dźwięku
sennych saturnach srebrnienia
strunami szklanych dzwonów
dzwonnego prze-tworzenia

rozsnuwam snem
strumienie
soczyste roz-dźwięczeniem

w hesperiach harmonii
wrastanie dźwiękiem
paznokciem korzeniem
drewnianą ciszą
skrzydlatą półciszą
wykorzenionym wy-ciszeniem

Anna Makles

O płciach

Ciekawe, że na marginesie „Akantu” zagnieździła się dyskusja o relacjach między kobietami a mężczyznami (nr 9, s. 27; nr 10, s. 36-37). Trudno pisać o kobietach i mężczyznach w ogóle, posłużyć się więc przykładem książki, którą właśnie przeczytałam. Są to opowiadania Stefana Pastuszewskiego „Karły” (2000).

Autor po raz kolejny okazuje się świetnym obserwatorem a nade wszystko psychologiem. Opisuje sytuacje codzienne, na pozór banalne i nic nie znaczące, a jednak dostarczające dowodów na to, jacy jesteśmy.

A jacy jesteśmy? W opowiadaniu „Ucieczka przed sprawiedliwością” czytamy: „Mężczyzna w istocie nie ma własnego ciała. Jest ono wciąż częścią kobiety – matki, która będąc czasami kobietą – kochanką, nigdy jednak matką być nie przestaje”. Wszystkie posiadamy instynkt macierzyński, ale pisarz zmusza nas do przyznania się:

1. Przyznaj, że z czułością bierzesz do ręki dziurawe skarpety męża i szykujesz igłę z nicią, aby je zacerować. Robisz to choć wiesz, że on tego wysiłku nie doceni (jak przystało na macho), jednak nie możesz pozwolić, by marzły „kochane stópki”.

2. Przyznaj, że zrzedzisz gdy nie zje śniadania. Jesteś oczywiście feministką, ale nie możesz znieść widoku jego wychudzonego pyszcza i żalostnych ocząt. Wściekła, z impetem wpadasz do kuchni i kroisz chleb obcinając sobie ze złości lakierowane paznokcie. „Jakby sam nie potrafił o siebie zadbać” – mruyczysz nad deską do krojenia.

3. Przyznasz, że wściekasz się, bo rozrzucasz ubrania po całym mieszkaniu. Przecież poszłaś na kompromis i wyznaczyłaś mu miejsce na pralce. Czy on naprawdę nie potrafi zrozumieć, że pokrywa kosza na brudną bieliznę od zawsze była twoja? Tam kładziesz właśnie zdjęte z nóg rajstopy. No przecież nie wrzucisz ich do środka! Mogłyby się zniszczyć.

4. Przyznaj, że jesteś matką swego mężczyzny!

W opowiadaniu „Stońce znad parapetu” Stefan Pastuszewski jawi się jako wstrętny sexi-sta. Przedstawia scenę, w której kobiety przetrzucają bieliznę w jednym z hipermarketowych koszy i porównuje je do świń buszujących w dąbrowie. A fe, proszę pana! Jednak, po głębszym zastanowieniu... Tu mam okazję odnieść się do tematu dyskusji „Proza nasza niepowszednia”. Chyba w żadnym innym kraju kobiety nie oblegają koszy z biustonoszami wycenionymi na 5 zł. Chciałoby się powiedzieć: „A to Polska właśnie”. Ceny w naszej ojczyźnie są tak wysokie, że na widok paskudnego stanika za 5 zł przestajemy zachowywać się nie tylko jak kobiety, ale nawet jak ludzie.

Nie mogę jednak wybaczyć autorowi słów: „I objął ją wpeł (...), po chwili oczy zaszyły jej mgiełką jak u zdychającej kury. Była to pierwsza oznaka napływającej fali seksualizmu”.

Trochę za dużo kur i świń!

Dalej kobieta – kwoka (!) napalona na przeceniony sweterek mówi: „Może mi się coś podoba, ale i tak nie ma pieniędzy”. Autor zdradził nasz kobiecy przepis na zakupowy sukces. Mężczyzna nie jest zainteresowany damskimi ciuzzkami. Nie dosłysz, gdy poprosimy, by nam coś kupił. Można go jednak „złapać” na wspaniałomyślność. Należy zatrzymać się przed upatrzoną szmatką, obejrzeć, ze smutną miną odłożyć i głęboko westchnąć. Jeżeli nadal nie rozumie, mówimy: „Śliczny, szkoda, że nie mamy pieniędzy”. W tym momencie w prawdziwym samcu powinna obudzić się wspaniałomyślność. Nie dość, że powie: „Bierz, nie będę ci żałował” to na dodatek będzie przekonany, że sam wpadł na pomysły sprawienia swej partnerce przyjemności. „Bo dla mężczyzny najważniejsze jest poczucie opie-

kuńczości, tak jak dla kobiety – bezpieczeństwa” – czytamy dalej.

Obserwujemy techniki „wciskania towaru”, „wściekłość wózkową”, całkiem niezłe i nie całkiem uczciwie zarabiających żebraków i inne osobliwości.

Autor „Teraz Polska” przedstawia dwoistość kobiecej natury. Z jednej strony jest to kretyńka, która spotykając się z przyjaciółmi wygaduje „piramidalne bzdury” stosuje „analogiczne konstrukcje intelektualno-emocjonalne”. Po drugiej stronie mamy kobietę potrafiącą „precyzyjnie, w wyniku wielu skomplikowanych operacji” doprowadzić mężczyznę do oczekiwanych przez nią zachowań.

Nie cierpię facetów, bo mam taki obowiązek jako kobieta. Kobiet jednak nie znoszę jeszcze bardziej właśnie za te rozmowy na poziomie lakiery do paznokci.

Autor przedstawia też standardowego mężczyznę, który uwielbia kobietę swego życia, jednak generalnie pań nie lubi („szczególnie w życiu publicznym”). Pranie i prasowanie tak, rządzenie nie.

Czytamy o scenkach z życia codziennego, „odkrywczyczych” rozmowach na temat komarów i much (że są i że gryzą). O zgodzie na starość, kiedy oczy są wyblakłe a twarze „mocno nakremowane”, o lęku mężczyzn przed rosnącą siłą i chęcią dominacji kobiet. Już nie jesteśmy do gotowania i sprzątania. To mężczyzna czuje się maszyną do robienia pieniędzy i wnoszenia śmieci. Nieszczęsny przedstawiciel płci brzydkiej woła: „Nie możesz osłabnąć!”

S. Pastuszewski pisze też o tym, że współczesny człowiek często leżąc w łóżku nie może zasnąć, a gdy zaśnie nie zawsze ma ochotę się obudzić.

Dziwny jest ten świat... Taki szary, śmieszny i tak strasznie rzeczywisty. Autor obnaża słabości kobiet, mężczyzn, Polaków, ludzi. Wiele jest tu sytuacji niemożliwych do zaistnienia w innym kraju niż Polska, wiele też ogólnej prawdy psychologicznej o człowieku tak nieznacznie różniącym się od zwierzęcia.

Codziennosc i zwyczajność ukazana jest w zbiorze „Karły” w sposób naprawdę niepowtarzalny. ✽

Ariana Nagórska

Pierwszy najlepszy. Efektowny start konkursu „Dyktatura-Unikat”

Po tym tytule zainteresowani konkursem wcale nie muszą się obawiać, że wszystko już zostało rozstrzygnięte. Będzie tak, jak podałam w ogłoszeniu („Akant” 2003, nr 10, s. 31). Z przyczyn oczywistych nie informowałam jednak w tym ogłoszeniu, że zamierzam w jakiś sposób wyróżnić tego autora, który pierwszy nadesłał wiersz na konkurs. Naturalnie nie byłoby to możliwe, gdyby kilka przesyłek nadeszło równocześnie. Tymczasem dziś już wiadomo, czyja była pierwsza przesyłka, i z zaskoczenia nie mogę wyjść do tej pory, zważywszy, że spodziewałam się autorów „o których słyszałam niewiele lub zgoła nic”. Tymczasem pierwszy nadesłał wiersz Emil Biela z Myślenic, autor stokroć sławniejszy ode mnie, o wielokierunkowym, istotnym dorobku. Już choćby to, że w 2001 roku w październikowym „Akancie” wnikliwie omówił całą twórczość mego ulubionego polskiego prozaika starszego pokolenia - Juliana Kawala (po 1989 roku przez wielu złośliwie pomijanego i przemilczanego) - każe mi na zawsze pozytywnie go zapamiętać. Tam też po raz pierwszy trafiłam na opinię całkowicie zbieżną z moim konsekwentnym, lecz wielce niepopularnym sądem. Emil Biela napisał czarno na białym: „Nie zgadzam się z Cyprianem Kamilem Norwidem, który mówił, że poeta się nie jest, ale że się nim bywa. Nieprawda!” Pewnie, że nieprawda. Albo się jest, albo się nie jest! Norwid mógł mó-

wić, co mu się podoba, bo i tak mu to nie szkodziło, skoro poetą BYŁ. Dzisiaj na jego niefortunne „bywanie” powołują się głównie poetyckie miernoty.

Mogłabym przytaczać wiele cennych uwag Emila Biela na temat poezji i nie tylko. Wystarczy zajrzeć do *Antologii „Akantu”*, by zobaczyć, jak wszechstronne ma zainteresowania i ile ważnych prac opublikował. Dlatego jego niezwykle oryginalny wiersz nie może być przede mną wyuczony do konkursu dla osób, o których prawie nic nie słyszałam. Traktuję go jako piękny prezent pozakonkursowy i jego kopię (bo samego prezentu na pewno nikomu nie oddam) jak najszybciej przesyłam do „Akantu”, by mógł się ukazać.

Szczególną uwagę zwróciłam na fakt, że w wierszu, który mówi o latach rozczarowań i zawodów, nie ma ani krzty agresji, sarkazmu, rozgoryczenia. Jest tylko skromna cierpliwość i łagodna zaduma nad losem współczesnego poety. A celna puenta „bogowie mali i wielcy nigdy się nie modlą” może wręcz funkcjonować jako samodzielna złota myśl.

Nie chcę być jako ci „bogowie”. Mimo wiary nieortodoksyjnej, za pomyślność tego autora potrąfię wznosić modły bez żadnych oporów. ✽

Ariana Nagórska

Jaki powinien być finał „wojenki wrocławskiej”

Z drugiej ręki (to znaczy poprzez opowieści i opisy w prasie) dowiaduję się o krótkim życiu „Ordy”, młodoliterackiego dodatku do miesięcznika „Odra”. Cały ten zgiełk ktoś nazwał „wojenką wrocławską”, w której młodzi tymczasowo polegli, bo Orski i Koziół (jak Lenin wiecznie żywi) orzekli, że „Odra” była na poziomie gazetki studenckiej i nie zgodzili się na dalsze jej wydawanie.

Skąd przykład Koziół może wiedzieć, jak wyglądają gazetki studenckie, skoro studiowała w czasach tak zamierzchłych, że było to chyba jeszcze przed wynalezieniem druku. Dziwi też, że w kraju, który podobno dąży ku świetlanej przyszłości, z góry zakłada się, że gazetka studencka musi być gorsza od gazetki emeryckiej!

Mam nadzieję, że młodzi, którzy zostali na lodzie po odstawieniu od wyschłej piersi dinozaurów (że też się nie brzydzą do takiej piersi tulić!) - w przyszłości jakoś sobie poradzą.

„Odra” nie jest jednak pismem utrzymywanym przez swych entuzjastów, tylko (niestety) przez wszystkich podatników. Po odsunięciu młodych jakaś część funduszy powinna zostać temu pismu cofnięta i tymże młodym przekazana! Miałoby to też spóźnione walory wychowawcze, bo zdemoralizowani dziadkowie musieliby nieco bardziej główkować, chcąc utrzymać swe wygodne, przydzielone jeszcze za komuny stołki. Tym sposobem poznawaliby przynajmniej na własnej skórze kapitalizm, o który ponoć walczyli. ✽

Anna Błachucka

Pamiętnik Orchidei

Zygmuntowi Kałużyńskiemu

Gatunek osobliwy, (pan Zygmunt pisze maczkiem),
na jedną ludzką inność, ma gorszych pełną taczkę.
Gdzie on się nie narażał,
kogo nie poobrażał...
Śmieje się! W razie czego – ja wycofam się ra(cz)kiem!

Furtka słońca

Alojzy Michalski

Noc z ismeną

Tę noc spędziliśmy razem
będąc bliżej niż zakochani
zbliżał się jak przed laty
mój szczęśliwy dzień

Uśpiona w żółci czekała

Postanowiłem naprawić błąd
długo obmyślałem przełożenie kwiatu
kilka innych
przywołałem na świadków tego
wydarzenia
rozścieliłem gazety i pakowy papier

Wszystko wniosłem do pokoju
miałem w zanadrzu kilka doniczek
różnorodną ziemię cierpliwość i wolę
przesadzana nie stawiała oporu

Potem podlałem ją obficie
w jej nowym mieszkaniu
rankiem rozkwitła imieninowo

Noc 20/21 czerwca 2003

Jolanta Baziak

List II

Świat w tobie
w opatrunku
oknie zamkniętym na światło
świat na dwa ciała
dotykając
bolesnego człowieka
z twoją zmarszczką przy oku
wiem
jak smakuje szron poranny
bo wieczorem dzielimy się
płatkiem liścia
który zaginął w kosmosie
wieków

Niech będzie nam jeszcze noc
potem świt
grzech urodzenia już popełnił
i grzech kolejnego ze świtów

o czwartej
o siódmej
posyłam Ci ptaki
szukaj mnie wśród ptaków

Leszek Łęgowski

Odmykam na oścież
słoneczną furtkę serca
świtem pogodnie
uśmiechniętym –
wszystkim bezdomnym
stworzeniom
w objęciach nocy smutnej
zziębniętym.

Bydgoszcz, luty 2003

Furtka słońca

Pod tym hasłem zamieszczamy wiersze, które wnoszą dawkę nadziei, są dobrą nowiną. Co miesiąc kwalifikujemy utwory ocalające, po przeczytaniu których – jak zaznaczyła inicjatorka tego cyklu – **Magdalena Witek**, *chce się iść dalej, chce się żyć*. „Czasem wystarczy jedno słowo mające w sobie niezwykły potencjał życia, siłę. Mają to być wiersze – odpowiedzi na wiersze – pytania i prowokacje tych, którzy siedzą w „czarnych dziurach” i wołają o pomoc”.

Kiedy w listopadzie 2002 roku redagowaliśmy monotematyczny blok „Przemijanie” dotyczący śmierci, odejścia, bólu, to myśleliśmy, że będą kłopoty z doбором tekstów. Okazało się, że utwory o tej tematyce i w ciemnej tonacji wręcz wysypywały się z teczek i wiele z nich trzeba było schować „na zaś”. Czy takie „przechylenie” polskiej poezji współczesnej jest dobre dla jej odbiorców i samej poezji?

Mamy świadomość, że wybór nasz może być subiektywny i dlatego też prosimy Czytelników o współudział w redagowaniu comiesięcznej „Furtki słońca”.

Redakcja

Stanisław Szwarc

Jesień

Raz do roku Niebo się zamyka
Pan Bóg czasem też robi remanent.
Stosy akt rozkłada i przegląda.

- Akt strzelisty... odpalony na wiwat,
prosto w okno mi trafił niezdarą,
skruchy... czyżby...? gumowego sumienia,
dwa cielesne... grzeszkiem trąca... lecz z miłości,
poświęcenia schodów... przesadzili...
życia... wprawdzie w złej sprawie... ale jeszcze szczerze,
żału... w grubo poślaczanym flakonie
dwie łzy tylko... na początek dobre i to,
jakiejś sztuki o mnie aktów cztery
napisane na kolanach... co za szmira,
wiary... coś jak gdyby nie we mnie, lecz gorącej...

Wstał, otworzył okno i wiatr zimny
stado liści na girlandy złociste
nad stajenkę Mu przyniósł.

- To już wkrótce...

Więc zasunął szczelną chmur kotarę,
by nie widział nikt, jak z uśmiechem wstydlwym
parafuje:

odpuszczam.

A na Ziemi
jesień,
Adwent,
trwa Oczekiwanie.

26 października 2001

Beata Kozakiewicz

Halo?
Słuszysz mnie
Dobrze? Tak.
Ja ciebie też.
Więc podaj mi dłoń
Jak Bóg Adamowi...

Twórz mnie
między niebem a Ziemią...

Chodź ze mną. Po drodze
podepczemy 1200 kilometrów
ostrej wysokiej telefonicznej
trawy...

Hubert Czarnocki

śnieg gra na harfie dnia
przysypanej muzyką
wchodzącą w niebo
z którego wypadają
niezapisane kartki

Bóg oparty na miotle
podnosi do czoła
dłoń i mruży oczy

Janusz Orlikowski

mój domek
okna z niego dachy
nie wszystkie przecież mogą
na morze

takich tęsknot nie piszę
samo okno ma smak podróży
balkon pierwszy oddech i słońce

mój domek
byleby tylko nie padało
a jeśli to podczas sennej nocy
bo czasem
rodzą nas sny

mój domek
chłopska jeden przez trzynaście
dobrodzień

Jadwiga Badowska

Bramy rajy Hansa Memlinga

Najpierw trzeba wejść
w duszę kolorów i światła
odrzuć c o d z i e n n o ś ć

Przez sztukę wyobraźni
trafić do innego obszaru
kształtów i znaków
odkryć zasłonięte prawdy

PAN stworzył świat
jednym s ł o w e m

podarował mi wizję
swojego n i e b a

niech się otworzą
BRAMY RAJU
na moim obrazie!

Eryk Ostrowski

Nie wierzyć śmierci

W październiku tego roku odbywałem w ramach studiów polonistycznych praktyki nauczycielskie w Gimnazjum nr 19 im. Św. Jana Kantego w Krakowie. Miałem przyjemność prowadzić zajęcia głównie z klasami trzecimi, przyjemność tym większą, gdyż wskazane przez wiodącego nauczyciela i opiekuna klasy - Elżbietę Dębiec-Krupę, tematy pozwalały szeroko wykroczyć poza, na pewno konieczny ale monotony schemat podręcznika „Świat człowieka”, zgodnie z którym przebiegają lekcje. Obok Konopnickiej czy Turgeniewa pojawiła się zatem – jak się przekonałem zupełnie nieznaną uczniom – poezja Julii Hartwig, Małgorzaty Hillar, Joanny Salamon, Kazimierzy Iłakowiczówny, Krystyny Szlagi i, oczywiście, Marianny Bocian.

Lektura wiersza Marianny Bocian miała miejsce w związku z rozmową na temat roli miłości w życiu człowieka, a w szczególności miłości rodzicielskiej. Zaproponowałem tematycznie trudny w odbiorze utwór „Pośród męki” z tomu „Spojenie” (Wydawnictwo Dolnośląskie, 1988). Trudny, bowiem rozważający tę miłość w ostatecznym jej wymiarze.

Podczas lekcji, która przebiegała pod hasłem (będącym zarazem cytatem z wiersza) „Los ciała nie ujmuje miłości”, zwróciłem się z prośbą do uczniów, by napisali refleksję na ten temat. Rezultat był znakomity, biorąc pod uwagę fakt, iż nie było to obowiązkowe zadanie domowe. Otrzymałem kilkanaście wypracowań, z których fragmenty prezentuję poniżej. Potwierdzają one przede wszystkim jedno: otóż nie należy obawiać się wprowadzania na lekcje języka polskiego najbardziej nawet bolesnych tematów, jak właśnie śmierć bliskiego człowieka. Im wcześniej się to robi, tym lepiej dla ucznia.

Marianna Bocian

Pośród męki

najtrudniej uwierzyć ojcu i matce
patrzących w śmierć dziecka

ich dziecko zawsze będzie w nich obecne
do końca... do ostatniego ruchu żrenice!
los ciała nie ujmuje miłości

matka będzie jak w śnie
czekać z obiadem na stole
i na głos pytać czystego powietrza
: dlaczego tak długo nie wracasz ze szkoły!
suche tży ojca tylko odpowiedzą
żrenice patrzące tak
że NIC nie widzą
nawet ciemności męki

nie uwierzą
bo umarli w dziecku
przed własną śmiercią

Rozważania uczniów

Katarzyna Dyzio:

W wierszu Marianny Bocian *Pośród męki* jest mowa o miłości rodzicielskiej, która bez wątpienia jest jedną z najpiękniejszych, najszczerzych oraz najbardziej trwałych. Jest tak silna, że rodzice nie mogą pojąć śmierci. Nie wierzą, że ich dziecko nie ma już z nimi.

Magdalena Figiel:

Miłość rodzicielska często uważana jest za najszlachetniejszą odmianę tego uczucia. Zarówno w omawianym wierszu, jak i w każdym innym przypadku, jest ona bezinteresowna, wy-



Marianna Bocian

baczająca i naprawdę ogromna. Nie ma większej tragedii dla rodzica niż śmierć własnego dziecka! W tym przypadku nie sprawdza się powiedzenie, że „czas leczy rany”.

Miłość rodziców jest nieskończona. Będzie trwać wiecznie i również zawsze towarzyszyć będzie jej cierpienie. Zgodnie ze słowami „Hymnu do miłości” z Listu św. Pawła do Koryntian, prawdziwa miłość „nigdy nie ustaje”.

Wioleta Golonka:

Utwór ten opisuje, jak ogromne cierpienie przeżywają rodzice po utracie swojego dziecka. Nie wierzą, że ich małe dziecko nie ma już z nimi: „nie uwierzą / bo umarli w dziecku / przed własną śmiercią”. Po tak wielkiej tragedii ich życie straciło sens. W wierszu opisani są rodzice, którzy chodzą niczym we śnie, wciąż czekając na powrót swojego dziecka ze szkoły. Nie myślą już o życiu „żrenice patrzące tak / że NIC nie widzą / nawet ciemności męki”.

Kinga Kowalik:

Miłość rodzicielska pojawia się wraz z rodzinami dziecka lub w niedługim czasie po nich i umacnia z każdym kolejnym dniem życia. Ten rodzaj miłości jest naprawdę wyjątkowy. Ludzie, którzy nigdy jej nie zaznali na zawsze będą mieć w sercu pustkę. Kierując się w życiu miłością rodzicielską jesteśmy niezwykle odpowiedzialni i opiekuńczy. Jesteśmy w stanie nawet oddać życie za swoje dzieci.

Miłość rodzicielska poddawana jest licznym próbom i wyzwaniom. Często w okresie dorastania dziecko traci kontakt z rodzicami, powstają między nimi liczne konflikty i nieporozumienia. Rodzicom wtedy bardzo ciężko jest pojąć to wszystko, co wówczas dzieje się w głowie dziecka, o czym myśli i jakie ma poglądy na świat. Spowodowane jest to wszystkim nadmiernym okazywaniem opiekuńczości, obawą o bezpieczeństwo dziecka i zbyt dużym ograniczeniem młodemu człowiekowi swobody do wykazania się i udowodnienia swych racji w określonych sprawach. Rodzice w tym czasie często zapominają, że ich dziecko nie jest już przedszkolakiem, za którego trzeba wszystko robić, lecz pra-

wie dorosłym człowiekiem chcącym mieć wpływ na swoje życie.

Jolanta Kurdziel:

Wiersz Marianny Bocian *Pośród męki* opisuje miłość rodziców do swych dzieci. Mama zaczeka na dziecko z obiadem, przytuli, pocieszy, a tata da dobrą radę. Tak powinna wyglądać prawdziwie kochająca się rodzina.

Niestety często jest tak, że matka, czy ojcowie piją, a dzieckiem nie ma kto się zaopiekować. Wtedy dziecko nie ma się gdzie podziąć, ucieka z domu, bo nie chce spędzać czasu ze „złymi” rodzicami. Takie niekochane dzieci są nieszczęśliwe, smutne, przygnębione. Ale na szczęście są tacy rodzice i takie rodziny, w których jest miejsce na miłość.

W wierszu powiedziane jest, że dziecko zawsze będzie dla rodziców obecne, że zawsze będą o nim myśleć, zawsze będą je kochać.

Wiersz *Pośród męki* jest bardzo smutny, bo porusza temat śmierci, ale także temat rodzin zarówno kochających się, jak i patologicznych. Każdy z nas rozmyśla o tym, czy jego rodzina go kocha, czy odrzuca go i, jak zachowałby się jego rodzice w takiej sytuacji, jak ta ukazana w omawianym utworze.

Sara Niedbała:

Jest wiele rodzajów miłości, lecz bez wątpienia jedną z największych i najbardziej szczerzych jest miłość rodziców do dziecka. I chociaż wiele dzieci dorasta w przekonaniu, że nie są kochane przez najbliższą rodzinę, to w rzeczywistości (najczęściej) tak nie jest. Rodzice nie okazują na wprost uczuć, twierdząc, że ich pociechy są świadome miłości jaką oni je darzą. Ale gdyby „przyszło co do czego” matka i ojciec bez zastanowienia oddaliby życie za swą córkę czy syna.

Kto najbardziej przeżywa śmierć człowieka? – Jego rodzice. Lekarze twierdzą, że ból jaki przeżywa matka po stracie dziecka jest największym jakiego może doświadczyć człowiek – nie jest w stanie mu dorównać nawet najstraszniejszy ból fizyczny. Naukowcy z kolei dowodzą, iż matka pod wpływem adrenaliny, gdy dziecko znajdowałoby się pod ciężarówką, jest w stanie ją przewrócić, aby je ratować.

Tę właśnie miłość opisuje Marianna Bocian w swym wierszu *Pośród męki*. Bez wątpienia miłość ta jest wieczna i nawet śmierć nie jest w stanie jej zagasić.

Agata Nowak:

Wraz ze śmiercią dziecka umierają rodzice, jednak ich ciała wciąż są, tylko bez duszy, która poszła do grobu razem z duszą dziecka. Pograżeni w męce, patrząc, lecz nie widząc, dotykając, lecz nie czując, pytając, lecz nie słysząc odpowiedzi zatracają się. „Suche tży ojca tylko odpowiedzą / żrenice patrzące tak / że NIC nie widzą / nawet ciemności męki”.

Zuzanna Pyrkosz:

Istnieje wiele rodzajów miłości. Według mnie miłość rodzicielska jest największą i najtrudniejszą z nich. Rodzicom nie obchodzi stan materialny, społeczny lub fizyczny swojego dziecka. Kochają je pomimo wszystko.

W bardzo piękny sposób jest to opisane w wierszu Marianny Bocian.

„Matka będzie jak w śnie / czekać z obiadem na stole / i na głos pytać czystego powietrza / : dlaczego tak długo nie wracasz ze szkoły!”

Ojciec natomiast przeżywa to inaczej. Skrycie i po cichu cierpi, nie chce lub może nie umie okazać tego, co czuje. „Suche tży ojca tylko odpowiedzą / żrenice patrzące tak / że NIC nie widzą / nawet ciemności męki”.

„Los ciała nie ujmuje miłości”, dlatego i śmierć dziecka nie zmniejsza w żaden sposób miłości do niego.

Magda Zbrzeźna:

Mówi się, że owocem miłości dwojga ludzi jest dziecko. Więc gdy ono przyjdzie na świat, miłość kobiety i mężczyzny staje się podwójna, bo kocha się i partnera i dziecko. Zarówno ojciec jak i matka chcą jak najlepiej wywiązać się z obowiązku, jakim jest wychowanie dziecka. Rodzice nie wyobrażają sobie życia bez niego.

A właśnie... Co by się stało gdyby owo dziecko umarło? W tej trudnej sytuacji żaden z rodziców nie chciałby w to uwierzyć. „*Ich dziecko zawsze będzie w nich obecne*”. Na pewno też nie przestaliby go kochać, bo przecież „*los ciała nie ujmuje miłości*”.

Matka czeka z obiadem na stole, a powietrza dopytuje się, „*dla czego tak długo nie wracasz ze szkoły!*”. Ojciec w stosunku do matki mniej uzewnętrznia swoje uczucia i dlatego jego lzy są „*suche*”.

A czemu tak naprawdę rodzice nie wierzą w śmierć dziecka? Ostatnie trzy wersy nam to wyjaśniają:

„*nie wierzą
bo umarli w dziecku
przed własną śmiercią*”.

Miłości rodzicielskiej nie da się zastąpić żadną inną miłością! Wspaniale jest być kochaną córką czy synem, ale ważną rzeczą jest też, aby odwzajemnić to uczucie.✶

Ariana Nagórska

Nie wychylam się!

W niektórych listach nadesłanych na konkurs „*Dyktatura-Unikat*” pojawiły się nieśmiało pytania, czy sama też coś piszę? „*Być może nie wypada mi o to pytać, bo jest to sprawa prywatna, intymna*” - zastrzega się jeden z uczestników. W moim akurat przypadku wprost idealnie trafił w sedno problemu. Swój pierwszy w życiu wiersz napisałam całkiem niedawno, w wielkiej tajemnicy. Opiewał on mą nostalgię za epoką Gierka i gdybym choć jednej osobie miała o tym powiedzieć, chyba bym się ze wstydu pod ziemię zapadła. Wiersz ten ukryłam na samym dnie szuflady, jednak to on właśnie stał się inspiracją do ogłoszenia prywatnego konkursu. Moim głównym problemem w kapitalizmie nie jest brak pieniędzy, tylko brak wiary we własny talent! Nim ostatecznie zadecyduję, czy ten jedyny mój utwór komuś pokazać, czy też wyrzucić, postanowiłam najpierw dowiedzieć się, jak piszą inni nieznanzi. Stąd konkurs.✶

OBYWATEL
www.obywatel.org.pl

9 - kwartalnik poświęcony polityce, społeczeństwu i ekologii. Podejmuje problem szeroko rozumianej jakości życia, przeciwstawianej wąskiej koncepcji tzw. wzrostu gospodarczego. Zajmuje się krytyką współczesnej rzeczywistości polityczno-gospodarczo - kulturowej. Jest otwarte na nieskrępowaną dyskusję o palących problemach społecznych, porusza tematy niepopularne i „złe widziane” w innych mediach. Wykracza poza standardowe podziały polityczne w myśl zasady:

„*Nie jesteśmy ani z obozu lewicy, ani z obozu prawicy. Jesteśmy z obozu zdrowego rozsądku*”.

szukaj nas w salonach prasowych
empik, inmedia, kolporter, relay, ruch

Paweł Michalczyk

Milczenia

*Jak ładnie umiesz milczeć
jak nie czynisz
swego milczenia natrętnie wymownym*
U. Kozioł

Mówić o milczeniu zakrawa na absurd. Najstosowniej byłoby milczeć. Tylko, kto wtedy znalazłby treść i inspirację naszego milczenia. Dlatego niekiedy trzeba zabrać głos.

Milczenie ma swoje miejsce między ludźmi. Nie od dziś zwykło się powściągać język, gdy ten zdaje się być bezradny wobec niewypowiedzianego. Są chwile i sytuacje, gdy słowo krępuje swoją monotonią. Siega się po metaforę, która zestawiając dwa lub więcej słów z różnych krain, niejako stwarza nowy świat, zasłaniany przez każde z nich, wzięte pojedynczo. I choć odkrywa ona przestrzenie nieogarnione, to i metafora sama zatrzymuje niepotrzebnie uwagę. Dlatego coraz bardziej wymowne staje się milczenie. Tak w tekście, jak między ludźmi:

*zgódź się być tylko ciszą więcej niczym
to bardzo trudno stać się ostrym punktem
tak ostrym by zawiesić na nim ziemię
ostrym jak nic jak nieistnienie
które znalazło inny sposób bycia niż jest życie!*

Ostre jak nieistnienie, milczenie staje się pomostem między tym światem a innym. Bo każdy człowiek jest osobny. Tworzy świat, pomiędzy innymi, w które jest wpisany. Świat obok świata, mozaika inności tym jedynie związana z otoczeniem, że jest. W łańcuchu istnień wyławia swoją osobność, dając jej treść i wymowę. To metafora. Istnienie dyskretne.

Milczenie staje w obliczu Drugiego. I zaczyna mówić. Bo samo, osobne, nieodniesione - zdaje się istnieć w zawieszeniu. Mieć wymowę warunkowo tylko. O ile zostanie zdjęte z półki niebycia, postawione obok, zapytane. Ale odpowiedź nie musi być niema, choć jest bez słów.

*Nieobecność niestrudzenie szuka obecności
przesiewa wszystko co jest z łatwej zgody
z kompromisu zwanego wiecznością
nas urząda tylko niemożliwość
czasu teraźniejszego²*

Jak wymowne są nieme słowa, blade na białym papierze, zapisane sympatycznym atramentem milczenia. Bo taki jest nasz świat. Taki i człowiek. I Bóg, który w ciszy zwykły przemawia:

*I rzekł mu: Wynidź a stań na górze przed Panem!
A oto Pan mija, i wiatr wielki i mocny wywracający góry i kruszący skały przed Panem: nie w wie-*

Ja, czciciel rymu

Nagroda „*Nike*” dla Jarosława Marka Rymkiewicza, poety, który konsekwentnie uprawia poezję rymowaną, zwróciła uwagę świata literackiego na tę, konsekwentnie spychaną na margines, formę wersyfikacji.

Redakcja „*Akantu*” od wielu lat upomina się o powrót do źródeł. Zarówno wierszami (A. Błachucka, S. Chyczyński, Z. Szwaja) jak i akcją publicystyczną. Zapoczątkował ją Stefan Pastuszewski („*Akant*” 2000, nr 1, s. 1,11,34) głosząc „*śmierć*” werslibru, a twórczo rozwinęli: Anna

trze Pan. A po wietrze wzruszenie: nie w wzruszeniu Pan. A po wzruszeniu ogień: nie w ogniu Pan. A po ogniu szum wiatru cichego. (1 Krl, 19,11-12)³

Na pewnym poziomie słowa są już niepotrzebne. Ważniejsze jest zasluchanie, gotowość na przyjście Nieznanego. Czy w powiewie, czy szumie drzew, czy w milczeniu roślin.

*Odgaduję języki drzew
(psalmy lasów opanują później)
głoski igieł i liści
rozkładam i buduję na nowo*

*nie wierzę w milczenie roślin
wymówkę
gadatliwej natury*

*wystarczy wrosnąć w ziemię
z zaciekawienia
korzeniami wyssać
bezpieńskie zachwyty*

*alfabet kory
słownik gałęzi
odmiany liści⁴*

Obcowanie z Tajemnicą uwrażliwia na subtelną „*mowę*”, język bez słów i deklinacji. Przesłaje przeszkadzać nieuchwytność i pozorną wieloznaczność niesłyszanej mowy. Ważne jest oczekiwanie, szukanie zrozumienia, cokolwiek byłoby przedmiotem tego ostatniego.

Szukam porozumienia z tym światłem, z tą brzozą. Biel jej kory jak skóra nietknięta, dziewicza. Jak spotkać, ujrzyć więcej i urosnąć wewnątrz, nie będąc złodziejem?⁵

Poza słowami, poza ramionami cudzysłowa, poza dźwiękiem brzmiejących głosek - można odczytać więcej. Więcej niż w tekście piśmianym, mówionym, oglądanym za oknem czy obok, w gęstwinie zieleni. Milczenia, które nas otaczają, napełniają świat subtelną mową. Dyskretną, wskazującą na prawdziwą wartość tej codziennej. Na którą nie zwracamy uwagi. Którą przestaliśmy szanować, zamieniając w pianę gazetowej papki.

¹ A. Kamieńska, *Punkt*, [w:] *W pół słowa*, Warszawa 1983, s. 12.

² Rozmowa, op. cit., s. 26.

³ *Biblia w przekładzie ks. Jakuba Wujka z 1599 r.*, transk. typu „*B*” oryg. tekstu z XVI w. i wstępy ks. Janusz Frankowski, Warszawa 2000.

⁴ *Języki lasów* (tekst autorski).

⁵ *Brzozy nieokradzione* (fragment) (tekst autorski).

Błachucka („*Akant*” 2003, nr 10, s. 47), Wojciech Boros („*Akant*” 2000, nr 5, s. 10), Bożena Budzińska („*Akant*” 2000, nr 9, s. 20-21), Cezary Tajer („*Akant*” 2001, nr 3, s. 25-26), Zbigniew Szwaja („*Akant*” 2003, nr 8, s. 43) i Jarosław Sułkowski („*Akant*” 2003, nr 10, s. 45-46).

Pod hasłem zaczerpniętym ze zbioru Z. Szwaji „*Ja, czciciel rymu*” będziemy zarówno toczyć tę debatę, jak i publikować dobre wiersze rymowane.✶

Jerzy Stązka

Tęcza

Pachnie igiełkami, co zapachem obtłukują się wzajemnie, jak dźwięki orkiestry grającej tę najnowszą muzykę, w której idzie o to, żeby się zderzać; zupełnie jak w ulicznych korkach.

Jedno różni ten świat igiełek leśnych od świata miasta: te różne zapachy lasu łączy coś, co jest nienazwane, było nienazwane i będzie nienazwane... tylko czasem ktoś próbuje sklasyfikować ten byt, kiedy mówi o nim choćby: „cisza”, albo „pełnia”, albo „ukojenie”... a tu brakuje nazwy dla łączenia wszelkich istnień i zjawisk... że do zbioru fałszywych imion można dodać: „guma doskonała”.

A kiedy powracam z miasta, podzielony na „grodzie mysłoszczelne”... kiedy powracam do lasu, staje się ze mną coś takiego, jak to co się dzieje z kostką lodu położoną w ciepłej kuchni... zmieniam stan skupienia i płaczę... a nie wiem, czy jest różnica między igiełkami pachnącego lasu, a moim płaczem, a także oddechem, nabieranym tak celowo, jak się podejmuje zamiary.

...Czas objajający się o przeróżne grodzie mojego ja... mięknie, smaruje krawędzie, otula ciepłą mgłą i jestem nią odziany.

Ale czy cokolwiek udaje się pozostawić bez powrotu... wędrowałem z nadzieją na to... piasek dróg kurzył się jak popiół; świadectwo epok... jak to mnie pocieszało... zdejmowałem siebie z tej wagi chwil, rozrzucając pył dróg krokami: ot spotkanie jednego kroku z muzeami czasu...

Pozostawić? A jak zostawia poprzeczkę skoczek? A jak zostawia syty głodnego?

Leszek Goldyszewicz

Dlaczego sztuka?

Żyjemy w czasach ogromnego zamętu. Wartości, które wpajali nam przez stulecia wybitni filozofowie, etycy czy teolodzy uległy w dużej mierze zapomnieniu. Wiemy co to są wartości, lecz nie doświadczyliśmy ich smaku. Przyspieszony przepływ informacji sprawia, że wielu z nas czuje jakby stało na rozdrożu bez drogowskazów.

Na dłuższą metę trudno tak żyć, jeśli się w miarę wrażliwą istotą ludzką. Podejmowanie trudu tworzenia, w tym przypadku myślę o sztuce w jej wszelkich przejawach, jest już zwycięstwem wiary, że człowiek jest czymś więcej niż biologiczno-psychiczną istotą, bo takimi również są zwierzęta. Aktywność w tym obszarze ustanawia to, co nazywamy kulturą, bądź w szerszym kontekście – cywilizacją. Człowiek ma w sobie głębokie pokłady pragnienia uczestnictwa w zbiorowości, pomimo przejmującego poczucia odrębności czy nawet osamotnienia. Sztuka jest jednym, obok religii, z rodzajów wyjść z tej sytuacji.

Problem obecnego czasu sztuki polega na tym, że tak jak dawniej obowiązywały kanony, w obrębie których artysta mógł realizować swą wizję, tak dzisiaj absolutna wolność zostawia go sam na sam ze swym sumieniem, czy inaczej imperatywem prawdy – czyli autentyczności. Czasem zdarzają się skandale, gdy dochodzi do przekroczenia granicy, która w odczuciu pewnych grup społecznych przekroczone być nie powinna, z tym że kryteria tych przekroczeń nie dla wszystkich są tak samo jasne. Artyści realizowali i realizują najbardziej humanistyczne przekazy wtedy, gdy spełniali i spełniają najpełniejszą wizję własnego człowieczeństwa w ramach wolności, nie zniewalającej jednak innych. Czasami wobec społeczeństwa wydaje się to być, czy nawet jest, buntem, lecz musimy pamiętać, że ono w swych wymaganiach wobec jednostki jest pewną prze-

... Zło i dobro to może dwie formy pozostawiania; bo jeśli nic nie ginie?

Pamiętam ten film... to było tam, gdzie dobro jest nagradzane (bohaterowie są mądrzy, młodzi, bogaci)... w Świętym Lesie (Hollywood... jak grzyb wraść film w nasze puste nocą miasto, pod pęczniącym cytrynowo księżycem...

Nic nadzwyczajnego na pozór tam nie było: policjanci zwalczali gangi... piękna kobieta kochała zucha szeryfa; i tak dzielili czas na czule objęcia oraz strzelaninę... zawsze tryumfowali...

Ale sącząc się i wciekając, napelniała mnie prawda, przy której zdawałem się być woskową figurką, pajacykiem, zabawką... Ci Dwoje należeli do innego (LEPSZEGO) gatunku ludzi... ja byłem przy nich „udomowionym zwierzęciem”; a jeżeli to mnie przerażało, to zastygłem w woskowej formie laleczki.

Mieli bardzo wysokie czoła i byli „nieprzystosowani” do jakiegokolwiek słabości... a kochali, jakby się landrynki zlepiały w „niebiosach opakowania”.

Zadrzałem wobec własnej galaretowatej niepewności, stanąłem przed lustrem; patrząc na swoje czoło, jakby na przepustkę... odgarniałem włosy i czoło zaokrąglało się; układałem je w bok i smukła jak gotycka wieża...

Dreptałem... wypatrywałem ludzkich czoł; odsuwałem się z odrazą od tych niskich; peszy-

ciętą wartości wysokich i niskich. Niejednokrotnie jest tak, że aby poruszyć, trzeba spowodować i... rzeczywiście tak się dzieje. Często prowokacje te popychają dalej percepcję tych, którzy problemami świadomości na co dzień się nie zajmują. Poszerza się przez to wizja świata również wewnętrznego (duchowego), który – jak pokazuje historia – nigdy nie jest takim lub tylko takim jakim widzą go jego współcześni. Dążący również do poczucia bezpieczeństwa (niemożliwego w pełni) człowiek czy dane społeczeństwo potrafi być restrykcyjne wobec tych (artystów), którzy w jego mniemaniu podkopują fundamenty wspólnego, pozornie tylko przytulnego domu. Historia znowu pokazuje, że bardzo często twórcze jednostki, nie zrozumiane w swoim czasie, tworzą standardy myślenia i postęp w widzeniu rzeczywistości dla przyszłych pokoleń.

Sztuka ma jeszcze jedną ważną cechę ukazuje uniwersalizm ludzkich pragnień, prężyć czy marzeń. Ma swoją ciągłość, której nie są w stanie przerwać żadne katastrofy społeczne czy jednostkowe tragedie. Niesie swoje przesłanie niezależnie od kondycji społecznej tego, który tworzy i tego, który odbiera; zawsze pozostaje tajemnicą istoty człowieczeństwa.

Imperatyw tworzenia nie podlega również ocenie moralnej, konstytuuje się nawet za cenę ryzyka zdrowia czy życia. Wielką tajemnicą sztuki jest fakt, iż często wielkiego formatu duchowego dzieła wskazujące wartości humanistyczne, tworzone były przez ludzi równie wielkich wad, słabości, czasami również przekraczających normy prawa swoich czasów. Musimy jednak pamiętać, że i prawo zmienia swoją kodyfikację i ewoluuje na przestrzeni stuleci. Funkcją sztuki nie jest więc jakiegokolwiek nauczanie czy propaganda, choć nie raz tak ją widziano. Raczej jest ona lustrem dla każdego znajdującego się pod jej wpływem. Widzenie jest zależne od wielu czynników i indywidualne doświadczenie mocno wpływa na percepcję tej samej rzeczy przez różne osoby. Nie jest możliwe więc, by w danym przejawie sztuki każdy widział to samo. Najważniejsze jest, by odbywał się dialog podnoszący na wyższy poziom rozumienia każdego kto w nim uczestniczy. *

łem się przy tych wysokich... ten proceder uprawiałem potajemnie, jak zbroczenie świadomy pluwawości zbroczenia... Nie próbowałem nikogo poznawać, badać jego ruchów i dążenia... praktykowałem „czołobitność”.

Zakonserwowane przez Encyklopedie pojęcia: „rasizmu”, „pogardy”, „samotności” – należy otworzyć jak puszkę z jedzeniem, żeby przyrzadzić zło... samemu to się robi, bo Encyklopedie nie znają „potrawy ze zła”.

Zło niczego samo nie uczyniło, jest jedynie potrawą, po której działamy... skąd bierze się przepis na nią(?)... jak to się dzieje, że w hollywoodzkim filmiku znalazłem ten przepis(?)... gdzie on jest pierwotnie, skoro objawia się w czymkolwiek?

Ale oto las... paprocie; ich zarodniki ułożone jak naboje na taśmie... pokrzywy jak dziewczęta, które dokuczając kamuflują, że są miękkie... cienie pod świerkami tak ciemne, że wyglądają jak doły, w których mieszka pleśń kochająca się z wilgocią... obok dęby i ich liście tak wyciśnięte jak wzór do zdobienia okiennic; ich żółte kare, połyskliwe, jak żrebęta.

Widzę też nory, te otwory w ziemi, bramy domów myszy leśnych i kto wie kogo: żmij, jaszczurek?

Otwory milczą, a ja je omijam, bojąc się ich mieszkańców... ich ugryzień z przerażenia.

Dochodzę wśród pokrzyw, tam, gdzie ziemia namaka i trawa zwierza się w kępy; im dalej, to pomiędzy kępami błyszczą kałuże.

Wesołe jest to bagno, woda przyjmuje żółto-żółtą rękę światła i oddaje ten uścisk bardziej srebrnym, niepodzielnym.

Ta niepodzielność podpowiada, że coś się zaraz skończy, jestem zaciekawiony; idę coraz szybciej... z kępy na kępę... I istotnie okolica zmienia się, nieco unosi się, pozostawiając kałuże jak poty po trudzie... już ziemia jest sucha, pokryta starymi szyszkami, przypominającymi wysuszone wielodzietnością kobiety; ich zeschnięte rozgięte skrzydełka... niepokoją jak poczucie winy... czemu?

Ale zaraz staję przed ścianą ziemi; rozciąga się jak daleko mogą spojrzeć, zupełnie jakby dzieliła dwa światy... chcę sforsować ten mur... choć jest gliniasty, to dość szorstki od trawy i kępek mchu, że można jakoś zacząć stopy. Przytrzymując się trawek, wdrapuję się i im jestem wyżej, rzadziej cień i ustępuje wilgoć...

Na szczycie znajduję płaskowyzę... porośnięty sosnami kolosami o miedzianych pniach i zielono-żółtych koronach... a wszędzie mech jedwabny jak policzki dziecka.

Powietrze unosi płuća, że się zdaje być lżejszym. Skąd przekonanie, że karmię się powietrzem? Czy stąd, że ma kolor rozsiewanej pszenicy?

Jestem... nie nazwę tego szczęściem... tego jak bądź nie nazwę... wiem, iż nic nie odbierze mi tego, że jestem... nie potrzebuję nazw, skoro są jedynie warunkami obrony przed niebytem.

Siadam na kamieniu, schodzą się mrówki, że aż czerwienieje w oczach, jakieś wspomnienie o ruchach Browna... bezład?

Nie zauważam nawet, jak przysiadają się kilkoro ludzi, nie płoszy mnie ich „magiczne przybycie” i naturalne, jak w naturze góry, milczenie. Spokojnie patrzę w moje oczy... pewnie nie pierwszy zabląkałem się tutaj z miasta, bo rozpoznawali moje zmęczenie i olśnienie, to, co może odczuwać noworodek... podjęli mnie pod ramiona i poprowadzili, a ja poczułem się bezpiecznym.

Ci ludzie byli krępi, a ich ubrania ze sfilcowanej wełny, czarne czy szare, miały kolor uschniętych gałęzi.

Prowadzili mnie pewnie, że mogłem zmrudzić oczy i przepatrywać rozszczepiające się na rżesach snopki światła.

Tęcza; jedyne istniejące rozszczepienie, co spójne jest jak dłoń... *

Arkadiusz Frania

Enfant terrible poezji

Twórczość PIOTRA A. TOMASZA TARNOWSKIEGO stanowi w młodej poezji częstochowskiej zjawisko osobne, dojrzałe i oryginalne. Autor dotąd opublikował w krakowskim Wydawnictwie Miniatura dwa zbiory wierszy: *Argonauci i Odysi* (1996) oraz *A jednak szkielko i oko* (1997)¹, będące przedmiotem naszego krytycznego rozpoznania.

Poetę cechuje zdolność do autokreacji, co przejawia się nie tylko w byciu artystą, ale m.in. w narzucaniu czytelnikowi sposobu odczytania i rozumienia swoich wierszy. Jest to znak samoświadomości twórczej, a także wyraz manifestofilii. Autor podejmuje grę z odbiorcą, próbując zwięźle intencje czytelnika. Poeta poprzedza kolejno zbiory wstępami: *Od Autora* i *Od Czytelnika*, przy czym za kreacją „Czytelnika” ukrywa się bez wątpienia sam twórca, który kocha wygłupy i błazenadę. Drażni, a więc zmusza do myślenia. Jego teksty są pełne bufonady, rozmachu, polotu i konceptu. P. Tarnowski to bowiem żywe, pobudzające do podjęcia dialogu, wcielenie *poetus provocator*. Jako *enfant terrible* zadaje niezręczne pytania np. o to, kto może odbiorcy przyprowadzić rogi (*Pytanie za sto punktów*, SO12). W autobiogramie pomieszczone w debiutanckim tomie czytamy: „Piotr A. Tomasz Tarnowski – vel Piter, PIT-34; bonapartysta, poeta, podróżnik, kolekcjoner, dramaturg, eseista, tłumacz, krytyk, filozof, esteta, prześmiewca, nicpoń” (AO77).

Jako prowokację, nie zaś grzech pychy, można odczytać autoocenę zbioru *A jednak szkielko i oko*: „To najlepszy tomik Tarnowskiego, jaki się dotychczas ukazał!!!” (SO [czwarta stronica okładki]). W zbliżonym tonie manifestu dadaistyczno-futurystycznego została utrzymana recenzja Sławomira Almazora Burszewskiego: „Był poeta Tarnowski słonecznym Argonautą, stał się konsekwentnym antyromantyką. Drzyj Mickiewicz! Drzyj Słowacki!”².

Genezę zaś swojej twórczości autor tłumaczy w formie deklaracji: „Piszę o moich obsesjach, pasjach i fantasmagoriach. Piszę, bo jestem chory, a nie wierzę w antybiotyki. Piszę, bo wolę rzeczywistość rozciąć kpiną niż łkać i biadolić” (AO77).

W poezji P. Tarnowskiego zwracają uwagę wiersze, które sam autor określił mianem „*ćwiczeń lingwistyczno-semantycznych*” (AO6). Tropienie i rozbijanie wyrazów, struktur i atomów znaczeń, ma jednak na celu nie tylko wywołanie efektu humorystycznego, ale jest przede wszystkim opisem (obrazem) rzeczywistości. Efekty tych prób odkrywają nieraz także złowrobnie treści, konstatujące ciemne strony ludzkiego bytu i natury.

Lingwistyczne eksperymenty P. Tarnowskiego wykazują powinowactwa formalne z wierszami zawartymi w tomie Roberta Tekieli *Niby* (1993).

Częstochowski poeta tworzy neologizmy, określające nowe zjawiska cywilizacyjne. Poprzez kontaminację nazwy choroby „AIDS” i imienia „Agnieszka” powstał wyraz pospolity: „*aidsnieszka*” (AO21). Odpowiedni zapis słowa „*ssak*” pozwala wydobyć z niego dwie symbolizujące naturę ludzką (dobrą i złą) formacje wojskowe – SS i AK: „*ssAK / SSak*” (SO26). Własna ludowa etymologia imion bohaterów bajki o Królowej Śniegu dowodzi: „*nazywam się / Kaj / i kajam się / przed / Tobą // a ja / nazywam się / Gerda / więc / tobą / gardzę*” (SO32). Brak tolerancji dla innych kultur i rasizm został zobrazowany w wierszu *Iwan, Żydzi i Rumunii*: „*Awan / gardzi // imre / Sjonistami // Roman / tyz mu // wisi // - na drzewie / z rękami / związanymi / drutem / kolczastym*” (AO24).

Tekst: „*wy / poczęć / wy / tyżeczować // my / kochać / my / wychować*” (AO26) brzmi jak opowieść obcokrajowca na temat jasnych i ciemnych stron miłości fizycznej.

Poeta rozbija strukturę morfologiczną wyrazów, nie bacząc na etymologię, a nawet ostentacyjnie wbrew jej logice. Słowa poddaje modyfikacjom, by wyrażały zdumiewające treści.

W dyptyku *Niekoniecznie zimowa powiastka o szadzi, szronie gołoledzi i śniegu* czytamy: „*w szadz se gdzieś / swój szron atomowy*”, „*goło leć / w śnie góralko*” (AO14). *Zona Lota* objawia, iż „*zona lota / - za innymi*” (AO13).

Pożegnanie z bronią zostało przez P. Tarnowskiego zinterpretowane jako pożegnanie.

Fraszka na oficera zderza biblizm: „*widzieć żdźbło w cudzym oku, a w swoim belki nie widzieć*”, z belką oficerską na mundurze (SO37). Koncept *Romansu* ma zaś charakter żartu fonetycznego: „*Od uszka / do łózka*” (SO55).

Twórca wyraża bunt przeciw traktowaniu *homo sapiens* jako istoty wymiernej, dającej się określić w liczbach i wartościach matematycznych, dostępnej „*szkielku i oku*” „*mędrca*”. Ironicznie – i jednocześnie makabrycznie – brzmi fragment wiersza *A jednak szkielko i oko*: „*człowieka / nie da się / przedstawić / tylko za pomocą / liczb // jak to nie da? // - a Oświećmy...*” (SO7). Ukryta natura ludzka ma niekiedy charakter zbrodniczy. Do ekshumacji masowych grobów nawiązuje *Archeologia*: „*Szpadel archeologa / odkopuje doły / w których leżą / ci którzy je sobie / szpadlami wykopali // doły są długie, szerokie / głębokie, ciała leżą / warstwami*” (SO23).

Człowiek poddany rygorom konwensu i nakazów społeczno-obyczajowych marzy o wolności, swobodzie: „*więć gdy tylko uda mi się / wyrwać... // na każdych zwłokach swoich ofiar / krwawą szminką / podpisuje się: / Margaret Astor // - jak pięknie być sobą!*” (SO10). Nieraz pokusa zburzenia „*muzeum*” przepisów, nakazów i definicji jest tak wielka, że podmiot liryczny rzuca się na rzeźbę z młotkiem, bo „*muzeum potrzebuje trochę / życia, by ktoś w nim / zamieszkał, pobrudził*” (SO19).

Prowokacyjny charakter ma wiersz *Skrócona obsługa* wyrazu *cholera*, będący w gruncie rzeczy obrazem antyludzkiej moralności człowieka (SO24). Poeta ostrzega też przed władzą autorytarną, wolnością przyniesioną na bagnietach (But kształtuje świadomość, SO22).

Podmiot liryczny nie wierzy w mity dziecięce i bajki, ufając tylko temu, co można zobaczyć i dotknąć, stąd przepelniona rozgorączce niem konstatacja: „*widziałem świętego / mikolaja / / - miał przyklejoną / brodę*” (SO31).

Autor, tłumacząc tytuł swojego debiutanckiego tomu, pisze: „*ARGONAUICI – wciąż młodzi. Szukamy nowych doznań, dróg, gotowi ryzykować i zadawać pytania. A jednocześnie ODYSI – wystarczająco dojrzały by mieć już swoje ulubione obszary w czasie, w przestrzeni, w słowie – miejsca, do których wciąż wracamy...*” (AO5). Argo-

nauci i Odysi – „*poszukiwacze doznań życiowych*”, może nawet traumatycznych – zmierzają do celu: po „*złote runo*” i do Itaki. Współczesnym Argonautem jest pierwszy człowiek na księżycu („*male / człowiecze / łaknienie nieznanego // stawia / kolejny / - wielki / krok / ludzkości*”, AO9); a także każdy, kogo trawi „*łaknienie nieznanego*”, każdy, zdobywający nowe przestrzenie, nowe rejony. Odysami XX-wieku są wszyscy wracający, powracający do domu, wartości, człowieka. Idee są bowiem wspólne: „*ja Odys / ty Odys / ody dwa / my Odysy / wciąż wracamy / do mojej / do twojej / Itaki*” (AO75).

P. Tarnowski dostrzega kryzys poezji i uczuć, twierdząc, iż jedynie siłą można zmusić ludzi do słuchania wierszy (*Odwiedziny*, SO40). Pusta sala, głos poety, płynący z taśmy magnetofonowej, to obraz wieczoru autorskiego (SO42).

Częstochowski autor – z wykształcenia anglista – ma wielki szacunek dla twórczości Thomasa Stearnsa Eliota: „*panie Eliot / angielszczyzna / to bardzo / wykwiwna / kurtyzana // a pan ją / tak świetnie / ujeżdża // chłoscze // w ciągu / siedmiu dni / zmienia pan / ziemię jałową / w ogród / słów / tych najpiękniejszych / bo niewypowiedzianych / nieustyszanych / a pełnych / słowa*” (AO38-39).

Mimo przypadków wykorzystywania religii do celów politycznych, do tłumaczenia zbrodniczych czynów, wiara pojedynczej istoty zachowuje prawdziwe imię Boga: „*a Ty wciąż / żyjesz // - bo żywa jest / ma wiara*” (AO50). Z kolei liryk *Top ten* zawiera ocenę dekalogu na wzór zapowiedzi spikera audycji muzycznej: „*dekalog // od dwóch / tysięcy lat // najpopularniejszy / na liście / praktycznych / przewodników / do nieba*” (SO70).

Poeta często dotyka ważnych wydarzeń z historii i współczesności ludzkości.

Do wojny na Bałkanach w 1994 r. nawiązuje wprost wiersz *Jugosławia '94*, zawierający monolog: żołnierza (zapewne serbskiego) oraz reprezentującego siły pokojowe ONZ: „*jak tu tak stoję / w niebieskim hełmie / zując gumę / i peta pałac / to sobie myślę / oparty o spluwę / - może już jutro / się wykrwawię / i wrócę / do domu*” (AO68). Wydarzenia związane z uszkodzeniem reaktora atomowego przywołuje autor w wierszu *Czarnobyl*: kieliszek jodu „*zasiał / gorzki / smak / śmierci // naszą / codzienną // Czarno-biel*” (AO22).

Ważną grupę wierszy P. Tarnowskiego tworzą erotyki.

Podmiot liryczny pisząc: „*jestem listem do Ciebie*”, wskazuje na całkowite poddanie się kobiecie. *Moralitet* jest, skierowaną do partnerki, prośbą o życie pełne czułości. Pragnienie zwykłego, pospolitego, banalnego i prostego uczucia można dostrzec we fragmencie: „*niech to będzie normalna / historia z happy endem / z codziennością*” (SO59).

Wyjątkowo ujmujący wydaje się liryk *** (kiedy zobaczysz ją rankiem), „*kiedy zobaczysz ją rankiem / nieuczesałą i bez makijażu / biegającą po domu / w spodniach od dresu // kiedy przestajesz się bać / że się roztyje po / pierwszym dziecku // kiedy zobaczysz w niej / starą kobietę / jaką będzie / za lat czterdzieści // i nadal będziesz / chciał z nią być... // to znaczy, że / zauroczenie / minęło / - przyszła / miłość*” (SO65).

Stosując terminologię hutniczą, kreśli żartobliwy liryk *Romans w kombinacie* to rzecz bolesna – erotyk socrealistyczny, przynoszący obraz „*twardej miłości*”: „*papier ścierny twych policzków / drut kolczasty włosów // stalowe uda / ciężkie żeliwne piersi / żelazne dłuta paznokci // imadła objęć / okucia zwierzeń / hydrauliczne prace wspomnień / mechaniczne młoty codzienności // świdrujące spojrzenia*” (SO58).

Bodaj wszystkie wiersze z tomu *Argonauci i Odysi* zawierają daty, co może świadczyć o traktowaniu poezji przez autora jako swoistego rodzaju dziennika i kroniki duszy.

Większość liryków jest zakończona trzema kropkami w nawiasie „(...)”. Zwykle w ten sposób oznaczamy tekst pominięty. Poeta chciał być może stworzyć wrażenie, złudzenie niedokoń-

Urutuje każde auto
szybko • uczciwie • elegancko

FIRMA USŁUGOWO-HANDLOWA

Jerzy Szreder

- blacharstwo samochodowe
- mechanika samochodowa
- sprzedaż części do różnych typów samochodów
- elektrotechnika

ul. Szajnochy 14, 85-738 Bydgoszcz
tel. (052) 342 02 16

dokończenie ze str. 15

czonego, brulionowego charakteru zapisów lirycznych; wiersze stają się fragmentami nie opublikowanej całości pt. *Piotr A. Tomasz Tarnowski*.

Liryka częstochowskiego autora to poetycki kolaż rzeczywistości, postrzępiony obraz epoki reklam, tenelowel, oper mydlanych, komputerów, AIDS, coca-coli, telewizji kablowej, redukcji namiętności do orgazmu, człowieka do liczb. Jednocześnie poeta dokonuje mitologizacji rzeczywistości i współczesności mitologii; pojawiają się bowiem dwudziestowieczni Argonauci, Odysy, Hektor, Patrokles, Achilles.

P. Tarnowski traktuje poezję jako żywy organizm, na którym można, a nawet trzeba, przeprowadzać eksperymenty i doświadczenia medycyny uzdrawiającej literaturę. Poddaje działaniu prądu swojej wyobraźni i pomysłów lirykę (i rzeczywistość), by wydobyć z niej „inne światy” znaczeń. Nie znosi stagnacji, statyki, kocha działanie, cechuje się czynnym stosunkiem do człowieka, kobiety, świata, liryki, rzeczywistości, słów.*

¹ W omówieniu zastosowano następujące skróty tytułów książek Piotra A. Tomasza Tarnowskiego: AO – *Argonauci i Odysy* (Kraków 1996), SO – *A jednak szkieleto i oko* (Kraków 1997). Cyfra arabska obok skrótu oznacza stronę, z której pochodzi cytata.

² S. Burszewski, [recenzja], [w:] P. A. T. Tarnowski, *A jednak szkieleto i oko*, Kraków 1997, [czwarta stronica okładki].

KSIEGARNIE LITERACKIE, na których można polegać

Nie handlują książkami, tylko je sprzedają i upowszechniają. Współpracują z autorami i wydawcami (spotkania autorskie, promocje). W tych księgarniach książki czekają na Czytelników aż do skutku.

- Księgarnia „Leksykon”, 42-200 Częstochowa, Plac Daszyńskiego 13, tel. (034) 365 67 66
- Księgarnia „Edukacja”, 80-244 Gdańsk-Wrzeszcz, ul. Grunwaldzka 128, tel. (058) 341 51 19
- Księgarnia „Kultura”, 44-100 Gliwice, ul. Zwycięstwa 17, tel. 231 22 38
- Księgarnia „Czytało”, 75-201 Koszalin, ul. Dworcowa 5 „B”
- Księgarnia „Guliwer”, 87-300 Łęborg, ul. Staromiejska 17 „c”, tel. 628 959
- Księgarnia „Arsenał”, 61-772 Poznań, Stary Rynek 3, tel. (061) 27 08 09; Hurtownia „Arsenał”, 60-838 Poznań, ul. Dąbrowskiego 7, tel. (061) 848 04 25
- Księgarnia „Kapitałka”, 61-874 Poznań, Aleja Niepodległości 4, tel. (061) 856 01 40, ul. Mielżyńskiego 27/29, tel. (061) 851 93 20
- Księgarnia „Nowela”, 60-842 Poznań, ul. Dąbrowskiego 35/37, tel. (061) 853 77 15
- Księgarnia Studencka, 87-100 Toruń, ul. Fosa Staromiejska 3, tel. (056) 611 35 09
- Księgarnia „Wena”, 01-562 Warszawa-Żoliborz, ul. Mickiewicza 27, tel. (022) 839 40 02
- Księgarnia „Staromiejska”, 65-066 Zielona Góra, ul. Żeromskiego 16, tel. (068) 272 232
- Księgarnia „Elephas”, 2007 Wilno (Vinius), Olandu gatve; tel. (003702) 25 30 55.

Pisarzy i czytelników prosimy o uzupełnienie tej listy

Alfons Soczyński

Święty Franciszek z Asyżu

4 października obchodzony jest dzień, upamiętniający Świętego Franciszka z Asyżu. Jest On przykładem tej, tak trudnej do przyjęcia w naszych czasach prawdy, że można poświęcić życie nie tylko tak zwanemu robieniu pieniędzy i używaniu uciechy tego świata.

Nazwisko świętego brzmi: Giovanni Bernardino. Urodzony w 1181 roku lub 1182 roku. Jego ojciec, Piotr, był bogatym kupcem, matka Pika, szlachcianką z Prowansji /południowa Francja/. Zmarł 3 października 1226 roku. Wędrowny kaznodzieja, reformator religii. Nawoływał do surowego ubóstwa i miłości bliźniego. Główną cechą jego postawy była radość mimo ubóstwa i miłość przyrody. Kanonizowany w 1228 roku. Autor słynnej „Pieśni słonecznej”. A oto główne etapy jego życia:

Złoty młodzieniec z fantazją i sercem.

Wesoła i hałaśliwa kawalkada, śpiewając rycerską „Pieśń o Rolandzie”, przeplatana obelżywymi piosenkami, wyszydzącymi sąsiedzką Peruggię, wraca przy świetle księżycy z wiejskiego festynu do uspiętego Asyżu. Franciszek, siedząc na koniu, śpiewa i gra na mandolinie. Nagle Franciszek woła: - „Dość pieśni o wojnie! Teraz o miłości!” Śpiewają pieśń o Tristanie i Izoldzie. Gdy znaleźli się przed domem córki rzeźbiarza, Marysi, w której kochał się Andrzej, ubogi artysta malarz, Franciszek, który jest wielbicielem poezji francuskich trubadurów, zaczyna śpiewać i grać francuską pieśń miłosną, której nauczył się od swojej matki. Koncert pod oknem wybranki kolegi nie trwa długo, gdyż z otwartego okna lecą ku niemu groźby i wyzwiska - „Jutro dam znać policji o waszych ekscesach!” ktoś woła. Dopiero jednak kubeł wylanej na nich z góry wody, przerwał nocny występ. - „Dalej, ruszamy do Róży! Tam czekają ładne panienki i mocne wino!” - woła któryś z kompanów. Franciszek, będący z racji swojej błyskotliwości i zamożności, przywódcą młodzieży z Asyżu, przypomina sobie, jak w zeszłym tygodniu ich zabawa skończyła się pośluczeniem masy naczyni i sprzętu, a on sam za wszystko musiał płacić. Myśli więc - „na dziś mam dość wina, tańców i pocałunków!” i ulatnia się z towarzystwem. Przed obrazem Matki Boskiej, namalowanym na murze, zdjął kapelusz. Zerwał z niego pióro strusie i położył je obok złożonych pod obrazem kwiatów. Nad jego domem wisiał, jak symbol tajemnicy, księżyc. - „Ach! Miłość! - westchnął. - „Kocham księżyc, kocham to, co nieosiągalne!”. Miał ochotę zaśpiewać księżycowi serenadę, lecz wstrzymał się przez wzgląd na ojca. Jutro czekało go polowanie. Pojutrze wieczór szermierki, a potem wytworne przyjęcie. W niedzielę, będzie w domu czytał swoje nowe utwory poetyckie, a wieczorem czeka go bal maskowy. W poniedziałek zaś, wyruszy z ojcem na dwa tygodnie w podróż kupiecką do Florencji i jej okolic, a potem może na południe Francji...

W dniu jarmarku, ubrany odświętnie i bogato Franciszek, ujmująco uprzejmy, błyskotliwy i grzeczny, jak to często bywało, pracował za ladą rodzinnego sklepu. Mierzył i podawał tkaniny dla licznych klientów. Pachniał świeżymi goździkami, na palcach miał złote pierścienie. Był tego dnia tak zapracowany, że błagający go żebrak nie doczekał się jałmużny. Nagle Franciszek postanawia naprawić swój błąd. Wybiega ze sklepu i przeciskając się zwinnie wśród tłumu, odnajduje nędzarza. Przeprasza go za swój niedawny uczynek i oddając mu sakiewkę z dużymi pieniędzmi, budzi zdumienie.

Za jakiś czas, inny żebrak na ulicy Asyżu rozkłada przed nim na ziemi swoją ubogą szatę, prosząc jednak nie o jałmużnę, lecz o to, aby Franciszek po niej przeszedł. To na znak, że jak niesie wieść, już niebawem, Franciszek dokona wielkich

rzeczy. Inna wieść podawała, że w dniu, w którym matka przyszłego świętego męczyła się z wydaniem na świat dziecka, pomimo przyjścia jego czasu, w drzwiach domu pokazał się niewidomy włóczęga i powiedział do służącej, że rodzica powinna udać się do stajni. Tam, ku zdziwieniu lekarza i rodziny, na snopku siana, bezboleśnie i lekko, urodził się nasz przyszły święty. W tym samym dniu, wracający z gór pasterz, podobno usłyszał w opuszczonym kościółku Matki Boskiej, jakby wyraźne anielskie śpiewy, niosące się z wysokości.

Franciszek nie miał na początku, jak to było w przypadku innych świętych, przekonania o jakiejś misji do spełnienia. Był zwyczajnym człowiekiem, jak wielu innych młodych ludzi, równych mu wiekiem i pozycją.

Rycerz i trubadur

Pewnego dnia, uzbrojeni obywatele Asyżu wyruszyli zbrojnie przeciwko sąsiedniej Peruggii - rzecz niemal tak normalna w tamtych czasach, jak dzisiaj walki pomiędzy kibicami z okazji meczów piłkarskich. Franciszek, po przegranej bitwie, dostał się do niewoli, a jego kolega, malarz Andrzej, został zabity. Cały rok, z grupą innych jeńców, przebywał w więzieniu w Peruggii, do czasu zawarcia rozejmu. Czas pobytu w niewoli stał się w jego życiu okresem głębszej zadumy nad sensem i celem życia. Układa wiersze, a udając, że trzyma w rękach mandolinę, śpiewa i recytuje poematy rycerskie i miłosne. On, delikatny, pieśczonej mamy, i fizycznie nie najsilniejszy, nie poddaje się poczuciu klęski i nie załamuje. Okazało się już wtedy, że drzemie w nim wielki i niepokonany duch. Stał się dla towarzyszy niedoli bohaterem woli przetrwania, pogody ducha i radości. Zaprzyjaźniał się ze starym wiarusem, rycerzem wielu średniowiecznych wojen. Gdy wrócił z więzienia, po raz pierwszy złożyła go na jakiś czas, powracająca, tajemnicza i groźna choroba. Przez wiele dni miał wrażenie, że umiera. Jednak wyzdrowiał.

W Asyżu krążyła wieść, że najsłynniejszy rycerz papieża Walter de Brienne zbiera ochotników na wojnę z cesarzem Niemiec. W tym czasie Franciszek miał piękny sen. W nim widział, jak ich dom zamieniał się w wielki pałac, w którym wszędzie lśniły piękne tarcze, pancerze, miecze, chorągwie i inne przedmioty wojenne, a na każdej rzeczy znajdował się czerwony krzyż. Pięknie, a zarazem skromnie ubrana dziewczyna, oprowadzała go po komnatach i mówiła: „To wszystko jest dla ciebie i twoich towarzyszy. Uzbrojcie się!”. Franciszek pod wrażeniem tego snu i związanych z nim wyobrażeń o powrocie do Asyżu w glorii zwycięstwa, i mianowania go za zasługi wojenne baronem, postanowił udać się na wojnę. Było to w roku 1205 - tym, który okazał się być przełomowy w jego życiu. Uradowany decyzją syna ojciec, sprawił mu bogaty ekwipunek wojenny. On, zaledwie mieszczanin, budził zazdrość u wielu szlachciców, gdyż wyglądał od nich okazalej. Podczas drogi rozchorował się.

Przełom i zwrot

Leżał chory w mieście Spoleto, modlił się i próbował na nowo zrozumieć sens swojego snu. Uświadomił sobie nagle, że musiał zle sen zinterpretować. Za bramami Spoleto, stanął na drodze i zaczął błagać Boga o znak. Powrót do Asyżu oznaczał upokorzenie i drwinę. Podobno oddał jakiemuś nędznie odzianemu rycerzowi swój wspaniały ekwipunek. Wrócił do Asyżu w niesławie. Chociaż czasami pragnął tego, nie był w stanie powrócić wesoło grono dawnych kompanów, ani nie pociągała go praca w sklepie ojca i zarabianie pieniędzy. Wolął towarzystwo żebraków i wło-

czegów, oraz samotność. Błąkał się przez długi czas po okolicznych lasach, wchodził do skalistych grot wzgórz Subasio oraz błądził po łąkach nad Rivo Torto. Modlił się w kościołach i rozmyślał, szukając dalszej drogi życia. Wybrał Boga, a znak od Boga nie nadchodził. Wyjechał do Rzymu. Trzy dni kłęczał u grobu Apostołów. Z najędźniejszym z żebraków, choć czuł obrzydzenie, zamienił się na ubogie. Poczuł się wreszcie wolny i ubogi. W drodze powrotnej, żebrał i przeżywał pierwsze upokorzenia żebraczego życia. Po powrocie do Asyżu, poszedł do biskupa, prosić o radę. Otrzymał odpowiedź, że powinien postępować tak, aby nie ranić rodziców. – „*Jeśli zaś to, co się z Tobą dzieje, pochodzi od Duch Świętego, to znak przyjdzie*” – powiedział mu biskup.

Pewnego razu, na odludziu spotkał na swej drodze trędowatego. Zaczął uciekać. Nagle ujrzał w jego twarzy, twarz Chrystusa. Zawrócił, pocałował go w usta. Chory rozpłakał się, chciał coś powiedzieć, ale nie miał języka. Od tego czasu, Franciszek odwiedzał szpital trędowatych za miastem. Gdy ojciec dowiedział się o tym, wyrzucił go z domu. Franciszek schronił się w górskiej grotcie. W popadającym w ruinę kościółku Świętego Damiana za miastem, Franciszek modlił się przed drewnianym krucyfiksem. Nagle posłyszał, jak Chrystus z krzyża, do niego przemówił. – „*Odbuduj mój kościół*”. Poszedł do proboszcza i oznajmił, że chce być murarzem przy odbudowie kościoła. Zaczął mówić o sobie, że wybrał „*Panią Biedę*” i Boga. Służył do mszy, był zakrystianem i murarzem. Sprzedał konia i tkaniny ze sklepu ojca, aby zdobyć pieniądze na odbudowę kościoła. Gdy przyszedł pewnego dnia do miasta, ciągnął za nim tłum obrzucających go kamieniami, błotem i wyzwiskami, wyrostków. Jakiś rzeźnik obrzucił go zwierzęcymi wnętrznościami. Ojciec nazwał go złodziejem i zamknął w piwnicy z zakratowanymi drzwiami. Pod nieobecność ojca, matka przepiłowała kraty i wypuściła syna. Wrócił do odbudowy kościółka św. Damiana. Mieszkał w szopie przy kościele.

Ojciec pozwał go przed sąd biskupi o kradzież. Franciszek zrzekł się dobrowolnie spadku i prosił o pozwolenie mu bycia ubogim i naśladowania Chrystusa. Ojciec twierdził, że chce mu wszystko wybaczyć, obiecywał, że nie będzie musiał pracować i dostanie pieniądze na pomoc biednym, byle tylko wrócił do domu. Wyrok nakazywał Franciszkowi zwrot pieniędzy za konia i tkaniny, gdyż nawet wzniosły cel, jakim jest odbudowa kościoła, nie usprawiedliwiał uczynku Franciszka. Wtedy Franciszek publicznie rozebrał się i kazał zabrać ojcu nawet swoje ubranie. – *Już nie jestem synem Piotra Bernardone, moim ojcem jest Bóg* – oświadczył. Od tej pory, zbierał kamienie oraz zebrał środki na życie i odbudowę kościoła. – *Nie chcę od was niczego za darmo* – mawiał. – *Będę wasm śpiewał piosenki i modlił się za was*. Po jakimś czasie, wyremontował kościółek Świętego Piotra. Następnie zabrał się za odbudowę leżącego dalej, kościoła Matki Boskiej Anielskiej. Aby być blisko kościoła, zbudował sobie chatkę z gliny, sitowia i gałęzi. Gdy czasami odczuwał głód, mawiał żartobliwie do swojego ciała: „*Bracie Osiotku, uspokój się*”. Uważał, że należy poskramiać swoje zachcianki, a nawet to, co uważa się za naturalne potrzeby, i potrafił to czynić. Potrafił siłą ducha przemóc ludzką małość. Przybliżał ludziom groźne żywioły przyrody, nazywając je siostrami i braćmi. Słońce, księżyc, gwiazdy, wicher, błyskawica i grzmot, wilk i ptak, drzewo i źdźbło trawy, to byli bracia człowieka. Bratem był dla niego zarówno przyjaciel, jak i wróg. Niektórzy mówili, że w ciemności nad jego głową widać aureolę. Wiosną i latem murował, jesienią i zimą chodził po kraju i w prostych słowach, nauczał ludzi o miłości do każdego zjawiska przyrody, stworzenia, nawet żmii czy wilka, uczył boskiej jedności wszystkiego, co istnieje. Stawał się coraz bardziej znany i podziwiany.

Zaczęli przychodzić doń uczniowie. Pierwszym był Bernard, bogaty mieszczanin, który sprzedał cały majątek, a pieniądze oddał biednym. Drugim został Piotr, duchowny. Dla niego, jak dla wielu innych, jeszcze wahających się, ale

coraz bardziej zafascynowanych osobowością i nauczaniem Franciszka, niósł on nowy powiew wolności i poezji prostego życia, wnosił autentyczność w schematyczne zasady i instytucje ówczesnego kościoła, pokazywał nowy sposób służenia Bogu. Ściągał Boga z niebios abstrakcji i scholastycznych dyskusji, zza murów klasztorów, bliżej człowieka i otaczającej go przyrody, na ziemię.

Bracia mniejsi

Franciszek, wraz z Bernardem i Piotrem, zamieszkali razem w lesie koło kościółka Matki Boskiej Anielskiej, w Porcjunkuli. Spali na ziemi w maleńkiej chatce. Chodzili po okolicznych wsiach, pomagali w pracy, nauczali i żebrali na codzienne życie. Prosił o resztki ze stołu. Nie przyjmowali pieniędzy, a nawet żywności, gdy nie byli głodni. Przyłączył się do nich Idzi, drwal. Gdy wracali z okolic Ankony, czekali na nich następni – Moriko, Sabatino i Jan, a potem doszedł Filip. Było ich ośmiu. Przed zimą, ruszyli dwójkami w świat. Na pamiątkę świętego krzyża, rozeszli się w cztery strony świata, na krzyż. Gdy było ich dwunastu, Franciszek spisał na pniu drzewa ich regułę i udali się do Rzymu, do papieża, aby ją zatwierdził. Nazwali się na znak pokory, braćmi mniejszymi. W drodze do Rzymu, wiosną 1210 roku, uczyli się na pamięć i śpiewali zasady swojej reguły. Było to posłuszeństwo, czystość, wyrzeczenie się własności, oraz pełna równość, nie uznająca hierarchii. Obowiązkiem każdego brata jest praca, za którą nie wolno brać pieniędzy. Wolno też żebrać, ale tylko dla zaspokojenia głodu. Nie wolno prowadzić między sobą sporów. Papież z początku nie wykazał przychylności dla ubogich braci. Kardynałowie uważali ich regułę za zbyt surową, niezgodną z naturą człowieka. Ale bracia znaleźli wsparcie u kardynała, Jana od świętego Pawła.

Przychodzi dzień decydującej audyencji. Papież Innocenty III na tronie, wielki w złocie i bieli, wyglądał jak chmura gradowa. Wokół niego purpurowy wachlarz kardynałów. Przed nim kłęczy bosi i umęczony Franciszek, w połatanym i zakurzonym habicie. Czekają na niego wyroczni. Ostatniej nocy papież i Franciszek mieli sny. Papież widział Kościół, który się niebezpiecznie zachwiał i gdy miał runąć, podbiegł niepozorny człowiek, podparł go ramionami i Kościół stanął w nowej chwale. Franciszek w swoim śnie, stał pod drzewem i próbował dosięgnąć jego wierzchołka. W miarę, jak wyciągał ręce, stawał się coraz wyższy i nagle wierzchołek pochylił się ku niemu. Papież w małym człowieku, ratującym Kościół, ujrzał Franciszka. Pobłogosławił braci i zapowiedział większą przychylność, gdy zakon się umocni. Po powrocie z Rzymu, w Asyżu witały ich tłumy. Zakon rozrastał się w wielkim tempie. Stanowił między innymi przeciwagę dla wielu pojawiających się wtedy i potem, antykościelnych i antyfeudalnych ruchów ludowych.

W roku 1211 pojawiła się i schroniła wśród braci, Klara Ofreducci. Zachwycona i przejęta naukami Franciszka, uciekała z bogatego domu i poświęciła się całkowicie szerczeniu jego nauk. Od niej pochodzi żeńska gałąź zakonu franciszkanów. Gdy ich przegnano z domku w Rivo Torto, opat benedyktynów pozwolił im wybudować chatki i zamieszkać na wyznaczonym terenie w Porcjunkuli. W latach 1213 i 1214, Franciszek próbuje wybrać się z misją między muzułmanów, do Syrii, Ziemi Świętej i Egiptu. Burza na morzu krzyżuje jego plany. Po tych nieudanych próbach, wyprawia się z misją nawracania do Hiszpanii i Maroka, gdzie pojawiają się pierwsi franciszkanie i kończą śmiercią męczenników. W tym czasie zakon otrzymuje na własność od Orlanda z Chiusi, górę Alverno w Apeninach. Na tej górze, Franciszek rozmawia w samotności z Bogiem. Ma znamienne widzenia o znaczeniu mistycznym, jak u Chrystusa. Od tego czasu zaczyna także tracić wzrok, co staje się przyczyną postępującej ślepoty. Stygmaty stara się zakrywać szatą.

W roku 1918 lub 1919 do Porcjunkuli przybywają tysiące braci, na tak zwaną Kapitułę na-

miotów. Mieszkają w wybudowanych na poczekaniu chatkach z gałęzi, trawy i gliny. Niektórzy są przerażeni, gdyż uważają, że nie podjęto żadnych działań organizacyjnych, celem zabezpieczenia żywności i innych środków materialnych, dla tak dużej ilości ludzi. Okazuje się jednak, że spontaniczna pomoc mieszkańców całkowicie wystarcza. Zaczynają się pierwsze spory i ujawniają różnice pomiędzy braćmi o regułę zakonu. Franciszek bardzo przeżywa te spory i coraz bardziej zapada na zdrowiu.

Próba nawrócenia Sułtana

Jego marzenie, aby udać się do Ziemi Świętej, wreszcie się spełniło. Miało to miejsce w roku 1919 lub 1921. Podczas walki o miasto Damietta. Franciszek nauczał w obozie krzyżowców, zauważył szerczące się w obozie: nienawiść, chciwość łupów i demoralizację, które po jakimś czasie ogarniało nawet ludzi dobrych. „*Gdybyście przyszli tu z miłością, mury miast Maurów, same by się przed wami otworzyły! Miecz zdobywa krew, a miłość zdobywa dusze!*” – woła. Udał się nie uzbrojony do obozu sułtana Maleka el Kamel, pomimo groźnych ostrzeżeń w rodzaju – „*jutro twoja głowa wisić będzie nad murami miasta...*” Musiał Franciszek zrobić dobre wrażenie na sułtanie, ponieważ pozwolił mu zostać w obozie przez kilka dni i kilkakrotnie się z nim spotykał w otoczeniu swojej świty. Franciszek w języku francuskim, który sułtan rozumiał, mówił mu o Bogu i miłości, jednak pomimo sympatii, którą dzięki swojej niepospolitej osobowości zdobył, nie zdołał go nawrócić. „*Każ rozpalić ogień, a ja z twoimi kapłanami staniami w nim i zobaczysz, czyja wiara jest prawdziwa*” – zawołał. Gdy sułtan nie zgodził się, rzekł. – „*Ja sam stanę. Jeśli spalę się, przypisz to moim grzechom*”. Sułtan wdychając, jakby coś leżało mu na sercu, powiedział: „*modł się za mnie dużo, aby Bóg dał mi poznać, która wiara najbardziej Mu się podoba*”. Franciszek otrzymał pieczęć, która pozwalała mu poruszać się swobodnie po Ziemi Świętej, zajętej przez muzułmanów, dzięki czemu mógł odwiedzić wiele miejsc, związanych z życiem Chrystusa. Był wstrząśnięty grabieżczym szałem i ogromem zbrodni, jakie krzyżowcy popełnili na bezbronnych mieszkańcach, kobietach i dzieciach, po zdobyciu Damietty.

W roku 1223, papież Honoriusz, bullą „*Sonet annuare*” zatwierdził regułę zakonu franciszkanów, spisana przy pomocy kardynała Ugolino Segni, późniejszego papieża Grzegorza IX.

Po powrocie w rodzinne strony Franciszek, był już bardzo schorowany. Przed śmiercią kazał położyć się na gołej ziemi i radośnie śpiewał „*pieśń słoneczną*”, w której wielił nawet Siostrę – Śmierć.

Spuścizna jego życia i nauczania, jest żywa do dnia dzisiejszego. Była nawet próba stworzenia na bazie jego życia i nauk, nowej, odrębnej religii. Z zakonu braci mniejszych, wyodrębniło się z czasem kilka zakonów – franciszkanie, bernardyni, reformaci, kapucyni oraz zakon świecki, tercjarze. Wielki poeta Dante kazał pochować się w franciszkańskim habicie. Jego uczniami byli – święty Bonawentura, Bernardyn, Rajmund Lullus oraz chcący stworzyć raj na ziemi, wielki przyrodnik Roger Bacon. Sceny z jego życia inspirowały do malowania wielu malarzy. Współczesna nauka Kościoła, przyjmuje wiele jego założeń, dotyczących demokracji, sprawiedliwości, miłości, szacunku do przyrody, a także rozwiązywania wszelkich sporów politycznych i konfliktów społecznych w duchu miłości i pokoju. Mawiał – „*mały pokój sprowadza wielki pokój*”.

Bibliografia:

1. Feliks Timmermans „*Franciszek*”; Wydawnictwo Sióstr Loretanek, Warszawa 1991.
2. G. K. Chesterton „*Święty Franciszek z Asyżu*”; Instytut Wydawniczy „*PAX*”, Warszawa 1974
3. Carlo Caretto „*Ja, Franciszek*”; Wydawnictwo O. Franciszkanów, Niepokalanów 1987
4. Roman Brandstaetter „*Kroniki Asyżu*”; Instytut Wydawniczy „*PAX*”, Warszawa 1976

Paweł Michalczyk

Tekst wie lepiej? O powinowactwie dzieła i autora

Gdy pisarz odkłada pióro po skończeniu dzieła, tekst zaczyna pulsować własnym życiem. Autor niejako umiera dla dopiero co napisanego dzieła. Powstał nowy byt, w pełni autonomiczny. I nie jest już tak ważne, „co autor chciał przez to powiedzieć”. Tekst wie lepiej. Czy aby na pewno?

W słowach tekstu zawarty jest dziwny świat, niedostępny namacalnie. Bo gdzie znaleźć świat między gąszczem liter i znaków? Nawet każde słowo z osobna znaczy co innego, niż w mozaice pozostałych, wspólnie z którymi tworzy ów świat. Bo dziwny to świat, który nie daje o sobie znać, dopóki ktoś nie zacznie czytać tekstu. A, i jak należy to robić, by zaprosić doń innych, jeszcze sceptycznych, już zniechęconych? Oklejać rogi ulic? Czytać wieszczym głosem? Nadawać słowu własną postać, bo ta obecna może nie dość atrakcyjna? Za każdym razem rzeczona mozaika przybierze inną postać, pytanie – czy równą pierwotnej? Czasy ustnego przekazu sugerowałyby, że nie wierność oryginałowi jest tu najważniejsza, ale sens. A więc formę można było modyfikować, zależnie od potrzeb i okoliczności. Pytanie, czy i dzisiaj byłoby to dozwolone? Czy sposób, w jaki formował się kanon Ksiąg Natchnionych, byłby i w naszych czasach możliwy? Czy współczesna nam troska o ochronę praw autorskich nie skrepowałaby Wielkiego Pisarza?

Zmieńmy jednak poziom rozważań na paralelny. Weźmy za przykład „tekst” wiosny. Nikt chyba nie pozostaje obojętny wobec tych gąszczy zieleni, kwileń i promyków. A i wiosna sama „czyta [...] ten tekst w przód i na wstak, gubiąc sens i podejmując go na nowo, we wszystkich wersjach, w tysiącnych alternatywach, trelach i świergotach. Bo tekst wiosny znaczący jest cały w domyślnościach, w niedomówieniach, w elipsach, wykropkowany bez liter w pustym błękitcie, i w wolne luki między sylabami ptaki wstawiają kapryśnie swe domysły i swe odgadnienia¹”. Bo cała rola czytelnika ogranicza się często do błędzenia pomiędzy intuicjami. Podobnie jest z czytaniem świata, który w tajemniczy sposób odwołuje do swojego Autora. I, pomimo hermeneutycznego zabezpieczenia, wstawiającego znak różnicy między podmiotem dzieła i autorem, w każdym tekście dojrzeć można jakieś cechy własne tego ostatniego. Czyż nie narzuca się tu zaskakująca analogia do śladów na mokrej ziemi? A przecież, cała Ziemia nosi na sobie jeden wielki ślad – Tego, Który tak się nad jej kształtem trudził. I tekst również ma w sobie analogię do ziarna, rzuconego w wilgotną glebę papieru.

Jest coś dziwnego w otaczającym nas świecie. Jakby ktoś ukrywał się w pobliskich zaroślach z niewyraźną wolą bycia niezauważonym. I jeśli dobrze wsłuchać się w mowę liści, można wyłowić słowa wyrzutu za uporczywe trwanie w niedowiarstwie:

*Gdzieś był, gdyś zakładał fundamenty ziemi?
powiedz mi jeśli masz rozum.
Kto założył miary jej, jeśli wiesz?
Abo kto nad nią sznur rościągął?
Na czym podstawki jej są ugruntowane?*



*Abo kto założył kamień jej narożny,
gdyś mię chwaliły wspólnie gwiazdy zaranne
i śpiewali wszyscy synowie Boży?*

*Kto zamknął drzwiami morze,
gdy się wyrwowało, jakoby z żywota wychodząc,
gdyś kładł obłok szatę jego
i mrokiem jako pieluchami dziecinnymi obwijął?
Obtoczyłem je granicami memi
i przyprawiłem zaworę i drzwi,
i rzekłem: Aż póty przyjdiesz, a dali nie
postąpisz
i tu rozbijesz nadęte wały twoje.*

*Ażaś ty po narodzeniu twoim rozkazał świtanie
i ukazałeś zorzy miejsce jej?
I trzymałeś strząsając kończyny ziemi
i wytrząsnąłeś z niej niepobożne?²*

Księga świata rządzi się jednak innymi prawami, niż tekst widoczny na papierze. Przede wszystkim, świat nie ma tak dalekiej autonomii, by w jego przypadku mówić o „śmierci autora”. Wiara w Opatrzność, jak i samo doświadczenie jednoznacznie odsuwają taki sąd:

*Uczynił księżyc dla czasów,
słońce poznało zachód swój.
Przywiodłeś ciemność i zstała się noc,
w nią przechodzić będą wszystkie zwierzęta
leśne. [...]*

*Wszystkie na cię czekają,
abyś im dał pokarm czasu swego.
Gdy im ty dasz, będą zbierać,
gdy otworzysz rękę twoją, wszystkie się
dobrem napętnią.*

*Ale gdy ty odwrócisz oblicze, zatrwożą się,
odejmiesz ducha ich i ustaną,
i w proch się swój obrócą.
Wypuścisz ducha twego, a będą stworzone
i odnowisz oblicze ziemi³.*

Gdzie więc linia wspólna obu „ksiąg”, obu „tekstów”? Chyba należałoby jej szukać we wspólnym rodowodzie świata i człowieka, cieszącego się zacytnym tytułem: imago Dei. Przez swoje podobieństwo do Boga, jest człowiek w jakimś sensie stwórcą. Na mocy nakazu: *Roście i mnożcie się, i napętniajcie ziemię a czynicie ją sobie poddaną i panujcie nad rybami morskimi i nad ptactwem powietrznym, i nade wszelmi zwierzętami, które się ruchają na ziemi* (Rdz 1, 28, tłum. J. Wujka) – człowiek realizuje owo zaszczytne podobieństwo.

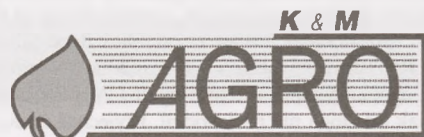
I pod szatą liter, zdobiących stronicę papieru, i pod powierzchnią namacalnej ziemi – kryje się jakiś inny świat. Mowa potoczna nazwie to zjawisko drugim dnem, filozofia czy poezja – metafizyką. A człowiek wierzący będzie tu widział „wspólny mianownik” tych, i innych pewnie określić. Boga.

Czy jednak twierdzenie o śmierci autora nie jest tylko zabezpieczeniem twórcy literackiego od odpowiedzialności za popełnione dzieło? Bo analogia na ogół działa w dwie strony. A wspomniany przykład Opatrzności pozwala domniemywać, że i imago Dei będzie się troszczył o los swego dzieła. A może w tym wypadku to dzieło właśnie wzbrania się przed dalszym wpływem, wymuszając triumf nad autorem?⁴

¹ B. Schulz, *Opowiadania. Wybór esejów i listów*, oprac. J. Jarzębski, wyd. 2 przejrane i uzupełnione, Wrocław 1998, s. 144-145 (BN, S. I, nr 264).

² Hi 38, 4-13 (Biblia w przekładzie ks. Jakuba Wujka z 1599 r., transkrypcja typu „B” oryginalnego tekstu z XVI w. i wstępy ks. Janusz Frankowski, Warszawa 2000).

³ Ps 103 (104), 19-20. 27-30 (Tamże).



R. KWIATKOWSKI - M. MAKOWSKI

85-458 Bydgoszcz, ul. Wiejska 122
tel./fax (0-52) 327 83 37

- ✓ projektowanie i urządzenie ogrodów
- ✓ unikatowy materiał szkółkarski drzew i krzewów ozdobnych
- ✓ oczka wodne wraz z małą architekturą i oświetleniem

Ceny przystępne
z możliwością negocjacji

DO NABYCIA:

Rewelacyjne nawozy specjalistyczne firmy „Hydro”. Nadają się do wszelkiego rodzaju upraw warzywnych i kwiatowych. Paczkowane przez firmę „Agro” nawet w porcjach 1 kilograma. Do nabycia przez cały czas w bazie PW

„Agro” 85-458 Bydgoszcz (Czyżkówko)
ul. Wiejska 122, tel. 345 51 37
w godz. 7.00-17.00



Ofertujemy:

- Kociołnice gazowe i olejowe,
- Ogrzewanie hal promiennikami gazowymi,
- Stacje pomiarowe i redukcyjne gazu,
- Budowę sieci, i instalacji gazowych, wod.-kan., co.,
- Konstrukcje stalowe

GazBud Sp. z o.o.
85-759 Bydgoszcz, ul. Witebska 3
tel. (052) 345-38-63
tel./fax (052) 342-19-77
biuro@gazbud.com.pl

GRADAR
drukarniaGrażyna i Dariusz
Darowni85-009 Bydgoszcz
ul. Dworcowa 51
tel./fax 052/
322-38-86

Andrzej Orylski

Refleksja i zabawa

Urządzona w małej auli Wyższej Pomorskiej Szkoły Turystyki i Hotelarstwa uroczystość z okazji wydania 75. numeru ogólnopolskiego miesięcznika literackiego „Akant” zgromadziła blisko 70 gości.

Stowarzyszenie Pisarzy Polskich reprezentował prezes oddziału Kazimierz Hoffman, Radę Miasta Bydgoszczy – radny Michał Krzemkowski, a Kujawsko-Pomorskie Towarzystwo Kulturalne – prezes Stanisław Kwiatkowski.

Obecni byli pisarze i poeci: Wojciech Banach, Stanisław Deluga, Janusz Garlicki, Jerzy Adalbert Jucewicz, Leszek Łęgowski, Alojzy Michalski, Grzegorz Misiewicz, Katarzyna Pilarczyk, Bogumił Rogalski, Krzysztof Stanisławski, Henryk Stępień, Jarosław Sułkowski, Mieczysław Wojtasik.

Zawartość 75., najgrubszego jak dotąd (68 kolumn!), numeru czasopisma przedstawił jego redaktorzy: Jolanta Baziak i Stefan Pastuszewski, sięgając oczywiście głęboko w przeszłość.

„Akant” jest już tylko jednym z sześciu, pozostałych na „scenie”, ogólnopolskich miesięczników literackich. W odróżnieniu od innych tego typu czasopism, które z niefrasobliwości, ale też biedy, łączą numery (miesięczniki są więc *de facto* kwartalnikami, a kwartalniki półrocznikami) „Akant” nie oszukuje swoich Czytelników fałszywą numeracją (czy nie uczciwiej byłoby tzw. numer łączony oznaczyć jedną liczbą?) i już od sześciu lat ukazuje się regularnie co miesiąc, a nawet premiuje publiczność literacką – numerem trzytnastym, podsumowującym cały rok.

Jest to możliwe dzięki Czytelnikom oraz fundatorom, zarówno prywatnym jak i instytucjonalnym, do których należą m.in. bydgoskie: Urząd Miasta, Hotel „Centralny”, Studio Fotografii Artystycznej „Pod Łabędziem”, Przedsiębiorstwo Produkcyjno-Handlowe „Domaroll”, Bydgoska Spółdzielnia Spożywców, Pracownia Plastyczna „Dekora”, Centrum Handlowe „Dom i Styl”, Pojazdy Szynowe „Pesa”, Firma „Agro”, Przedsiębiorstwo „Mewat”, Przedsiębiorstwo Organizacji Budownictwa „Pobud”, Hotel „Pod Orłem” a także szereg instytucji z całej Polski.

Dzięki nim „Akant” co roku może drukować utwory ok. 400 autorów z Polski i ze świata. Co roku organizuje Agon Poetycki „O wieniec >>Akantu<<” oraz szereg dyskusji literackich, w tym aktualną o ambiwalentnych postawach Czesława Miłosza i Wisławy Szymborskiej, która zapewniła obecnie pismu niezwykłą popularność w bardzo wymagającym Krakowie, ale też we Wrocławiu i Warszawie (od lat pismo świetnie sprzedaje się w Łodzi, Poznaniu, no i oczywiście w Bydgoszczy).

„Akant” rozpowszechniany jest przez sieci kolporterskie „Ruchu” i „Rolkonu” oraz w prenu-



Na zdjęciu: Od lewej - Andrzej Orylski, Beata Anna Pokorska, Jolanta Baziak. Wiersze „akantowe” czyta Iwona Żelaźnicka
Fot. Włodzimierz Zieliński

meracie: redakcyjnej, pocztowej i ruchowskiej. Czasopismo udostępniane jest w blisko 50 bibliotekach na terenie kraju oraz w sieci Klubów Polskiej Książki. Najważniejsze jest jednak to, że pismo nie jest skoroszytem gromadzącym przypadkowe teksty, czy *almanachowcem* (nieregularny almanach w zbudnym kształcie czasopisma) wydawanym na chwałę jego autorów i lokalnych mecenasów, lecz upomina się o wysokie wartości według niezmiennej od początku świata triady: *prawda-dobro-piękno*.

Po tych definicjach, rozpoczęła się weselsza część uroczystości: Beata Anna Pokorska „podyskutowała” z Czytelnikami w oparciu o ich głosy z rubryki na ostatniej stronie pn. „Dzień dobry, Redakcjo”.

Wiersze o „Akancie” przeczytała znakomita aktorka Teatru „Na Barce” (36 lat pracy scenicznej) – Iwona Żelaźnicka-Błaszczyk. (Dla spragnionych „powtórkami z rozrywki” polecam „Antologię AKANTU” – 1998-2002”, z której właśnie korzystała).

Konkurs wiedzy o „Akancie” poprowadził Michał Krzemkowski (również członek Rady Redakcyjnej). Najbardziej uważnym Czytelnikiem okazał się Leszek Łęgowski (autor zbiorów wierszy: „Na skrzydłach aniołów” i najnowszego „Na zawsze Bydgoszcz”).

Przyjaciele pisma otrzymali dyplomy z pamiątkowym tableau autorstwa Marka Rony (m.in. Mirosława i Andrzej Adamski, Stefania i Zygmunt Bazali, Miłosz Heliasz, ks. Tadeusz Kielczewski, Artur Kubasik, Zofia Maciejewska, Jolanta Papala, Marek Pietrzak, Anna i Józef Urbański, Włodzimierz Zieliński), który też na poczekaniu rysował ostre karykatury gości. Ci nie zostali dłużni i... Anna Urbańska narysowała całkiem udaną karykaturę Marka Rony.

A potem... wzniesiono toast szampanem.

Szampański nastrój podtrzymał żartami z cyklu: *Panie doktorze...* Grzegorz Misiewicz (fundator wspomnianego trunku musującego wraz z Mieczysławem Wojtasikiem – członkowie rady redakcyjnej), zaś piosenkami Alicja Mirkiewicz („Mój pierwszy bal”, „Miłość Ci wszystko wybaczy” i „Dobranoc...”). Do tego stopnia udało się jej rozśpiewać gości, że w końcu co piąty chciał wykazywać swoje możliwości wokalne, a nawet popisać się znajomością tekstu (tu brawa i ukłony dla Anny Urbańskiej, że „na gorąco” potrafiła swoje słowa podkładać do obcych melodii).

Zabawa przedłużyła się ponad miarę, lecz żadnych innych miar, z wyjątkiem wzruszenia i sentymentu, nie przekroczono.

Katarzyna Jeziółkowska

Dyżur u wnuka

Gdy wyśpiewam wszystkie piosenki i dziecię w sen błogi zapadnie, mogę wreszcie w ciszy usiąść i pograć się w „Akancie”.

Bez wyrzutów, że naczynia trzeba umyć.

Siedzę sobie jak królowa i „Postania jubileuszowe” czytam.

A tam sprząta synowa.

Czytam, czytam

i się zachwycam

Błachucka, Bąkowska

Trynkiewicz.

Czytam

i zazdroszczę weny.

Jedno wynika z ich wierszy niezbitcie:

„Akant” kochają jak życie.

Jak udało się tego dokonać?

Cała pisząca Polska w pokłonach!

Chociaż Pan Stefan teksty wybiera,

te na nigdy

i te na teraz.

W 75-ciu numerach wykazał niezbitcie,

że wie, co robi.

Jeśli coś odrzucił,

to zrobił przysługę autorowi,

bo „Akant” czytają ludzie

znający się na literaturze.

Gdy moje utwory

w koszu „Akantu” giną,

wiem, że zaoszczędzono mi wstydu.

Mam wrażenie, że inni autorzy

też zawierzili Stefanowi

i nie dają się na niego,

gdy ich utwór wrzuci

do segregatora okrągłego,

co pod jego biurkiem stoi.

Październik 2003 roku



Na zdjęciu na pierwszym planie: Od lewej - Kazimierz Hoffman i Alicja Leśniak
Fot. Włodzimierz Zieliński

Ludzie listy piszą....

...zwykle, polecane – śpiewali „Skaldowie” – a, że mieli rację, poświadczyć może nasza redakcja, bo listów od Czytelników ci u nas dostatek... Nieprawdą jest, że w dobie internetu upada w narodzie duch korespondencyjny. Serce się śmieje na myśl, że ludzie wyasygnują ze swych biednych portfeli nie tylko cztery złote polskie na „Akant”, ale i półtora tegoż złotego na znaczek. Gorzej tylko, że redakcji nie stać na pocztę zwrotną, to boli... bo aż korci, by każdemu odpowiedzieć. Korzystamy zatem z okazji jubileuszu 75. numeru i postaramy się, przynajmniej niektórym naszym Czytelnikom, odpowiedzieć.

Listy to - wybaczyć patetyczność wyrażenia- dostęp do serc. I do opinii. Co tam taki CBOS, czy OBOP...To właśnie w listach zawarta jest odpowiedź na dwa najważniejsze dla każdego, życiowe (nie wstydzmy się tego), pytania: CZY mnie kochasz i CO o mnie sądzisz? ... z których się trudno przecież CBOS-owi czy OBOP-owi spowiadać...

Jakie to odpowiedzi? Może najpierw na pytanie pierwsze: Czy ludzie kochają „Akant”? Odpowiedzi są generalnie podobne: Otóż: Pani Jolu Baziak, Redaktor Naczelna i Pan, Panie Stefanie Pastuszewski, dobry duchu „Akantu”, uspokajam Was: kochają i to bardzo. Żyć bez niego nie mogą! Jak tylko zbliża się początek miesiąca, wyglądają listonosza, i to nie tylko w wiadomym względzie pieniężnym, ale również dla, znajdującego się w jego torbie, „Akantu”! „Cieszę się niezmiernie, że „Akant” z dalekiej Bydgoszczy nawiedza mnie regularnie, przynosząc Dobre Słowo i wiarę w sens pisania” – zwierza się Pan Sz. Zatem, ludziska na „Akant” czekają, ale niektórzy to czekają aż do przesady: „Nie mogę się doczekać nowego numeru „Akantu”, a ludziom tak starym i schorowanym jak ja bardzo przykro a nawet niebezpieczna jest czekać” – nie wiadomo, czy informuje, czy grozi, Pan Ch.

Drogi Panie Ch., współczujemy Panu czekaniam, ale pocieszamy: wyczekane smakuje jeszcze lepiej! Poza tym, może Pan zauważył, my się jednak nie spóźniamy!

Krystyna Gryś

Życie z „Akantem”

Z okazji 75. numeru „Akantu”

Biorąc miesięcznik do ręki redaktorom składam dzięki. Wszystko inne puszczam kantem delektując się „Akantem”. Telewizję i kumpelki... Wpadam też w sentyment wielki. Do kina nawet nie chodzę, choć nieraz żałuję srodze. Mój mąż gniewa się stale, kiedy ziemniaki przypalę. Mówię: „Mój władco i panie, zobacz w jakim jestem stanie. Nie jem i z zazdrości chudnę gdy czytam te strofy cudne”. Kiedy wgłębiam się od rana w recenzje pana Stefana, lub teksty pani Ariany, system nerwów mam zachwiany. Mam wtenczas żal do mej weny, że zaszła z mych myśli sceny, że tak przede mną ucieka. Wołam: „Wracaj, choć z daleka!” Wreszcie zbieram w sobie siły, by napisać Wam list miły. Wydawcom oraz poetom życzę zdrowia i radości. Niech miesięcznik literacki zawsze w naszych domach gości!

Ale, że ta miłość do „Akantu” może być niebezpieczna, przekonuje nas Pan A.: „Jeśli wyznam, że kocham „Akant”, to niczego nie wydrukuję mi „Odra”.

Tym bardziej będziemy Pana cenić, Panie A, tym bardziej! Do Odry daleko, a poza tym, właśnie druk w „Akancie” jest tym, o co wszystkim Polakom przecież chodzi!

Co do drugiego pytania: Co o nas sądzą?, sprawa jest bardziej skomplikowana. Oczywiście nas cenia, a jakże! „Cieszę się, że jest takie pismo jak Akant. Bardzo miłe opinie o nim słyszałem od moich znajomych” – pisze Pan L.

Drogi Panie L., a może by tak samemu przeczytać „Akant”? Podobnie radzimy zrobić też Panu S., który słyszał „od pewnego warszawskiego krytyka, że „Akant” jest najlepszym pismem literackim”. Nas interesuje przede wszystkim Pańskie zdanie, panie S, poparte lekturą pisma. Pismo jest nie dla krytyka, lecz dla Czytelnika... wszak on jest najlepszym krytykiem...

A Panu B, który podaje: „udało mi się zdobyć przypadkowo wasze pismo” radzimy w przyszłości zdobyć je mniej przypadkowo, bo jak wiadomo, przypadkowe znajomości...

Co do meritum, to też się generalnie podoba: „Widzę, że jest pismo, które bezpretensjonalnie stawia na literaturę” – pisze Pan Sz.

A na co ma innego stawiać pismo literackie, Panie Sz.? Czytelnikom Rz. i S. odpowiada zaś to, że drukujący w nim piszą – jeno z własnej potrzeby wewnętrznej: „Pismo literackie nie powinno być jak Kościół, do którego na mszę w niedziele przychodzą wszyscy po możliwość zaprezentowania się” – podaje diagnostycznie. Zgadzamy się z Państwem, jednakże słyszeliśmy, że do kościoła ludzie chodzą także po coś innego...

Niektórym podoba się czarno-biało szata: „Te zadrukowane strony pozwalają wierzyć, że można wśród tylu kolorowiatych gazet odnaleźć literaturę na takim poziomie. Przybijam piątkę i szóstkę” – to na przykład Panu F.

Innym wręcz przeciwnie: „A może by tak postawić na kolorowe strony?” – proponuje Pani B. I jak tu wszystkim dogodzić? Uspokajam obie strony: zdaje się, że to ekonomia, nie my, ma tu zdanie nadrzędne...

„Od długiego czasu szukałem pisma, które tak formatem, jak i treścią byłoby do przyjęcia dla normalnego czytelnika” – pisze wymagający Pan W. I co, zadowolony Pan? Ale właściwie dlaczego? Czyżby płachta „Tygodnika Powszedniego” była dla Pana za wielka? Sprawiedliwie zwracamy Panu uwagę, że „Akantem” nie można się przykryć! Np. w pociągu... Czy w autobusie...

„Życia – oto czego brakuje dzisiejszym przeintelektualizowanym czasopismom literackim. Powinno dźbiać się dużo, a pewna kontrolowana spontaniczność wcale nie musi prowadzić do obniżenia poziomu” – podaje zaś Pan M.

Drogi Panie, jak mawia nasz nieoceniony S. Pastuszewski, jak jest pożar, to też się dużo dzieje, a co do tej kontrolowanej spontaniczności – proszę poradzić się w tym względzie żony, i jeszcze raz do nas napisać.

„Od dawna jestem czytelnikiem „Akantu”, który staje się bardzo ciekawym miesięcznikiem w skali krajowej” – coś to za wspaniałą przykład kontrolowanej pochwały.

Otóż, drogi Panie H., skromnie wtrącamy, że pochwalili nas nawet w Estonii...

„Akant” jest wielce uczciwy, wyważony” – chwali nas tymi słowy Pan R.

Nic, tylko za niego wyjść!

„Akant” nie jest towarzystwem wzajemnej adoracji. I to jest jedna z atrakcji tego pisma”.

– Hm, Panie Rz., coś, skromnie sądzimy, że nie najważniejsza! Ale dziękujemy!

Oceniana jest też zawartość pisma. Tu już rozbieżność gustów zaznacza się wyraźnie:

„Duża różnorodność form poetyckich od liryki refleksyjnej, przez erotyki, portrety, pejzaże, do aforyzmów. Teksty wzbogacają interesujące, choć czarnobiałe fotografie i grafiki”.

ECHA

Szanowna Pani J., nie pamiętamy, byśmy zamieszczali zdjęcia erotyczne. Pisze też Pani, że „pozytywne są eseje i recenzje” – jesteśmy zatem spokojni, że nie seropozytywne.

„Czytając wiersze zamieszczone w numerze dostrzegłem ich różnorodność” – podaje Pan N.

Zapewniamy Pana, że zawsze uważamy, by nie zamieścić (przynajmniej na tej samej stronie) wierszy identycznych.

„Właśnie odwiedziłem stronę internetową waszego czasopisma i jestem naprawdę miło zaskoczony”.

Cóż, taki komplement, Panie G., że już chyba całkiem niekontrolowana spontaniczność!

Niektórzy są tam wspaniałomyślni, że nie dostrzegają konkurencji: „Cieszę się, że w naszym mieście ukazuje się pismo o charakterze literacko-artystycznym” – pisze do nas wysoki urzędnik bydgoski.

Miło nam to czytać, Wysoki Urzędniku, cieszymy się wraz z Panem, ale obiektywnie stwierdzamy, że obok nas wychodzą w Bydgoszczy jeszcze „Kwartalnik Artystyczny” i „Metafora”. A to, że rzadziej niż my, to już, jak to niektórzy mawiają: insza inszosc.

Niektórzy zyczą nam w jednej linijce: „opieki mecenatu i większej czcionki”. My również zważamy związek jednego z drugim. A inni to nawet dziwią się wprost: „Jakie to niezwykle, że nadal wydajecie „Akant” - i już sami nie wiemy, czego to zdziwienie dotyczy, że z nami tak dobrze, czy tak źle...Jeszcze inni zaś, chwalać nas, powołują się na organy zmysłowe: „Kwietniowy numer „Akantu” przeczytałem jednym tchem, smakując poszczególne materiały”.

Drogi Panie K., prosimy przeczytać jeszcze raz, bo doświadczenie naszego systemu trawienego mówi nam, że smakować należy powoli, inaczej grozi Panu niestrawność!

Genialnym zaś podsumowaniem pracy redaktorów „Akantu” zdaje się uwaga pana Dz., powołującego się swój debiut w „Akancie”: „Muszę się przyznać, że była to pierwsza wartościowa publikacja mojej poezji od bez mała pięciu lat”.

Zapytujemy nieśmiało: to co Pan, do diaska, publikował gdzie indziej?!

Swych wielbicieli mają też poszczególni publicyści: „Stefan Pastuszewski – pisze p. T. – literka po literce wprowadził mnie w sam środek informacji o czasopiśmie. Jest to bardzo sympatyczne wrażenie” – rozumiemy, że p. Stefan swą sympatycznością powala wszystkich wokół, ale żeby zaraz nauką alfabetu...?

Inni nie są tak dla redakcji łaskawi: „Tylko wiersz Michała Mocka przeczytaliśmy z przyjemnością”. I ten sam korespondent: „Redaktorów pozdrawiamy (pozdrawiać czyli życzyć zdrowia). Do pracy!”.

Odpowiadamy: Panie Rz., ależ my wcale nie chorujemy (czytać proszę: harujemy jak woły), ale za pozdrowienia dziękujemy.

Natomiast Pani S.-K., która krytycznie oceniając jedną z naszych piszących, zapytuje: „A cio to takiego, cio to?”, odpowiadamy: „Nić to takiego, nić, ot, zwykła zieć”.

„Jestem stałą czytelniczką waszego pisma, które bardzo sobie cenię. A może to i przez sentyment do Bydgoszczy”- pisze Pani W.

My też Panią bardzo cenimy. Również przez sentyment do Bydgoszczy.

Niektórzy są tak mili, że się szczegółowo prezentują: „Przedstawiam się Szanownej Redakcji – pisze Pani z Gdańska – przez kilka lat prowadziłam Koło Poetów w Gdańsku dopóki nie przeważały tam elementy ćpające, pijące i rzygające”.

Droga Pani, informujemy z radością, że na ulicy Dworcowej w Bydgoszczy (mieści się przy niej nasza Redakcja) nie zauważyliśmy żadnych nacpanych, napitych i zarzyganych jegomości. Wprawdzie nie wiemy, czy tak jest w całym mie-

JUBILEUSZU „AKANTU”

Rys. Marek Rona



ście, ale o tym prosimy już przekonywać się na własną rękę.

„Piszę, bo muszę, jestem spod znaku Raka, jak Miłosz i Szymborska” – dalej zwierza się ta Pani.

Otóż, informujemy, że w Bydgoszczy jest jeszcze kilku poetów i poetek spod innych znaków, zatem, prosimy jednak do nas zjechać, zwłaszcza, że jak Pani pisze, ma pani: „wielkie myśli, dwie ręce gotowe do pisania i niewykorzystane dwie nogi”. Jeszcze nie wiemy, jak wykorzystać te dwie nogi, ale zapewniamy Panią, że myślimy nad tym intensywnie.

Niektórzy suplementują komentarze akantowych autorów. Na przykład Pani S.-K., która wypowiedź: „Noblesse, która nie zawsze, niekoniecznie i nie każdego oblige” zaopatrzyła następująco: „Noblesse oblige po polsku znaczy: Zdechnę, a nie skurwię się”.

Przynajemy, że zainteresował nas ten artystyczny punkt widzenia.

Czym jeszcze jest „Akant”: „Dla mnie jest przede wszystkim odpoczynkiem od codzienności” – pisze czytelniczka T.

Ależ, my chcemy, by „Akant” był w każdym domu codziennością, a nie świętem. Proszę zapamiętać: czytamy „Akant” każdego dnia!

„Mam nadzieję, że „Akant” utrzyma się na tle tego hermetycznego badziewia” – pisze Pani F.

My też, zwłaszcza, że uważamy, iż hermetyczne powinny być jedynie konserwy, no i kabiny astronautów.

Przyjmujemy też skargi: Pan T ma do nas taką oto pretensję: „Nie wydaje mi się, żeby moje eseje były gorsze merytorycznie od pani N., a w majowym numerze poświęcono jej aż 5 stron”.

Na szczęście, Pani N. wyręczyła nas w odpowiadaniu temu Panu, a my tylko dodamy, iż znamy jeszcze inne miary, niż linijka. Inni składają nam szczególne życzenia, np. by „za rok adres „Akantu” nadal był aktualny”.

Och, my także sobie tego życzymy, drogi Panie T. Żeby to jeszcze chciał zrozumieć właściciel czynszówki, kiedy przyjdą na nas ciężkie czasy...

Gros sformułowanych zarzutów dotyczy oczywiście proporcji tematycznych „Akantu”. Ale jak tu zarządzić życzeniom Czytelników, kiedy np. względem poezji wypowiadają się oni następująco: „Uważam, że obecnie jest ich (wierszy) zbyt wiele” – pisze Pan P, a Pan K. podaje, co następuje: „Akant” to dobre pismo, tylko w nim za mało poezji”.

Wprawdzie nie wiemy, czy Panu K. idzie o ilość, czy o jakość, ale naprawdę nie widzimy możliwości zaspokojenia pragnień obu panów... Rozwiązaniem zastępczym musi pozostać to, które funkcjonuje obecnie: jedne strony są pełne poezji, inne nie... Podobnież w dziale krytyki, prozy czy innej publicystyki...

Nie wszystkim także podobają się rozmowy o poezji: „Takie to pierdactwienie” – podaje Pan K., i proponuje w zamian dyskusję pt: „Co zrobić, by dać przetrwać „Akantowi”?

Drogi Panie K., dziękujemy za troskę, byłoby miło, jednakże wyrażamy obawę, że pierdactwienie ekonomiczne o „Akancie” może być ciut pozbawione poezji (niemniej prosimy nie poddawać się w tym względzie)...

O tym zaś, że naprawdę staramy się zaspokajać nawet najbardziej wyrafinowane potrzeby ukochanych czytelników, niech świadczy opinia naszej wybitnej publicystki, która zwierzyła się ostatnio, że: „Wiele perwersyjnej satysfakcji dostarcza mi niezwykle wartki tego roku w „Akancie” nurt nekrofilski. Oby żył wiecznie”. I, choć nie uściśliła, czy tyczy to nurtu, czy „Akantu”, my, przynależnym nam prawem kaduka, bierzemy to do siebie i również życzymy sobie, byśmy żyli wiecznie.

Jako i nasi wierni Czytelnicy niech żyją!*

„Akant” w hasłach

Podczas uroczystości jubileuszu 75. numeru „Akantu” ogłoszono konkurs na hasło propagujące „Akant”.

Jury w składzie: Stanisława Deluga i Beata Anna Pokorska nagrodziło (w kolejności) trzy utwory: Alicji Mirkiewicz, Włodzimierza Zielińskiego i Mieczysława Wojtasika.

I nagroda:

Alicja Mirkiewicz

Zawsze nowy – DUCH „Akantowy”.

II nagroda:

Włodzimierz Zieliński

Cud „Akantu” –
prostokątny i
bez kantów.

III nagroda:

Mieczysław Wojtasik:

Tylko na łamach „Akantu”
Zaznasz życiowego furtu.

„Akant” w ręku –
duszy lżej!

„Dobry żart – tynfa wart”
a euro wart –
„Akant”.

Leszek Łęgowski

Dopóki Brda przez Bydgoszcz płynie
Tak długo „Akant” nie zaginie!

Niech liście „Akantu” szumią srebrzyście
przyszłemu Nobliście!

Alojzy Michalski

Cukier krzepi,
„Akant” lepiej.

Alicja Leśniak

Jeśli chcesz być zdołowana
szybko biegnij do Stefana!

Andrzej Adamski

„Akant” tu,
„Akant” tam.

Zygmunt Bazali

Pośród hasel i sloganów,
proszę Pań i proszę Panów,
pismo „Akant” serca krzepi,
kto je czyta – wie najlepiej.

Bogumił Rogalski

Czytaj kolumny „Akantów”,
bo tam brak gładzenia „kantów”.

Janusz Garlicki

W kraju gdzie wszystko pokotem się kładzie
Lub jeśli stoi, to na kancie,
Oprzyj się na tych, co wzniosłej triadzie
Służą. Oprzyj się na „Akancie”.

Henryk Stępień

- „Akant” rozwija się i kwitnie
- „Akant” podtrzymuje
- „Akant” uskrzydla nie tylko poetów
- „Akant” rozprawia się śmiało...
- „Akant” uczy i wychowuje
- „Akant” łączy i burzy...
- „Akant” ożywia nas i rozwesela...

Anna Urbańska

Chcesz rozpocząć miły ranek,
to z „Akantem” zjedz śniadanie.

Barbara Bartosz-Jaworska

O mój ty „Akancie” rozwijaj się
Przejdą chude lata, przyjdą
złote czasy – ostaniesz się!

Jarosław Sułkowski

To nie są wiersze,
poematy,
I polonezy karmazynów.
To „Akant”, w którym
polskie światy
Z ojców przenoszą się
na synów.

Stefania Bazali

„Akant” pismo
jak należy.
Kto przeczyta –
ten uwierzy.

ECHA JUBILEUSZU

Anna Błachucka

WIO! – KONIKU...

Wio! – koniku, a jak się postarasz,
na bankietach literackich będziesz jadł!
Tobie wierszy nasypiemy zaraz,
a i z lotnych piór do skrzydeł będziesz rad!

NA ARIANE

Strzeliła sobie „pięćdziesiątkę”
Ot! – w sam raz, jak na kobietkę,
by myśl prowadzić trzeźwym wątkiem
dotąd, aż los jej zesła „setkę”!

LIMERYK

Ćwiczył swe pióro Stefan, apetyt ostrzył
- chciał dopasować słowo przyjazne dla Bydgoszczy.
Szukając słówek do rymu
zszedł wszystkie drogi do Rzymu!
Teraz przyjaciół gości winem z gronowych moszczy.

NA RATUNEK!

Rażony piórem Marek – krwawi!
Wkrótce już może wyżej – bawić...
Diagnoza szybka wyjaśniła,
krew mu w atrament się zmieniła.
Transfuzja będzie nietypowa
- kałamarnica już gotowa...



Anna Błachucka

Autor-ka „Akantu” (na siebie)

Po męsku – strzelam „stocka”,
po damsku – bujam w obłokach!

Testosterony Rony

W marzeniach jestem z tobą czasem
w momentach objętych ()
Jeśli ci Amor wieść tę bzyka,
to nam nie trzeba po;
Co rychlej tylko poprzeganiaj
natrętne znaki?
Od Afrodyty weź na piknik
pas wdzięków, rozkoszny!
A kiedy zmysły zaczną fikać
nie przechodź, proszę, do –
Nasze przeżycia, jakże słodkie
zamknę tajemniczym.....

GRATULACJE

Życzę Wam sukcesów i uniknięcia losu
„Arkusza”.

Christian Manteuffel, Lenningen

Gratuluje „Akantowi” 75. numeru. Oczywiście, niezmiernie cieszy mnie fakt, że na tą uroczystość zostały zaproszone moje wiersze. Naprawdę jest wielką przyjemnością znajdowanie swoich utworów w najlepszym piśmie literackim w Polsce.

Jacek Tabisz, Wrocław

Chciałbym pogratulować 75. numeru „Akantu”. Numer ten kupiłem w centralnym miejscu w Warszawie, w „Traffic Club”, gdzie był wyłożony w bardzo widocznym miejscu.

Gerhard Gnauck, Warszawa



Tulipan „Akantu”

KUPON PLEBISCYTOWY

AUTOR

TYTUŁ UTWORU

ROK I MIESIĄC DRUKU

IMIĘ I NAZWISKO TYTUŁUJĄCEGO

ADRES

Tym razem (w rozliczeniu kwartalnym) Tulipan „Akantu” wręczamy: Urszuli Małgorzacie Bence za „Kulturowy Uroboros” (nr 10, s. 33), Jerzemu Gizelli za „Czy widzisz te zmiany na szczycie” (nr 2, s. 35), Jerzemu Hłondowi za „Goliata” (nr 7, s. 37), Stefanowi Pastuszewskiemu za „Gu-Gu” (nr 9, s. 17-18), Beacie Annie Pokorskiej za „Meandry współczesnej prozy” (nr 9, s. 24-25).



Najlepsi w usługach i doradztwie!

Viterra Energy Services jest światowym liderem wśród przedsiębiorstw zajmujących się rozliczaniem kosztów zużycia ciepła, wody i innych mediów.

viterra
Energy Services

Już 10 lat w Polsce!

Największa w branży sieć dystrybucyjna obejmuje w Polsce 9 oddziałów, 30 biur pełnomocników handlowych oraz ponad 1000 firm instalacyjnych i odczytujących.

Usługi:

- doradztwo techniczne, finansowe i prawne,
- dostawa i montaż podzielników kosztów ogrzewania, wodomierzy, ciepłomierzy i zaworów termostatycznych,
- inwentaryzacja grzejników,
- odczyty wskazań urządzeń pomiarowych,
- wprowadzanie i aktualizacja danych w systemie rozliczeniowym,
- rozliczanie indywidualnego zużycia ciepła,
- rozliczanie zużycia ciepłej i zimnej wody,
- rozliczanie dodatkowych kosztów budynku lub grupy nieruchomości,
- wystawianie indywidualnych i zbiorczych rachunków,
- prognozowanie przedpłat na kolejny okres rozliczeniowy,
- elektroniczna wymiana danych,
- dzierżawa urządzeń jako forma finansowania.

Urządzenia:

- elektroniczne **doprino®II** i wyparkowe **exemper®** podzielniki kosztów ogrzewania,
- ciepłomierze **sensonic®II**,
- ciepłomierze magnetoindukcyjne **combimete®II**,
- przetworniki ultradźwiękowe **ultego®II**,
- radiowy system odczytu i rejestracji danych **symphonic®**,
- system zdalnego odczytu danych **symphonic®** mbus,
- wodomierze do wody ciepłej i zimnej,
- zawory termostatyczne.



Viterra Energy Services Sp. z o.o. 02-677 Warszawa, ul. Cybernetyki 7
Oddziały: 80-119 Gdańsk, ul. Asesora 88; Tel. (0 58) 305 54 86-9; 40-584 Katowice, ul. Śródkowa 5; Tel. (0 32) 609 97 17; 31-155 Kraków, ul. Ogrodowa 1; Tel. (0 12) 422 79 72; 20-207 Lublin, ul. Turystyczna 7; Tel./Fax: (0 81) 745 00 40; 90-046 Łódź, ul. Wodna 39; Tel. (0 42) 676 44 75; 62-529 Poznań, ul. Dąbrowskiego 81/85; Tel. (0 61) 847 36 76; 71-215 Szczecin, ul. Łukasieńskiego 110; Tel. (0 91) 487 96 61; 02-677 Warszawa, ul. Cybernetyki 7; Tel. (0 22) 549 27 30; 54-317 Wrocław, ul. Majakowskiego 7; Tel. (0 71) 376 98 70

www.viterra-es.pl

Runął kruchy dom

Odszedł poeta. I to nie poeta *bywający* czy *tylko piszący*, ale *żyjący po poetycku*. W całkowitym niemal otwarciu na świat, a więc przeżywający niezwykle zachwyty i niesamowite załamania, a równocześnie budujący w sobie i wokół siebie kruchy dom radości, dobra, piękna i tego co tylko szczerze przeżywana poezja może dać – błogiej nirwany. Dramat poety, i to każdego, tkwi jednak w tym, że ten kruchy gmach w każdej chwili może runąć i jakże często tak właśnie się dzieje. Czasem nieodwracalnie.

PIOTR BARANOWSKI odszedł 12 września 2003 roku, nagle i chyba... jakby spodziewanie. W swym jedynym zbiorze wierszy o niepokojącym tytule „*Nie zdążyć...*” oswajał bowiem śmierć i nadawał jej pozytywne znaczenie.

Śmierć miała według poety funkcję wybawczą od złego świata („*Zabierz mnie*”). Bohater wierszy Piotra Baranowskiego, zdesperowany, zwracał się do drugiej osoby, aby go zabrała na tamten świat, wybawiła od bólu istnienia. Atmosfera w tym zbiorze narasta wraz z kolejnymi wierszami, gęstnieje, „*pęczniej klatka bólu*”, ponieważ według podmiotu lirycznego „*miłości nie ma/ świat zły/ świat też*”.

Pojawia się więc wyraźne dążenie do unicestwienia, dominuje uczucie rozpacz, chęć samobójstwa, czasami tłumaczona, jak w wierszu pt. „*Niekochana*” jakimiś traumatycznymi przeżyciami. Często jednak chęć ta pozostaje bez wyraźnej przyczyny, istniejąca jakby sama w sobie (Weltschmerz), czy wręcz sama dla siebie, jest tem życia, a może nawet uczuciem *ex definitione* przyporządkowanym podmiotowi lirycznemu.

Nagle jednak, po wydaniu debiutanckiej książki, atmosfera poezji Piotra Baranowskiego rozświetliła się. Zupełnie jakby promień słońca przebił olowiany pancerz chmur.

„*Akant*” miał szczęście drukować te utwory o... miłości. Zbierały się, a raczej pęczniały na kolejny tomik. Poeta jednak *nie zdążył*, jak proroczo zapowiadał, go wydać. Serce nie wytrzymało...

Piotr Baranowski urodził się 22 listopada 1962 roku w Warszawie. Studiował polonistykę i dziennikarstwo na Uniwersytecie Warszawskim.

Karię zawodową rozpoczął od dziennikarstwa, publikował artykuły o poezji, teatrze i muzyce. Na temat poezji wypowiadał się też w telewizji w programie edukacyjnym „*Edusat*”, z którym miał zamiar nadal ściśle współpracować. W 2003 roku wydał tomik poezji „*Nie zdążyć*”. Został laureatem V Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego „*Nie pochłonie nas ekran*” w Poznaniu.

Związany był z Klubem Poetów przy Bibliotece Uniwersyteckiej.

Pracował w Bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego, a potem przez ostatnich dziesięć lat w Bibliotece Szkoły Głównej Handlowej.

Był humanistą, człowiekiem otwartym, życzliwym dla wszystkich, wrażliwym na piękno i cierpienie. *Był, a nie tylko był poetą*. Dlatego też nie wszystkim umarł.

Stefan Pastuszewski



Piotr Baranowski

* * *

lubię przyglądać się Twoim dłoniom
podobnym płatkom przezroczystych róż
gdy piją chciwie deszcz
wiotkim palcom piękniejszym
niż gipsowe bryłki w Valldemozie

ich porcelanowa kruchość
dalekie ciepło skóry

ogrzewasz tętnem aorty

wysycha strumień krwi
języki ognia sięgają
pod żebra

serce spalone
papierowa kulka
popiół

to aż tak boli
łaknąć...

AVEC AMOUR

banalnie niepozorny
purpurowy kształt
potoczył się wtędy
gdy szłaś
wpisana w obrys chmur

unieś bezbronną kruchość
na mgnienie choćby
a ogrzejesz dłonie

to jest moje serce

DALEKI OGRÓD

noc spać się kładzie
z krwawej tarczy niebo roś roni
serenada motyli chwałek
szmer przedświt

gdy jaskółki arkuś mgieł rozchyła
fontanną barwnych iskier
o obłok uderzysz

na samotnej gałęzi
z liściastych kaskad
kroplą soku przywitasz
zadumanie traw

tylko dłoń wyciągnę
zerwę Twą soczystość
by przytulić zachłannie
do ust szepczących zakłęcie

lecz wargi nożem pamięci
boleśnie rozcięte:

wiosennym oddechem
nie w moim sadzie
zakwitłaś

Cichy szum błogiej bezsenności...

HYMN

na dworze brudny deszcz
zmywa radość z rachitycznych drzew

w pustym kościele
siedzę osnuty dymem ciszy
wonią kadzidel
plamka światła pełga
po kamiennej podłodze

by nie urazić
garstki modlących się staruszek
inwalidy wspartego o klęcznik
dostojnej zakonnicy
ledwie słyszalnie mrużąc melodię
(choć nie kolęda to
nie pieśń nabożna)
- motyw przewodni z „*Pulp Fiction*”
(Uma Thurman śliczna
jak Matka Chrystusa)
usta układam we frazę
daleko od Boskiego gniewu
(Ty i gniew?)

Tobie ta strofa Panie
śpiewana tylko
gdy mi dobrze

rzadko ją nuce

WYZNANIE

jesteś kroplą księżycy
cichym szumem błogiej bezsenności

maleńkim szkiełkiem
w kosmosie mej piersi

osiadasz modrym motylem
na łące płuc

i płonie oddech Tobą

SÓL MOJEJ TĘSKNOTY

rozkołysane warkocze wodorostów
spieniona powłoka
leniwie wchłania rubinowy owal

zaglądam pod muszle
śledzę lot rybitwy
szukam w cieniu starego kutra
na chłodnej wydymie

jeśli nie ma Ciebie
mnie nie ma

klęcząc
przykładam piasek do policzków
szorstkość kwarcu na ustach

tyś mokrą ziarenką
wśród nich jedno
błyszczy i pulsuje
delikatnie ujmując drżącymi palcami
prześliczne
to Ty

jesteś

zasypiam spokojnie
morze szepcze Twoje imię

BORNHOLM. IMPRESJA

przystań
dumne maszty żaglówek
między rdzą kotwic
wolno falują meduzy

wyspa wrzosowisk
ruiny zamku
czteroramienny grabarz wiatru
miasteczka z ułożonymi misternie
pralinkami domów

aromat kwiecistych wzgórz
strzeliste kłosa w zwierciadle
nieba
taniec świerszczy
kopuła ciszy

patrzę na pływacy obok
krajobraz
zmętniałym wzrokiem ślepeca

wyraźnie czuję
dziewczęco szczupłą postać
bosymi stopami
spaceruje po sercu

każde stąpanie
zastrzyk miodu
pejzaż najbliższy
zawsze

Beata Anna Pokorska

Książki „oddolnie dostępne” rzeczywiście potrzebne!

O tym, że rynek polityki książkowej wymaga przewartościowań w funkcjonowaniu, dowodzą liczne podejmowane ostatnio akcje, popularyzujące szeroki dostęp do papierowego skarbu. Dość wspomnieć intermedialną „Podaj książkę”, telewizyjno-plakatową „Cała Polska czyta dzieciom”, jak i naszą akantową, dynamicznie rozwijającą się, międzynarodową już, sieć **Klubów Polskiej Książki**. Każda z tych inicjatyw, choć inaczej ukierunkowana, jest odpowiedzią na wiele dramatycznych zjawisk: drastycznie spadające czytelnictwo, wzrastanie pokolenia zagrożonego utratą świadomości czytelniczej, windowane ceny książek, nieskuteczne funkcjonowanie systemu bibliotecznego, i pewnie jeszcze wiele innych...

Bo i rzeczywiście, z książką rzecz ma się dziwnie. Na ceny już ponarzekaliśmy, ale nawet ona sama stwarza jakieś dziwne przeszkody. Przeszkoda pierwsza: w księgarniach nie ma krzesła, więc jak tu poczytać odrobinę dłużej, i to jeszcze tak, by Pani pilnująca nie patrzyła na nas

wilkiem... Przeszkoda druga: w wypożyczalni każą wypełniać jakieś zawiłe formularze i okazywać się dokumentami, jakbyśmy mieli względem tych książek nieczne zamiary. Kiedy już uporamy się z tymi zawiłościami, to musimy, zamiast podejść do zachęcająco uginających się półek, grzebać w katalogach, z których niewiele dla naszego czytelniczego apetytu wynika. Ani nie widać, czy to cienka, czy gruba pozycja, z obrazkami czy bez, czy cieszy się wzięciem gawiedzi, co ocenić można po pozaginanych rogach czy innych wesółych komentarzach. Nie czujemy jej fluidów. I jak tu kota w worku wypożyczać... Kiedy zaś już tego kota wypożyczymy, a następnie - daj Panie - okaże się on akuratywny i potrzymamy go jakiś czas dłużej, by przeczytać go cała rodzina, łącznie z teściem, to każą nam płacić ciężkie pieniądze za przetrzymanie go! No, i jeszcze jedno, w tej wypożyczalni to każą być cicho, jak nie przymierzając, w muzeum, czy innym kościele... A przecież, trzeba sąsiadowi, co właśnie wypożycza ciężkie Kanty, czy inne Hegle, uświadomić, żeby się tak szybko nie decydował, tylko posłuchał, co bliźni ma mu na ten temat do powiedzenia. Ale jak, kiedy trzeba milczeć i milczeć... A czy po to Pan Bóg człowieka stworzył, by o książkach milczał?

I dlatego, proszę Państwa, trzeba było coś z tym zrobić. Bo nam się wydaje (i jak widać - nie tylko nam), że o książkach trzeba mówić. I jeszcze się nam wydaje, że za książki nie trzeba płacić ciężkimi pieniędzmi lub czytać ich ukradkiem, niczym podglądając cudze żony... Nie szukać ich w ponurych katakumbach katalogów ani wypisywać sążnistych rewersów. Nie przyglądać się

im z dala, ale odwrotnie: móc w nich przebierać, odkładać na półki, przebierać w koszach, dotykać... Oplotkować je, ta mi się podoba, ta nie, bo tak i już, chwalić się nimi, że moja, lub znajomego, wspólna, czy czyjaś tam jeszcze... Pożyczać je sobie wzajem, bez zbędnego szpiegowania: odda, nie odda, a jak nie odda, to co? Świat się zawali? To przyniesie inną, oj, czy ludzie nie mają poważniejszych zmartwień?

I po to są właśnie takie Kluby Polskiej Książki czy inne „strefy wymiany książek”. Tu może spełnić się to wszystko, co wyżej nakreśliśmy. Jest regał, są kosze - są książki, a za jakiś czas będą nowe książki - wszystko to można wziąć, przeczytać, oddać lub kupić za przysłowiową złotówkę. Można też o nich pogadać, posłuchać wierszy, prozy, poznać tutejszych pisarzy i innych ludzi sztuki. Wszystko bez zbędnego balastu formalności, natomiast w miłej atmosferze i za niewielkie pieniądze.

O tym, że jest to potrzebne, świadczy gorące przyjęcie, przez rozproszone środowiska literackie Zielonej Góry, kolejnego, osiemnastego już oddziału Klubu Polskiej Książki, otwartego w pięknym lokalu herbaciarni „W poszukiwaniu straconego czasu”, przy ulicy Świętojańskiej 1, prowadzonego przez **Małgorzatę Marciniak**. Przybyli goście: **Joanna Filipek** - prozaik i tłumacz z języka niemieckiego, **Eugeniusz Kurzawa** - prezes zielonogórskiego ZLP, poeta i... gawędziarz, już zapowiedzieli swą pomoc. Mamy zatem nadzieję, że zejdą się w tym uroczym miejscu wszyscy, którzy do takiej przestrzeni książkowej tęsknią - nie tylko uznani literaci, ale również czytelnicy młodego, borykającego się (jak to w Polsce) pisma artystycznego „Miaster”, studenci tamtejszego uniwersytetu, młodzież, która nie ma się gdzie w tym celu spotkać, wreszcie szwec, policjant, malarz - także pokojowy - i nauczyciel. O! zwykli czytelnicy, którymi przecież jesteśmy my wszyscy.

Gdyż wszyscy na takie spotkanie z książką zasługujemy!*



Wszystkim pisarzom i bibliotekarzom, którzy chcieliby podarować książki Klubom Polskiej Książki, podajemy adresy tych placówek. Zapewniamy, że tam wszystkie książki czyta się i analizuje. KPK organizują również spotkania autorskie. KPK szczególnie interesują się literaturą współczesną.

- KPK, Hotel „Centralny”, ul. Dworcowa 85, 85-010 Bydgoszcz, tel. (052) 379 67 89, trzeci wtorek godz. 18.00
- KPK, Klub Nauczyciela, ul. Słowackiego 58/60, 60-521 Poznań, tel. (061) 852 10 85
- KPK, Pub „Żubr”, ul. Magdzińskiego 6, 85-005 Bydgoszcz
- KPK, Klub Nauczyciela, ul. Wojska Polskiego 3, 56-306 Milicz, woj. dolnośląskie, tel. 0606888407
- KPK-Podbrodzie, Pabrades Internatienai Mokykla, 4710 Pabrade, Mokyklos gatve 5, Litwa - Lietuva, tel. 0037038754402
- KPK, Landuwarou, Henriko Senkevicius Vidussmokykla, 4200 Lentvaris, Lauko gatve 20, tel. 828218905, Litwa-Lietuva
- KPK, Waclaw Ratyński, Kuźnica Czeszycka 29, 50-320 Krośnice, woj. dolnośląskie, tel. (071) 3845551
- KPK, Pub „Pamasik”, Bydgoszcz, ul. Parkowa 2
- KPK-Wielony, Felicja Leszczyńska, LV 4550 Vilani, Nakotnes iela 2/3, tel. 003714662598, Łotwa - Latvija
- KPK - Malta, Jadwiga Okuniewicz, Malta, Rezeknes rajon, Jaunatnes iela 11, tel. 003714641921, Łotwa - Latvija
- KPK - Rzeżyca, Rezeknes polu vidusskola, Lubanas iela 49, LV - 4600 Rezekne, tel. 003714023552, Łotwa - Latvija
- KPK - Łohiszyn, Janina Bogdanowicz, 225740 Łohiszyn, ul. Dzierżyńskiego 29, Pinski rajon, Brianskaja oblast, Białoruś - Biełarus
- KPK - Wępcbork, Liceum Ogólnokształcące, 89-410 Wępcbork, ul. Pocztowa 14
- KPK - Fordon, Klub „Pod Różą”, 85-790 Bydgoszcz-Fordon, ul. Rynek 6, tel. (052) 3448376, drugi czwartek godz. 18.00
- KPK, Osiedlowy Klub „Odnowa” Bydgoszcz-Kapuściska, tel. (052) 3631867, drugi czwartek godz. 18.00
- Centrum Handlowe „Dom i Styl”, 85-796 Bydgoszcz, ul. Fordońska 333, tel. (052) 343 22 11, ostatni poniedziałek, godz. 18.00
- KPK, Zespół Szkół Ogólnokształcących nr 4, im. Kazimierza Wielkiego, 85-323 Bydgoszcz, ul. Stawowa 39, tel. (052) 373 14 65
- KPK, Ośrodek Szkolno-Wychowawczy dla Dzieci i Młodzieży Słabo Widzącej i Niewidomej im. Louisa Braille'a, 85-008 Bydgoszcz, ul. Krasieńskiego 10, tel. (052) 322 17 87
- KPK, Herbaciarnia-Galeria „W Poszukiwaniu Straconego Czasu”, 85-089 Zielona Góra, ul. Świętojańska 1, tel. (068) 453 24 55

Andrzej Orylski

Z tajemniczym uśmiechem

Na spotkania autorskie KPK w Zespole Szkół Ogólnokształcących nr 4 im. Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy zapraszane są osoby twórcze, będące w stanie zaszczerpieć w młodzieży bakcyl ustawicznej kreacji. Bohaterem pierwszego był **Maciej Obremski** - pisarz - eseista, a drugiego - wszechstronny pisarz i wielki miłośnik Bydgoszczy - **Stefan Pastuszewski**.

To już kolejne (23 października 2003 roku), udane spotkanie mające na celu związanie młodzieży z literaturą współczesną, zbliżenie do wartościowej lektury, nadanie książce właściwego znaczenia w życiu.

Imprezie towarzyszyła wystawa: wycinki z prasy, recenzje, ilustracje, portrety i karykatury pisarza wykonane przez **Marka Ronę**. Niewielka wystawka popularyzująca „Akant” obejmowała zaś wypisy z niektórych artykułów twórcy, wycinki i kolejne numery tego niezwykłego czasopisma.

Na zdjęciu:
Prezes Federacji Klubów Polskiej Książki - **Michał Krzemkowski** wpisuje się do książki pamiątkowej KPK w **Matcie** na Łotwie. Pierwsza z lewej - przewodnicząca maltańskiego KPK - **Jadwiga Okuniewicz**.

Fot.
Włodzimierz Zieliński



Jerzy Hłond

Harcerz i poeta

O zmarłym 17 października 1975 roku w Rzymie JERZYM BRAUNIE – harcerzu, poecie, pisarzu, publicyście, filozofie i mężu stanu ukazały się dwie znaczące pozycje książkowe: Marii Zychowskiej „Jerzy Braun 1901-1975 Twórca kultury harcerskiej i <<Unionizm>>” oraz – ze wstępem i wyborem wierszy Eugeniusza Żuka – „Muza poezji w celi Jerzego Brauna”. Ten twórca, o tak bogatym dorobku pisarskim i o tak niespożytej osobowości bojownika zaangażowanego w działalność konspiracyjną w okresie hitlerowskiej okupacji i tuż w latach powojennych jednak w Polsce, w tworzenie Stronnictwa Pracy, przez władze ludowe został surowo osądzony wyrokiem dożywocia a na następnie, w latach tak zwanej „politycznej odwilży”, zrehabilitowany. Dopiero w późniejszych latach jego twórczość zostaje przypomniana. Do końca życia nie przebywał jednak w Polsce, wyemigrował i osiadł na stałe w Wiecznym Mieście, gdzie w zaciszu Watykanu zmarł w 1975 roku, w dniu Kongresu Filozoficznego, poświęconego Mądrości Krzyża, na którym przewidywał wygłosić referat na temat „Misterium Krzyża w dialogu ekumenicznym”. Podczas pogrzebu na cmentarzu rzymskim zainonowano jego harcerską pieśń napisaną w 1918 roku pt. „Płonie ognisko i szumią knieje”.

Po latach Jerzy Braun, pochodzący z Dąbrowy Tarnowskiej, powrócił na zawsze do ojczyzny, spoczywając na Powązkach we wspólnej mogile Przywódców Podziemnego Państwa Polskiego, obok takich bojowników, jak gen. M. Karaszewicz-Tokarzewski, gen. T. Bór-Komorowski, gen. L. Okulicki, C. Ratajski, J. Piekalkiewicz, S. Jankowski, K. Pużak czy S. Korboński. W Tarnowie Gimnazjum nr 4 ogłosiło poetę swoim patronem i sprawuje honorowy patronat nad przygotowaniem spektaklu Jerzego Brauna pt. „Europa”, którego reżyserem jest krewny zmarłego pisarza – Kazimierz Braun.

Warto przypomnieć bogaty dorobek pisarski Jerzego Brauna, na którym złożyły się utwory poetyckie: „Najazd centaurów” (1922), „Oceanida” (1923), „Dywan rozkwitający” (1925), „Ziemia i niebo” (1928), „Tancerz otchłani” (1933), „Ballada o Warszawie” (1947), „Poematy” (1948), „Patos przemijania” (1959), „Moja matka” (1969), „Rytmy włoskie” (1974) i „Oddechy planety” (1977), a z powieści i opowiadań: „Przygody słonia. Opowieść afrykańska” (1922), „Bohaterski Nik i inne opowiadania” (1925), „Biały czy żółty” (1925), „Kiedy księżyc umiera” (1925), „Hotel na plaży” (1926), „Cień Parakleta” (1930) i „Wieża Babel, powieść ekstatyczna” (1935). Do dramatów i widowisk scenicznych należy zaliczyć: „Szopka harcerska” (1925), „Prawy harcerz” (1935), „Europa” (1930), „Rewolucja” (1931), „Dni Konradowe” (1935), „Christofer, misterium narodowe” (1935). Ten utalentowany twórca zaznaczył również trwałą obecność w polskiej kulturze utworami muzycznymi: „Bal futurystów” (1922), czy zbiorom nowych pieśni i piosenek harcerskich pt. „Nasze harce” (1922). Był autorem scenariuszy filmowych ekranizowanych w latach 1929-30: „Mocny człowiek”, „Pod banderą miłości”, „Halka” i „Huragan”. Opublikował kilkadziesiąt prac naukowych o charakterze filozoficznym, historycznym, religijnym, historyczno-literackim, które w większości znajdują się w bibliotekach: w Pradze, Rzymie i Londynie.

MARIA ŻYCHOWSKA od kilkunastu lat drąży temat dramaturgii twórcy „Szopki harcerskiej”. Kilka wznowień ma już jej pozycja pt. „Jerzy Braun (1901-1975) harcerz, poeta, filozof, publicysta, mąż stanu”.

Przypomina ona zbiór nowych pieśni i piosenek harcerskich Jerzego Brauna pt. „Nasze har-

ce”, który ukazał się drukiem w 1922 roku w Wilnie.

Z pewnością bardzo mało znany jest Czytelnikowi okres harcerski w życiu poety, autora powszechnie znanej pieśni, napisanej w 1918 roku pt. „Płonie ognisko i szumią knieje”. Mało kto dziś pamięta o dacie jej powstania i autorze. Na biwakach i obozach harcerskich brzmią jej tony. Po raz pierwszy została opublikowana w wydawanym przez J. Brauna miesięczniku „Czuwaj” w 1920 roku i w latach międzywojennych stała się pieśnią druhów. Nawet dziś cieszy się niesłabnącą popularnością.

Na zbiorok wspomnianych pieśni składają się utwory: „Defilada”, „Marsz harcerzek”, Marsz bojowy”, „A kto chce rozkoszy użyć...”, „O harcerzu piosenka wesola”, „Marsz pionierów”, „Pieśń kuchacza”, „Śpiew żalobny czatownika”, „Złot we Lwowie”, „Nasze harce”, „Marsz żalobny”. Każdy utwór zaopatrzony jest w nuty, również autorstwa Jerzego Brauna.

Czym było w tamtych latach harcerstwo dla polskiej młodzieży? W jednym z wystąpień napisał: „Kształtował się też styl życia harcerskiego, synteza pogody, zachowatości, brawury, zaradności, życzliwości, prawdomówności, honoru, obowiązkowości i wierności uznany przez siebie ideałom. Harcerz to ten, co nigdy się nie załamie i da sobie radę w każdej sytuacji, pośpieszy z pomocą słabszym, wystąpi z inicjatywą, stanie na czele. Dlatego Harcerstwo stało się u nas przede wszystkim szkołą charakterów”.

„Muza poezji w celi Jerzego Brauna” ze wstępem i wyborem wierszy EUGENIUSZA ŻUKA jest pozycją bardzo wartościową. Autor tej publikacji zdołał przybliżyć nam formy i metody okrucieństwa w latach tak zwanych „stalinowskich” w naszym kraju. J. Braun, za przynależność do „Nowej Polski”, a później przekształconej w „Unię”, podzielił los wielu walczących o inną Polskę.

Jerzy Braun wraz z żoną był dwukrotnie aresztowany – w listopadzie 1945 roku i w grudniu 1948 roku. Ostatnie śledztwo trwało przeszło dwa lata, w czasie którego odbyło się, (nie do wiary!), około 250 przesłuchań. Przebywał w całkowitym odosobnieniu, przeżywał gehennę tortur, w czasie których stracił jedno oko i przeżył dwa zawaly. Jak wspomina poeta, była to rozprawa nie tylko przeciwko chrześcijańskiemu posłannictwu „Unii” i programowi Stronnictwa Pracy, ale i też Armii Krajowej oraz władzom antyhitlerowskiego podziemia. Sąd wymierzył działaczowi karę dożywotniego więzienia oraz pozbawienia na pięć lat praw obywatelskich i utratę mienia.

Po mokotowskim więzieniu J. Braun przewieziony zostaje do Rawicza, a po paru miesiącach do katowni we Wronkach, gdzie przeżył trzeci zawal i przeniesiony został do szpitala więziennego.

Po śmierci matki, w marcu 1954 roku, zaczyna pisać poemat „Moja Matka”. Matka stała się dla poety uosobieniem najwierniejszej ze Muz, której tyle zawdzięczał w życiu, gdyż nie tylko wprowadzała go w świat sztuki, ale przede wszystkim, nauczyła kochać ojczyznę.

Ten poetycki utwór nie jest sensu stricte poematem o określonej konstrukcji osnutej na tle losy głównego bohatera. Portret zmarłej matki przejawia się jedynie marginesowo, w tym poemacie, składającym się z luźnych miniatur, lirycznych zwierzeń czy rozważań o podtekście filozoficznym i politycznym. Na plan pierwszy wyłania się kontekst historyczny. Poemat nie prowadzi się nad biografią tytułowej bohaterki, ale poprzez ukazanie duchowego obrazu autora, składa jej hołd. Choć w krótkich migawkach

wspomina matkę w różnych sytuacjach, to jednak poemat ten jest wielkim chorałem o nadziejach polskiego narodu w czasie odległym i terazniejszym. Bo, jak powiada poeta w „Ars poetica”: „... by z głębinowych warstw ukrytych znaczeń / na jaw wydobyć istotny sens świata//.../ To sztuka skryte węzły dramatów obnaża/ krajobrazów milczącą umie czytać mowę,/ z fabuły sensy odgadnie i los z życiorysów, / niedostrzegalne maski zerwać umie z twarzy...”

Zaprezentowany typ poematu zaliczyć należy do gatunku lirycznej wypowiedzi, nawiązującej do przebogatej historii narodowej i kultury w wymiarze uniwersalnym. Wydarzenia o charakterze historycznym i literackim znajdują swoje naświetlenie w kontekście aktualnych spraw politycznych.

Eugeniusz Żuk przypomina czytelnikom drugi utwór powstały w więzieniu pt. „Prometej-Adam”, poświęcony upamiętnieniu setnej rocznicy śmierci twórcy „Pana Tadeusza”. Zadeedykował go „Nieśmiertelnemu twórcy Wielkiej Improwizacji w hołdzie”.

Tym, kim był Mickiewicz dla Jerzego Brauna, dowiadujemy się w fragmencie „Zaosie”: „... Przed zasłoną czarną/ przyszości stanął – w nim ogromnej zarzewie/ Sprawę, od której naród zapłonnie, w iskerce/ tli się już purpurowym nabrzmiewając ziarnem,/ które wiatr po Europie rozmiecie posiewem”. W „Legionie” zaś stanie na czele walczących o wolność narodów, aby przemówić z łamów „Trybuny Ludów” do emigrantów – żołnierzy. Gazeta ta będzie im towarzyszyć i „pójdzie jak pochodnia/ prometejski tor żłobiąc – zygazkiem gromu/ spadając tam, gdzie zdrada czai się i zbrodnia./ Tym gościńcem na pewno powróć do domu...”

Pozycje książkowe Marii Zychowskiej i Eugeniusza Żuka oraz wydany w 1997 roku zbiór wierszy Jerzego Brauna pt. „Tancerz otchłani i inne wiersze” przerywają milczenie o twórcy.

Najtrafniej scharakteryzował sylwetkę Jerzego Brauna, w homilii wygłoszonej w tarnowskiej bazylece katedralnej podczas mszy świętej – w 20. rocznicę jego śmierci, ordynariusz lubelski – biskup Józef Życiński, mówiąc: „Nie szukał dla siebie specjalnych miejsc. Każde miejsce, jakie los mu wyznaczył, było dobre, aby dać świadectwo tym wartościom, które wyniósł z domu. Świadectwo głębokiej wiary, umiłowania Ojczyzny i tych wartości, które zaszczyliło w nim harcerstwo, a które mógł realizować i walcząc w powstaniu i siedząc w więziennej celi. /.../ Jak dziecko tęsknił za wolną Polską, o której opowiadano mu w domu”.

Maria Zychowska, Jerzy Braun 1901-1975 Twórca kultury harcerskiej i „Unionizmu”, Harcerska Pracownia Archiwalno-Naukowa, Tarnów 2003, ss. 96

Jerzy Braun, Muza poezji w celi Jerzego Brauna, Wstęp i wybór wierszy Eugeniusz Żuk, Wydawnictwo Autorskie, Kraków 1997, ss. 120

Bydgoska Spółdzielnia Spożyców

ul. Gdańska 47, 85-950 Bydgoszcz

BSS było już

przed zachodnimi marketami:

- ✓ jest wszędzie tam, gdzie innym nie opłaca się być
- ✓ kupując w BSS popieracie rodzimy biznes
- ✓ kapitał polski i bydgoski

Maciej Rewakowicz

Myśli

Chcielibyśmy szczerocę
mierzyć wolnością,
a powinniśmy – prawdą.

Chowanie się w przeciętności
nie chroni przed umieraniem.

Kłamstwo jest jak łańcuch u drzwi,
prawda?

Zapominanie zniewag
źle wpływa na pamięć.

Anna Agata Tomaszewska

Czary Mary

wiesz, udawanie śpiącego wcale nie było trudne, a Mary
lekko znudzona przemykała nade mną, wokół czółna łóżka,
wzdłuż rozchylających polę ścian – niczym zwiastun śmierci
z książek Dicka, z filmów Schumachera

była nieuchwytna w pasie jak dym, wychodziła lekko wraz
z oddechem, mleczną zimową wstążką i kładła siną ciszę
na powiekach; powieki-groby zasypywała maku piaskiem,
ciii-szeptala przez zasłonę z pluszu, ciii-miękło, głucho na granicy

w miejscu, w którym przestawałaś czytać wers
zasypiałem

Tomasz Ososiński

via tiburtina, to już peryferie.
czasem zobaczysz tu jak
wzdłuż torów stary człowiek
pędzi owce. ulica ciągnie się
brudna, wzdłuż niej grube
mury, za które nie przedostaje się słońce.
cisza. pomeriggio. ktoś wygląda
przez okno, widzisz psy pod ścianą w kolorze
jasnego piasku. dalej
nie musisz iść.

Krystyna Nawrocka

Nie wiem

czy głupstwa czynią głupcy
czy szaleństwo jest zawsze szaleństwem
czy przyszłość wiąże się z przeszłością
czy kochani zawsze kochają
czy zdradzeni są zawsze zdradzonymi
czy śmierć zależy od życia

nie wiem czy tak jest
czy tak być powinno

Antonina Sebasta

Paradoks

ta Matka tak niemodnie ubrana
ze złą figurą bez makijażu
tuli tylko syna
zamiast zapewnić mu byt

zaradni wykształceni nowocześni
a żebrzą u jej stóp

Emil Biela

MODLITWA CZYLI WIERSZ PISANY PIĘCDZIESIĄT LAT

chleba naszego powszedniego
i...fantazji
tak modlę się od pół wieku
bezsukcesyjnie

bo albo jest fantazja a nie ma chleba
albo jest chleb a nie ma fantazji

Panie Boże
zrób coś w tej sprawie
coś cudownego i niebywałego
uczyni to dla mnie
przecież jestem Twoim Aniołem Stróżem

nie bądź takim
jakim jest pan bóg
w niebie „*Twórczości*”
Janusz Drzewucki
który umie nawet ładnie i grzecznie
pisać: „*Szanowny Panie! Za wiersze
dziękujemy. Na ich publikację nie
zdecydowaliśmy się. Z poważaniem.*”

przed bogiem Drzewuckim
był też potężny bóg
Ziemowit Feddecki
który pisał jeszcze pięknie
każąc siedzieć w czystości liryki
bez końca

posyłałem im modlitwę coraz starszą
bez rezultatu
zapominałem nieustannie
że bogowie
mali i wielcy nigdy się nie modlą

Sonia Watras-Langowska

Bezsenność

Marząc stoję oparta o nagrobek snu:
Oto mchu karakuła
i przezroczyście cętki wody.
Smak fiołkowego płynu
z cynowego kubka,
trawy naprężone jak struny violi
Pana de Sainte Colombe
oraz gorący skurcz wiatru od Nilu,
którym nieustannie płynę,
przedzierając się
do kolebki ciszy migdałowej...

W alei baranów wita mnie budowniczy świątyni Amona.
Bierze za rękę i prowadzi przez las kawowych kolumn.
Czubkami palców dotyka bezbarwnych reliefów.
Odczytuje obce słowa,
których nie rozumiem,
bo nie mam wiedzy Champolliona.
W nagrodę za wędrówkę dostaję dłuto
I wydhubuję w kartuszu swoje imię!

Henryk Liszkiewicz

Rok 1903. Paul Gauguin na Fatu-Iva wspomina swój pobyt w Arles

Wtedy w Arles
połączył nas wspólny cel
poszukiwanie tego
czego zabrakło impresjonistom
wyrazistszej formy
samoistnych kształtów
wreszcie własnego pomysłu na malarstwo

i choć wędrowaliśmy różnymi drogami
to w gruncie rzeczy
kierunek był ten sam
widać to już było w jego pejzażach z Arles
i moich chłopkach z Pont-Aven

to prawda
szukaliśmy po omacku
nie bardzo wiedząc
czego konkretnie chcemy
to stąd wzięły się nasze rozczarowania
jego obcięte ucho
i moja ucieczka na drugi koniec świata
ale prawdę mówiąc
tak niewiele wtedy wiedzieliśmy
to że ład był tuż obok
zrozumiałem dopiero wiele lat później

teraz
z perspektywy czasu
wyraźnie widzę
że wtedy w Arles
Vincent był zdecydowanie bliżej niż ja
być może tylko krok dzielił go
od upragnionego celu
formy zdecydowanie wyrazistszej
a może i nawet
zupełnie nowego kierunku w malarstwie

kto więc wie co by się stało
gdyby Bóg mu wtedy pomógł
gdyby wytrącił pistolet z ręki
gdyby

Jakub Mikurda

Pozegnanie Piotrusia Pana

Wszereż i wzdłuż: anatomia – najlepsze pokazy
ubiegłych sezonów („krok za krokiem, każdy
z każdym – zaplanuj swoje życie. Ja, ty, oni
- duzi, silni chłopcy...”)

Prawdę mówiąc, czy ja mógłbym cię okłamać?

Jakub Mikurda

Odpowiedź na wezwanie legendy kung-fu

Bądź i rządź, z kapitańskiego salonu, z krukiem
w herbie, z Czesławem Miłoszem („O wyższości
poezji nad prozą”). Co pani na to? Niewzruszona?
Drgania są wszędzie. Ciąg dalszy następnym razem.

Mariusz Klimek

Tuż

Gdy zasną kiedyś
I bzy porosną mój grób
Przysiądź czasem w ich cieniu.
I wspomnij mnie i nasze dni.
Ja będę z Tobą – Tuż,
Choć wiatr już dawno ucichł.
Będę jak niewidzialna mgła,
Będę jak kryształowa łąka.
Uśmiechnij się
I mnie będzie lżej
A kiedy pierwszy promień słońca
Oświetli Twoją przezroczystą twarz
Podaruj mi gałązkę...

Jakub Mikurda

Miles Davis gra utwory Gila Evansa

Stary, zaryzykuj bananowe rybki!
Smaczna, zdrowa kuchnia, palce lizać!
Powód by wierzyć? Dowcip to dowcip...

Konkursy poetyckie z Wąglan

- „O złote gęsie pióro” dla zrzeszonych w związkach twórczych, oraz dla mieszkańców dużych miast, także poetów o znacznym dorobku literackim

- „Szukamy talentów wsi” – dla mieszkańców wsi i małych miasteczek
- „Dzieci i młodzież do lat 18” – dla wszystkich bez względu na miejsce zamieszkania, którzy w dniu nadesłania prac nie ukończyli 18. roku życia.

- Prosimy o nadesłanie do **31 grudnia 2003 roku** (decyduje data stempla pocztowego) 5 dowolnych wierszy w 3 egz. maszynopisu lub bardzo czytelny rękopis. Tematyki nie ograniczamy, ale najmilej będą widziane wiersze podkreślające walkę ze złem, z alkoholizmem, narkomanią, z zanieczyszczeniem środowiska naturalnego, dążące do odnowy duchowej i moralnej.

Utwory opatrzone godłem, powtórzonym na osobnej zaklejonej kopercie zawierającej bardzo dokładne dane autora: wiek, datę urodzenia, aktualny adres zamieszkania oraz telefon kontaktowy prosimy nadsyłać na adres: **Towarzystwo Przyjaciół Wąglan, Wąglany 50, 26-307 Białaczów, woj. łódzkie**

Anna Mika

Zagadka

Tu wiatr gorący
sypie prosto w oczy
złotem
nie wartym nic
Pośród piramid
serce niczyje toczy się cicho
po piaszczystych wzgórzach
Czy Sfinks
myśl o różach na jeden Twój uśmiech
zamienić może
tak
by pustynnego lęku pełne serce
uwierzyć mogło
że naprawdę jesteś

Memfis, 17 lipca 2001

Dariusz Wiśny

Pusta miska

A ludzie nie dają nic zazwyczaj...
Bo kto z nas komu duszę uraduje
skoro to czas nowego krucyfiksu
supernowej ofiary
gdzie czarne wybarwiono na białe
prawidłem reklam
rodzą się sekundowe raje
ale za to z jaką częstotliwością
ultranowe dni
pozbawione swobody, przestrzeni i czasu
ale za to z ofertą wybaczą – gratis
Rozbijamy namioty szczęścia
przemieniając krew w złoto
lży w niepamięć
ja w reality show
Nie wiecie, że horyzont jest taki
w nim pozostaje jak upiór ciszy – modlitwa
Aureolę muszą nosić serca
pęknięte i płonące...
skulone w psim wyciu

Alojzy Michalski

Targowisko w Worochcie

rzeka wiła się pośród gór
zwalone mosty strome zбочa
na regionalnym targu gwar
wszędzie ślady tutejszego janosika

szczyty gór wyrozumiale spoglądały
na nowych przybyszów

kamienny sen bezdomnego
na betonowym słupie

młoda kobieta ze złotym zębem
obsługuje trzy kioski
grube wełniane koce
wyroby z drewna hematytu

uwagę moją zaprzęta
mały rudy kotek
ciekawie patrzy na przybysza
i znika za framugą drzwi

11 marca 2003

Jakub Mikurda

„Nikdo nic nevi”

Berlin, Berlin, Berlin Centrum. Obcy
sąsiedzi, rocznice. Jeden z naszych?
Weiser? Bunkier. Wstęp wzbroniony.

Konkurs pod nazwą DYKTATURA-UNIKATI

Z okazji zbliżającego się 50-lecia mego istnienia ogłaszam konkurs jednego wiersza, w którym jurorem będę WYŁĄCZNIE JA. Przewidywana jest tylko jedna nagroda w wysokości 500 zł (w wyjątkowym wypadku dwie ex aequo po 250 zł). Inny podział nie nastąpi. Wiersze znajomych nie będą rozpatrywane, znane nazwiska zdyskwalifikują. Stawiam na takich autorów, o których słyszałam niewiele lub zgoła nic. Jest mi obojętne, czy autor ma lat sto, czy kilkanaście, jednak kilka - to za mało. Nie wymagam, by przesłane wiersze nie były wcześniej publikowane i nagradzane, mam naiwną nadzieję, że i wśród takich sporadycznie coś dobrego się trafi.

Prezenty w postaci wierszy o tematyce dowolnej, nie dłuższych niż jedna strona maszynopisu, w jednym egzemplarzu, podpisanych imieniem i nazwiskiem, z dokładnym adresem nieinternetowym, przyjmuję do dnia św. Mikołaja, tj. do 6 grudnia 2003 roku. (Jednak do ostatniej chwili zwrócić nie radzę, bo przetwarzany św. Mikołaj może zastrajkować). Najistotniejszy jest adres mej podniebnej kwatery: Ariana Nagórska, 80-288 Gdańsk, ul. Żywiecowa 3 m. 63.

Każdy spełniający warunki autor może przysłać tylko jeden wiersz, chętni mogą dołączyć kilkudziesięciu notkę biograficzną (ale taka notka bez daty urodzenia od razu dowodzi idiotyzmu).

Dotychczasowe osiągnięcia literackie uczestników zupełnie mnie nie interesują. Notka powinna zawierać dane bardziej życiowe.

Rozstrzygnięcie nastąpi w epokowym dniu 5 stycznia 2004 roku. Jednak z uwagi na balang jurora, pieniądze i gratulacje zostaną przesłane pocztą do końca stycznia. Po tym terminie wyrażę chęć szerszego poznania twórczości poetyckiej kilku wybranych autorów. Nie jest to propozycja bezwartościowa choćby z tego względu, że w Polsce łatwiej o nagrodę lub publikację niż o czytelnika.

Korespondencyjne polemiki, dyskusje i konsultacje literackie nie będą prowadzone.

Ariana Nagórska

Jaka jesteś współczesna poezjo?

Alicja Mazan-Mazurkiewicz

Arcydzieło uskrzydla...

Chciałabym podzielić się refleksją, na którą złożyło się kilka okoliczności dość niejednorodnych i o różnej wadze: raczej zbędna (bo o niczym nie informująca) wypowiedź Jacka Uglika („Akant” 2002, nr 3, s. 25); w większym stopniu pewien element reakcji Ariany Nagórskiej na tę wypowiedź: kilka moich ostatnich odkryć lekturowych, które pozwoliły mi odczuć w praktyce, nie w teorii, czym jest dzieło wybitne (najświeższe z nich – w moich lekturach, bo rzecz sama jest stara – to powieść C. S. Lewisa „Póki mamy twarz”); wreszcie, zastanawiające dla mnie i dość dziwne zjawisko, jakie zaobserwowałam, będąc niedawno na wieczorze poetyckim w pewnej bibliotece (nie mam tego typu praktyki, może dlatego uznałam to zjawisko, o którym nieco później, za dziwne).

Wszystkie te okoliczności złożyły się na refleksję, której „motywem przewodnim” stało się powiedzenie Ryszarda Przybylskiego, przypomnia przez Annę Nasiliowską („Nowe Książki” 2001, nr 4, s. 9): „Arcydzieło uskrzydla, utwór mierny – zamula umysł”. Powiedzenie arbitralne i dość okrutne (można by rzec – nietolerancyjne), ale myślę, że ktoś taki, jak Ryszard Przybylski, ma do niego prawo. Na szczęście sporo z tego, co czytamy, i z tego, co piszemy (jeśli piszemy) – mieści się w jakimś zbawiennym „pomiędzy”. Odnoszę jednak wrażenie, że arcydzieło jakby zaniedbujemy. I tu J. Uglik miałby, moim zdaniem, sporo racji, jakkolwiek wyrażonej w sposób mocno niefortunny i nie we właściwym miejscu (mam na myśli stałą rubrykę „Mniej oświetlona strona Parnasu”).

Oczywiście precyzyjne określenie, co zastępuje na miano arcydzieła, nie jest możliwe. Trudno też o bezsprzeczne kryteria takowego... Dla ostrożności – wystarczy mi mocne przeświadczenie, że arcydzieła istnieją (choć nie istnieje ich ścisły kanon). Mogę zresztą zgodzić się na określenia brzmiące mniej dobitnie i tym samym mniej „podejrzane”: dzieło „wybitne”, „istotne”, „stanowiące miarę samo dla siebie...”. Wierzę również w pewnego rodzaju obiektywność literackiego wartościowania, która zresztą w sensie ścisłe logicznym też jest subiektywnością, ale... cóż, może taką „wyższego rzędu”.

Myślę natomiast, że polecając do czytania „więcej arcydzieł, mniej czego innego” (wiem, że brzmi to humorystycznie, trochę jak wskazanie diety – więcej warzyw i owoców), mogę poniekąd odnieść do siebie pełne sarkazmu pytanie retoryczne A. Nagórskiej, skierowane przez nią do Jacka Uglika – „czyżby do wielbicieli Eliota i Dostojewskiego kierował swą autorską ofertę?” („Akant” 2002, nr 6, s. 35).

Otóż ze swej strony nie potraktuję tego pytania jako retorycznego, odpowiedź jest dla mnie jasna – tak, właśnie do nich! Jak również do wielbicieli Hansa Christiana Andresena, Tove Jansson, Tomasza Manna, Bolesława Prusa, norweskiego prozaika Tarje i Vesaasa, do miłośników poezji Bolesława Leśmiana, Wisławy Szymborskiej, Jana Twardowskiego, Joanny Pollakównej. Celowo przywołuję mało uporządkowaną reprezentację (tylko reprezentację!) dość mocno zróżnicowanego grona autorów, których uważam za mistrzów w różnych gatunkach i stylach.

Uważam również, że odpowiedź twierdząca sama w sobie absolutnie nie oznacza megalomanii (choć, rzecz jasna, jej nie wyklucza). To

odpowiedź przeciwna, wstydlive zaprzeczenie oznaczałoby brak szacunku dla czytelnika i dla siebie zarazem. Umiar i zdrowa powściągliwość wobec własnych tekstów powinna, moim zdaniem, wyrażać się w inny sposób: poprzez odróżnianie tego, co napisało się dla własnej przyjemności, dla autoterapii czy w podobnym celu, ale co wartości innych, niż te najbardziej osobiste, nie posiada – oraz tego, czym warto podzielić się z innymi czytającymi. A w tej drugiej sytuacji – czy ktoś chciałby, aby czytelnikowi spodobały się jego teksty tylko dlatego, że ów czytelnik, wybitniejszych utworów nie zna, że nie słyszał o Herbercie czy Szymborskiej, a poezję kojarzy z rymowanymi z szkolnych akademii? Na bezrybiu i rak ryba, ale po pierwsze, „lekturowa bezrybie” na razie nam nie grozi, i trudno na nie liczyć, dopóki barbarzyńcy nie spalą wszystkich bibliotek... Po drugie, gdyby nawet, to jednak bycie takim „rakiem” nie jest największą z możliwych satysfakcji. A postawa: „napisałam taką sobie uprawkę, sama uważam, że to do niczego, ale może ktoś się nie pozna i przeczyta” – sama nie wiem, wobec kogo byłaby bardziej obraźliwa: wobec mnie czy też wobec potencjalnego czytelnika.

Móc szczerze zachęcać do czytania arcydzieł i nie bać się, że czytelnik porzuci na zawsze nasze skromne „pomiędzy”, gdy zasmakuje w arcydziełach – myślę, że to sytuacja idealna. A przy tym – wcale nie jest ona nierealna. Arcydzieła nie tylko uskrzydla, lecz także pozwalają nastroić słuch na subtelne, słabiej dosłyszalne tony – na odrobiny literackiego piękna. Ale też, jednocześnie, na rysy, zgrzyty, tony fałszywe. Otwierają wrażliwość. W tej otwartej przestrzeni wrażliwości jest miejsce na „pomiędzy”. Myślę, że ta przestrzeń się kurczy (nie w sensie ilości przeczytanych przez kogoś tekstów, ale w jakości ich odbioru), gdy zabraknie arcydzieł lub gdy ich będzie za mało.

Powróć teraz do zasygnalizowania na wstępie, ostatniej z okoliczności, które skłoniły mnie do podzielenia się tą garścią przemyśleń – mianowicie: do wieczoru poetyckiego, zorganizowanego z odgórnego nakazu (chyba nie najszcześliwiej: sierpień w małej, głównie rolniczej miejscowości, z dożynkami tuż, tuż – ale to inna sprawa). „Poezję współczesną” reprezentowałam ja oraz członkowie obchodzącej jubileusz istnienia grupy poetyckiej. Otóż zadziwiło mnie nastawienie reprezentantów owej grupy – nie przyjechali po to, by przedstawić wiersze, swoje czy kogokolwiek (choć tomików i arkuszy poetyckich przywieźli ze sobą sporo), ani żeby rozmawiać o poezji. Przyjechali, by namówić miejscową społeczność do... stworzenia grupy poetyckiej. Przedstawili stronę organizacyjną i nawet znaleźli dwie chętne osoby. Gdy wyjeżdżaliśmy, lider grupy stwierdził, że co prawda te osoby na razie nie piszą... ale i tak jest dobry początek. Pisać może zaczyna.

Podobno w średniowiecznej Irlandii adept sztuki poetyckiej miał prawo napisać pierwszą linię własnego tekstu dopiero wtedy, gdy poznał cały kanon ojczystej poezji. Nie wiem, czy to prawda. Zresztą, jeśli nawet taka była zasada, to po cichu i w ukryciu może niejeden pisał wcześniej, bo pisanie bywa pokusą. Ale w samej regule (choć zapewne nie w aż tak rygorystycznej wersji) tkwi sporo mądrości. A to, co zaobserwowałam, było przecież dokładnie na antypodach owej reguły. Usilnie nakłaniać ludzi, którzy nie piszą – żeby pisali? Po co? I czy nie lepiej nakłaniać ich, by przede wszystkim – czytali?

Tak się jednak składa, że grupa osób piszących i spotykających się, by wspólnie czytać swoje teksty i dyskutować o nich, uważana jest na ogół

za coś sensownego, nobilitującego – bywa też wspierana przez „odgórną kulturę”. Nie widzę w tym nic złego. Natomiast – niestety – trudno mi sobie wyobrazić analogiczne funkcjonowanie grupy zajmującej się czytaniem arcydzieł. Nie swoich tekstów! I obawiam się, że wiele osób mogłoby uznać taki pomysł za dobry najwyżej, powiedzmy, dla miłośników literatury ze szkół średnich. Nie dla dorosłych, ambitnych ludzi, przekonanych o własnej wartości. A przecież „uważne czytanie” (pozwalam sobie przywołać formułę zawartą w tytule książki Alicji Baluchowej) jest naprawdę cenne i stanowi – w moim przekonaniu – sztukę wartą pielęgnowania. Może też wspierania. Gdyby „odgórną kulturą” coś takiego w Łodzi mi zaproponowała, chętnie bym skorzystała... Cóż, pomarzyć można.

Marzenia jednak bywają bezproduktywne. Natomiast sądzę, że całkiem realne jest uświadomienie sobie przez czytających, iż czytanie stanowi wartość. A powracając myślą do tych, którzy i piszą, i czytają: „czy umiesz przestać pisać / żeby zacząć czytać?” (z wiersza Jana Twardowskiego pt. „Ankieta”) Pytanie muszę traktować poważnie. Przecież nie tylko kartki, ale i świat „zapisującym” sobą, zostawia mniej lub bardziej trwałe znaki... *

W dyskusji pt. „Jaka jesteś współczesna poezjo?” dotychczas udział wzięli: Tomasz Agatowski (2x), Zdzisław Antolski, Józef Baran, Maksymilian Bart-Kozłowski, Jolanta Baziak, Genowefa Bazyli, Ryszard Biberstajn, Emil Biela, Anna Blachucka, Wojciech Boros, Mateusz Bourkane, Bożena Budzińska (2x), Maciej Bury, Marzena Chelmonska-Chruszczewska, Tadeusz Chrościelewski, Stanisław Chyczyński, Jan Cichosz, Lechosław Jan Cierniak, Wiesław Ciesielski (3x), Jerzy Stanisław Czajkowski, Ludwik Filip Czech, Stanisław Dłuski, Andrzej Dorobek (2x), Janina Drajek, Robert Drobysz, Barbara Dziekańska, Arkadiusz Frania, Katarzyna Fronk, Janusz Gdowski (2x), Krzysztof Grzechowiak, Marian Hermaszewski, Jerzy Hłond, Arkadiusz Irek (2x), Kazimierz Ivosse (2x), Genowefa Jakubowska-Fijałkowska, Lech Marek Jakób, Jarosław Jakubowski, Teresa Januchta (2x), Marek Jastrząb (4x), Katarzyna Jeziołkowska (2x), Andrzej Kaliszewski, Jerzy Kałwak (3x), Jarosław Kamiński, Jacek Karolak, Marian Janusz Kawałko (2x), Beata Klary (2x), Mariusz Kosmala, Tomasz Kościelniczek, Stanisław Krawczyk, Krzysztof Krejckant-Ożarski, Zbigniew Kresowaty (2x), Renata Krupa, Władysław Kubicki, Wojciech Kudyba, Eugeniusz Kupper, Paweł Kuszyński, Robert Lipski (3x), Tadeusz Lira-Słiwa, Daria Danuta Lisiecka, Łukasz Litwiński, Joanna Ładanaj, Zdzisław Tadeusz Łączkowski, Leszek Łęgowski, Magdalena Łuka, Adam Majewski (2x), Alicja Mazan-Mazurkiewicz (3x), Krzysztof Michalowski (2x), Wiesław Mikulski, Agnieszka Mrugowska, Sławomir Mrugowski, Dariusz Muszer, Bernard Najdek, Ariana Nagórska (9x), Kazimierz Oblóć (2x), Teresa Olewczyńska, Janusz Orlikowski (4x), Piotr Paschke, Stefan Pastuszewski (9x), Małgorzata Piotrowska, Jan Pomin, Maciej Porzycki (3x), Anna Przybyszewska, Piotr Rakowski (2x), Tomasz Rzepa, Roman Senski, Marta Skoneczna, Paweł Skutecki, Jan Smalewski (2x), Marcin Smoliński, Sławomir Socha (2x), Alfons Soczyński, Stanisław Sosna-Sarno (2x), Łukasz Stadnicki, Stanisław Stanik (2x), Jan Stępień, Jadwiga Stróżykiewicz, Jarosław Sułkowski, Stefan Szczygłowski, Piotr Szreniawski (2x), Eugeniusz Szulborski, Zbigniew Szwaja (2x), Małgorzata Szweda, Renata Ślepownik-Borska, Natalia Ślesieńska, Jacek Tabisz (2x), Cezary Tajer, Jan Tomaszewicz, Stanisław Truchan (2x), Mariusz Trynkiewicz (2x), Jacek Uglik, Magdalena Wachowicz, Waclaw Wierciach, Alicja Wiśniewska, Radosław Wiśniewski (5x), Dariusz Wiśny, Magdalena Witek, Witold Witkowski, Barbara Witucka (4x), Jarosław Wojciechowski, Mieczysław Wojtasik, Jerzy Lucjan Woźniak, Grzegorz Wróblewski, Anna Zabacka, Leon Zdanowicz, Antonina Ziarkiewicz-Sebesta, Rafał Zięba, Bożena Zys.



Ariana Nagórska

Masa i jej życia krasa

Ortega y Gasset już w latach trzydziestych XX wieku dokonał typologii cech człowieka masowego, który swe „triumfy” święci właśnie dziś. Jednym z głównych jego wyróżników jest chęć sprowadzenia wszystkich i wszystkiego do własnego poziomu. Gdy masowy czegoś nie rozumie, nigdy nie wini za to niedostatków własnego umysłu, gdy czegoś nie może przyswoić, nie widzi w tym mankamentów własnej percepcji. Na dodatek żąda, by wszystko, co go przerasta, zostało unicestwione, własny zaś wpływ na bieg dziejów zdecydowanie przecenia. Oto modelowy przykład takiej postawy, zaczerpnięty z łamów „Akantu”: „(...) Trudno zaistnieć prawdziwemu artyście. Jednak wyczuwam, że zbliża się czas rozliczenia. Może nie warto się trudzić, by kopać grób dla poezji rozumu. Wystarczy proste rozliczenie w kubie na śmieci...” („Akant” 2003, nr 8, s.44). Ba, porządny grób wcale nie tak łatwo wykopać. Bezrozumny kopacz może się przy tej okazji sam pogrzebać. „Proste rozliczenie” w oczach człowieka masowego zawsze urasta do rangi punktu zwrotnego w historii. Rozbrajająca jest wiara pani Bożeny Zys, że gdy tylko napelni swój kubał, wszelki rozum z poezji wyparuje raz na zawsze, oszczerdzając jej dalszych stresów. Cytowany tekst zawiera też informację, jak będzie wyglądała „właściwa” poezja po kublowym przelomie: „Wtedy staną się widoczni poeci wielkiego formatu, którzy jednym głosem, konkretnie będą mówić o wartościach duchowych”. Czyli jedna monstrualna kazalnica! Kluczowe są tu słowa „jednym głosem” i „konkretnie”. Człowiek masowy nienawidzi wątpliwości, wahań, półcieni, a zwłaszcza wielości poglądów. Nikomu nie wol-

no wyróżnić się ani wychylić. „Wielki format” to dla niego jednogłośny ryk stada baranów.

Zmiany społeczne najlepiej widać, gdy sięgniemy do nieodległej nawet historii. Na przykład byłoby nie do pomyślenia przed II wojną światową, by chłop folwarczny pomstował na Witkacego lub Gombrowicza, że piszą dla niego zbyt skomplikowanie. Zupełnie się tym nie martwił, trwałby przy folklorze własnego regionu, ze wzruszeniem słuchając powiedzmy jakiejś rzewnej piosenki o Kaśce, co kochała Jaśka.

Natomiast dzisiejszy ćwierćinteligent (często z wykształceniem średnim lub wyższym, ale z pominięciem podstawowego), gdy zapagnie powzruszać się jakimś Kaśkowo-Jaśkowym afektem, od razu ma pretensje do Grassa, Miłosza, Dostojewskiego, Szymborskiej, Cortazara i innych wielkich, że nie ma w ich twórczości „prostego piękna” na miarę jego potrzeb. Pojąć tylko nie mogę, dlaczego te nieskomplikowane potrzeby nie znajdują zaspokojenia gdzie indziej. Nieprawdą jest, że potężna machina literatury masowej promuje tylko horrory, pornografię i kryminały, bo od stuleci jeden z głównych nurtów tej literatury oferuje właśnie najprzeróżniejsze „furtki słońca”: romanśdła z happy endem, jarmarczne melodramaty, ckliwości dewocyjno-dydaktyczne, obyczajowe ramoty rodzinne (często w wielu tomach). Poezja tego nurtu też krzewi się całkiem ślubnie: wierszyczki na pocztóweczkach z okazji ślubu, chrztu, imienin, urodzin, dla mamusi, dla tatusia, dziadka, babci, pani nauczycielki. Nietrudno o rymowany horoskop, tudzież o walentynkę—landrynkę. Rynek oferuje masom prozę i poezję tak pięk-

na, że naprawdę nie muszą dręczyć się Eliotem lub Proustem.

Zresztą nie tylko merkantylny rynek dba o duszyczki nader czułe. Raz jeden zajrzałam do internetu na tak zwane strony poetyckie, gdzie każdy może wpisać, co zechce. Wcale nie dominowali tam dewianci i paranoicy, tylko właśnie śliczni-liryczni. W wierszach tych kwiatki pachniały, ptaszki świergoliły, ludziska patrzyli sobie w oczęta i całowali się nad brzegiem morza, ale nikt z tej wielkiej miłości nie dostał w zęby. Owszem, niektórzy narzekali wierszem na uczucia niespełnione, lecz i tak dziękowali Bogu, że mogą kochać platonicznie. Wśród tych zaś, którzy w pętlach srogiej żądy rejestrowali swe szafy i spazmy, nie zauważyłam skłonności do tej samej płci, osób nieletnich, dzieci, zwierząt lub zwłok. Akantowa triada Piękno-Dobro-Prawda rozkwitała tam niczym wielki, papierowy kwiat zanurzony w oceanie lukru.

Po owej wirtualnej wycieczce do rajów nadal nie mogłam jednak zrozumieć, dlaczego masowcy landrynkolubni zamiast chłonać przeznaczone dla nich nektary słowa, wolą tracić czas na obszczekiwanie i tak nimi niezainteresowanych pisarzy-intelektualistów, eksperymentatorów i prekursorów literackich. Wreszcie zrozumiałam, że o żadne czytanie tutaj nie chodzi. Frustrację wyrażają po prostu ci landryniarze, którzy sami piszą, nie czując większego odzewu. Bo dla sentymentalnych rzesz odpłatnie produkują literaturę najcwańsi, bardzo sprawni autorzy. Domorosły stękała nie ma w tym gronie czego szukać. W literaturze popularnej trzeba umieć manipulować całą masą ściśle określonych konwencji, a tzw. naturyzm (co to pisuje tak jak czuje) w ogóle nie wie, czym jest konwencja.

Pisarstwo DLA człowieka masowego i pisarstwo człowieka masowego to dwa zupełnie różne zjawiska. Pierwsze jest potężnym biznesem, drugie grosza niewartą makulaturą. ❦

Janusz Orlikowski

Krytyka da się kupić...

Nie podejrzewałem, że kiedykolwiek o relacji poeta-krytyk jeszcze napiszę. Miałem wrażenie, iż wszystko, co na ten temat mam do powiedzenia, znalazło się w eseju „Jej figowy listek” w książce „Radość i dyskoteka” (1998). Jest tam bowiem kilka zdań, które o tym wystarczająco stanowią:

1.

„Dobry czytelnik jest bardziej podobny do dobrego krytyka niż dobrego poety. Przy prawidłowo funkcjonującym rynku krytyki literackiej ów czytelnik bez trudu orientuje się, co czytać. Taka relacja między krytykiem a czytelnikiem powoduje jednak pewne niebezpieczeństwo. Ten pierwszy pisze recenzje z tych wierszy (zaprzęta swoją uwagę tymi poetami, o których uważa, że napisać powinien; którzy są dla niego dobrzy (słowo – dobrzy – brzmi dwuznacznie – przyp. J.O. z roku 2003). Przykład? Wojacek, Babiński... Rodzaj poezji, który mi nie odpowiada (...), lecz dziwi mnie fakt zainteresowania ich twórczością po śmierci. I to w krótkim czasie po śmierci, czyli kiedy nie minął jeszcze odpowiedni czas historyczny. Wątpliwości wobec osób (czy on aby jest autentyczny?) są, podejrzewam, jedną z głównych dolegliwości literatury, a i w ogóle sztuki”.

2.

„Czytelnik – krytyk to nienapisana recenzja, która w stosunku do relacji krytyk – czytelnik zostaje jedynie zapisana. Jedynie? Kto nie lubi, gdy go chwala? Chociaż?

- Nie należy wierzyć tym, którzy nam schlebiają
- (śmiech)
- Uważam, że tu kryje się głębszy sens znaczenia słowa: „krytyka”.

3.

„Światem rządzą trzy formy ludzkiej działalności: polityka, religia, sztuka. Ustalenie kolejności jest nieistotne, a wręcz szkodliwe. Dwie pierwsze są pozbawione figowego listka, chociaż w przypadku religii wydawać by się mogło inaczej. Zarówno polityka jak i religia wytworzyły odpowiednie formy krytyki w celu oddziaływania na społeczeństwo. Już sam ten fakt zakłada osąd, że społeczeństwo jest głupie. Polityka przypomina mi częstokroć zabawę niegrzecznych dzieci; religia – niegrzeczne dzieci idą do kościoła. Trudno wyobrazić sobie wspomniane odpowiednie formy, w przypadku sztuki, np. poezji. Czy może jest tak, że naczelnny poeta, zastępca naczelnego poety do spraw reklamy – to coś na kształt kija bejsbolowego poezji”.

Kurczę, nie wiem... Nie wiem jak napisać dalej. W grę wchodzi pieniądze. Truizmem będzie przecież przypominać, że polskie czasopiśma literackie nie płacą honorariów. Zatem co niektórzy krytycy wpadli na genialny pomysł proponowania dla siebie tantiemów od – poetów:

Panie poeto, jeżeli Pan chce przeczytać recenzję, lub choćby recenzyjną notę, to proszę wpłacić na moje osobiste konto albo przelać przekazem pocztowym kwotę 150 złotych. Po tym przejdę do pracy. Recenzja, wiadomo, sprawa czasochłonna, a chleba naszego powszedniego nam potrzeba”.

A może wszystko jest OK?

No, bo gdybym się targował, to za 100 zł jaka będzie recenzja? Rozumiem, standard – 150, a za 200 – to pozytywnych epitetów ile? Za 250? Pan napisze, tak. W porządku. Chociaż, wie pan co, bardziej satysfakcjonuje mnie za 300 złotych... O ile dobrze liczę, będzie tam dwa razy więcej przymiotników niż za 150. Nie? 150 złotych to tylko za to, że w ogóle pan się podejmie? Daj pan spokój, pana kolega za 350 pozytywnych zdań chciał właśnie tyle... Który? Nieważne...

Pobawmy się w tę inscenizowaną groteskę dalej. O ile logiczny sposób myślenia mnie nie myli: za wypowiedź krytyczną z elementami negatywnymi płaci krytyk. Jeżeli tych elementów będzie powyżej 50% w stosunku do całości wypowiedzi, to dwukrotność pobranego od autora „honorarium”. W przypadku recenzji tak zwanej druzgocącej – dożywotnią rentę poecie.

Jeszcze warto, by owi krytycy pod swoimi recenzjami przy informacji: autor, tytuł, wydawnictwo, rok wydania, ilość stron dopisywali również – cenę; z załączoną kserokopią przekazu pocztowego, oczywiście. ❦

SPECJALISTYCZNA PRAKTYKA LEKARSKA

lek. med. Marek Mackiewicz
specjalista chirurgii dziecięcej
Bydgoszcz

certyfi kat European Board of Paediatric Surgery

porady, zabiegi „chirurgii jednego dnia”
- kontrakt z Kasą Chorych,
wizyty domowe

kontakt (052) 321 54 69, kom. 601 84 16 29
www.marek@mackiewicz.com.pl



Stanisław Truchan

Pozostał tylko Wielki Guslar...

Przyznaję, że zanim zasiadłem przy klawiaturze, przez długą chwilę zadawałem sobie pytanie: „Pisać o tym, czy nie pisać?” Bądź co bądź, nie tak dawno na łamach „Akantu” właśnie ja „oddalem ostatnią posługę” niezapomnianej Astrid Lindgren, ostatnio wspominałem Irenę Jurgielewiczową, a poza tym pisałem o Mayu w 160. rocznicę urodzin i o Okudźawie w piątą rocznicę śmierci, a także o 80. rocznicy urodzin żyjącego nadal i dobrze się mającego Lema... No cóż, tak jakoś wyszło. Można było pięć razy – chyba można i po raz szósty?

Z pewnym opóźnieniem – cykl wydawniczy pism literackich, w tym również tych poświęconych fantastyce, jest dość długi, a inne media raczej nie zauważyły – dowiedziałem się o śmierci wybitnego twórcy rosyjskiej fantastyki, zaprzyjawnionego z wieloma Polakami i żywiącego ciepłe uczucia wobec naszego kraju KIRA BUŁYCZOWA. Czytelnikom, którym zdarza się w bibliotece zablądzić w okolicy półki z literaturą rosyjską (o ile bibliotekarka nie „wygospodarowała” oddzielnej półki dla fantastyki) ten pisarz znany jest chyba tylko z jednej powieści, zatytułowanej „Rycerze na rozdrożach”. Co prawda nazwisko figurujące na jej okładce to „Kiryl Bułyczow”, a nie żaden „Kir” – ale to ten sam autor. I pod pierwszym, i pod drugim pseudonimem kryje się Igor Możejko (nazwisko świadczyłoby o pochodzeniu z terenów dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego), orientalista, wieloletni pracownik uniwersytetu w Moskwie. Miłośnicy fantastyki znają go znacznie lepiej – przede wszystkim jako twórcę znakomitych opowiadań, których akcja toczy się w fikcyjnym mieście o nazwie Wielki Guslar, a także wydanych niedawno powieści „Pupilek” (pierwotny tytuł polskiego przekładu, znacznie odbiegający od oryginalnego, to „Małysz”; został zmieniony w ostatniej chwili, ze względów dość oczywistych – było to pod koniec zimy 2001 r.) i „Pole bitwy z lotu ptaka”. Te – a także inne – książki Bułyczowa zapewniły mu w literaturze fantastycznej miejsce szczególne; poza walorami czysto literackimi, poza fajerwerkami wyobraźni twórczej, jakimi olśniewają czytelnika, stanowią one również ważne świadectwo czasu – minionego i obecnego. Zrodziła je rzeczywistość naszej strony żelaznej kurtyny – ta dawna, i ta nowa, jaka nastąpiła, gdy żelazna kurtyna przestała istnieć.

Fantastyka – o czym już pisałem – była po naszej stronie granicy, dzielącej bloki polityczno-wojakowe, tym gatunkiem, który chyba najbardziej uporczywie starał się być zwierciadłem wydarzeń. Zwierciadłem, rzecz jasna, nieco krzywym: po pierwsze, fabuła powieści czy opowiadania science fiction (o fantasy u nas jeszcze wówczas mało kto słyszał) musiała – z natury rzeczy – opisywać rzeczywistość nie wprost, ale mniej lub bardziej parabolicznie, dokonując projekcji teraźniejszości w czasy przyszłe, przebijając rzeczy i zjawiska aktualne w futurystyczny kostium; po drugie, ze względu na cenzurę, musiała stosować swego rodzaju język ezopowy, na wspomniany futurystyczny kostium nakładając jeszcze barwy ochronne... (A cenzura bywała czujna; słyszałem o autorze, który musiał niezbyt mądrze, a dość antypatycznego bohatera swojego tekstu nazwać inaczej niż zamierzał, bo cenzor wpadł na pomysł, by imię „Kavis” przeczytać od tyłu). Mistrzem takiego kamuflażu był u nas Janusz A. Zajdel. W ówczesnym ZSRR było to jeszcze trudniejsze; tam raczej niemożliwa była publikacja takiej powieści, jak „Wyjście z cienia” (rzecz o społeczności zwasalizowanej przez obcych przybyszów i o zadekretowanej odgórnie przyjaźni między dwoma gatunkami) czy „Paradyżja” – znakomita wiwisekcja systemu totalitarnego. Od czego jednak wyobraźnia? Kir (wówczas jeszcze Kiryl) Bułyczow stworzył swój Wielki Guslar: Rosję w pigułce, prowincjonalne miasteczko, w którym – jak promienie słoneczne w soczewce – skupiały się w jednym punkcie wszystkie charak-

terystyczne cechy społeczeństwa radzieckiego. Ten świat sekretarzy, drżących przed nimi dyrektorów, rozlazłego „uspołecznionego” handlu, pseudokolektywów i realizowanych w pocie czoła planów rocznych tudzież pięcioletnich, skonfrontowany zostaje z uporczywie nawiedzającymi Wielki Guslar przybyszami z kosmosu, a dodatkowe zamieszanie wprowadzają pomysły uczonego-samotnika i jego przyjaciela – mechanika-złotej rączki... Bułyczow w „Opowiadaniach guslarskich” okazuje się przenikliwym obserwatorem i mistrzem satyry. A przy tym karty tych opowieści emanują ciepłem ludzkich uczuć... Bo u Bułyczowa, w gruncie rzeczy, najważniejszy jest człowiek; pisarz kpi z ludzkich wad, z absurdów systemu społeczno-politycznego – ale nie w imię jakiegokolwiek ideologii czy programu politycznego. On po prostu wierzy w lepszą stronę ludzkiej natury – tę, na którą składają się uczucia i zdrowy rozsądek.

Upadek komunizmu stanowi w twórczości Bułyczowa wyraźną cesurę. Nie tylko dlatego, że – co z przykrością mieli wkrótce stwierdzić miłośnicy jego twórczości – zaczął wtedy pisać nieco gorzej. I – tym bardziej – nie dlatego, że z „Kiryla” stał się „Kirem”; pseudonim to sprawa drugorzędna. Przede wszystkim zmienił się klimat jego – wciąż pulsującej echem bieżących wydarzeń – twórczości. Przyczyną było zapewne rozczarowanie i bezradność. Wartości, w które starzejący się pisarz wierzył, okazały się równie obce nowej rzeczywistości, jak światu, który przeminął – a może jeszcze bardziej. Stare, już oswojone absurdy ustąpiły miejsca nowym, groźniejszym, bo obecnym na rogu każdej ulicy: zamiast rzeczywistości irracjonalnie zorganizowanej pojawiła się rzeczywistość podporządkowana prawu pięści; miejsce wszechwładnego KGB zajęły gangi i mafie; miejsce odległych łągrów – powszechna brutalizacja życia... Jednemu i drugiemu światu Bułyczow potrafił przeciwstawić tę samą bezsilność słabego, pojedynczego człowieka. Ale tamtą, minioną rzeczywistość już zdążył sobie „oswoić”: stworzył sobie narzędzia jej krytycznego opisu. Wobec tej nowej czuł się chyba bezradny. Gdzieś się zapodziała jego ironia, jego umiejętność obnażania wszelkich nonsensów, pisał opowiadania coraz bardziej przypominające publicystykę polityczną, zamiast uśmiechu ukazywał twarz skurczoną w grymasie kryjącym beznamiętny gniew... W końcu opuścił świat Wielkiego Guslaru, by stworzyć kilka dość obszernych powieści. Polski

czytelnik do tej pory zdążył się zapoznać z dwiema z nich: „Pupilkim” i „Polem bitwy z lotu ptaka”. Bułyczow draży w nich problemy, które nurtują go od początku jego drogi twórczej, a ostatnio nawet bardziej niż przed upadkiem komunizmu. Te problemy to – ujmując rzecz w dużym skrócie – przemoc i manipulacja. I – rzecz jasna – poddany ich działaniu człowiek. Upatrujący swojej szansy w przystosowaniu się, często kosztem innych – lub usiłujący dotrzeć do prawdy, do „drugiego dna” rzeczywistości i przeciwstawiający się tłamszącym go siłom...

„Pole bitwy z lotu ptaka” miało być chyba pierwszym tomem cyklu. Wydaje mi się – chociaż nie jestem pewny, ale mam wrażenie, że gdzieś o tym czytałem – że autor zdążył napisać tom drugi (niedawno Eugeniusz Dębski wspominał, że pracuje nad przekładem książki Bułyczowa). Więcej nie będzie. Z biologią nikt jeszcze nie wygrał... Pozostanie to, co już znamy.

Pojawiły się ostatnio w rosyjskiej fantastyce nowe nazwiska: Diaczenko, Pierumow, Łukjanienko i inni, których nazwisk w tej chwili nie potrafię wymienić. Przeczytałem jedną powieść kogoś spośród nich... i nawet nie pamiętam, jak nazywał się autor. Oni piszą fantastykę całkiem niezłą – cóż z tego, skoro bliźniaczo podobną do anglosaskiej? (Pierumow tworzy nawet swoją wersję tołkienowskiego Śródziemia). U nich tylko realia geograficzne są rosyjskie. Tymczasem twórczość Bułyczowa, podobnie jak braci Strugackich, podobnie jak wielu polskich fantastów, wyrasta z jedynej i niepowtarzalnej rzeczywistości, w której najpierw Wschód się zetknął z Zachodem, później postanowiono zadekretować raj na ziemi, ogłaszając wszystkich węg wąpiących sługami diabła, by na zakończenie postawić w bramie bandytę przebranego za archaniola, który w jednej ręce dzierży miecz ognisty, a w drugiej akt notarialny, oddający wszystkie jabłka na własność paru małpom...

Ostatniej z tych przemian nie dożył Janusz A. Zajdel – i nie dane nam było się przekonać, jak by na nią zareagował. U jej progu zmarł jeden z braci Strugackich. Znajome widoki pseudoraju – dawne i dzisiejsze – odnajdujemy raz po raz w twórczości innych, młodszych... choć niestety wielu z nich – jak np. Ziemkiewicz – dopadł swego rodzaju „syndrom Pietrzaka”. A teraz Kir Bułyczow, jeden z mistrzów fantastyki socjologicznej, odszedł na lepszą stronę świata – tam, gdzie już nie ma ani KGB, ani reketierów i „nowych Ruskich”... Zostało puste miejsce, nie do wypełnienia. I został Wielki Guslar; mówił wszak Woland na kartach powieści innego wielkiego Rosjanina, że „rękopisy nie płoną” – więc książki, które zostały nie tylko przeczytane, ale pozostawiły niezatarty ślad w umysłach czytelników – tym bardziej.

Mistrz rajdów samochodowych naprawia samochody

Marcin Gagacki:
„Auto Mag Serwis”
 85-150 Bydgoszcz-Szwederowo
 ul. Gładka 8
 tel. (052) 371 87 58,
 0604 11 20 25

Czy można lepiej trafić?



Alfons Soczyński

Burza i busz

W misterną materię snu, pełną okrucich z legendarnej krainy Soczyń, które z trudem odtwarzam w swoich ostatnich tekstach, malowanych kolorowymi obrazami z utraconej ojczyzny, Wołynia, zaczynają coraz bliżej podchodzić jakby skradające się skądś, niczym Tatarzy kiedyś spod Braclawszczyzny, coraz silniejsze, coraz bardziej wyraźne odgłosy, przynoszące poczucie jakiegoś, nieokreślonego na razie, niepokoju. Moje serce zaczyna nagle zachowywać się jak ryba schwyta na sieć albo w szpony drapieżnika i jego samotnie się pomiędzy ścianami piersi, budzi mnie o świcie na skraju buszu w Starej Hucie. Jestem cały mokry od potu wyciśniętego na powierzchnię skóry, z tego rozsadanego od wewnątrz kłębaka jakichś obaw, w który cały się w takiej chwili podświadomie zamieniam, pod wpływem różnych bodźców ze świata zewnętrznego jak i z labiryntu własnego wnętrza.

Wychodzę na taras naszego drewnianego domku, wokół którego, z roku na rok, busz staje się coraz gęstszy i mam przed oczyma jakby ułożoną na dłoni, dobrze widoczną miniaturę przeciwnej Starej Huty, otoczoną przez ciemne chmury nieprzyjacielskich sił. Brzmia w powietrzu odgłosy złowrogich bębnow i tarabanów. Oddziały zdają się schodzić z wszystkich stron otaczających okoliczne lasy, z rozłożonych kolistnie wokół lasów pobliskich wsi – zamienionych w wojskowe obozy: Janisławic, Sośni, Możdżanowa, Wielgich Milickich, Henrykowa i Bożynowa – i w pewnej chwili miejscowości te jawią mi się, niczym otaczające lasy wzgórza, z których spływają potoki nacierającego wojska, a nieuchronna bitwa będzie musiała się rozegrać w naszej niewielkiej kotlinie starohuckiej, do której zostały zepchnięte wszystkie zabudowania i zamknięci w nich, nie wiadomo na jak długo, ludzie i ich chudoba. Wyobrażam sobie, jak ludzie we wsi drżą ze strachu, ale nie upadają na duchu, jakby liczyli, że w razie najgorszego, dotrą na czas odsiecz i pomoc od wójta z gminy Krośnice, do której Stara Huta należy.

Nagle jeden, drugi, suchy trzask, jakby skrzyżowanych z sobą szabel, to znów po chwili pojedyncze trzaski wystrzału z samopalów. Po nich następuje kilka znacznie głośniejszych, tak potężnych wystrzałów z armat, aż wstrząsających zda się podstawami całego świata, po których długo rozchodzi się po okolicy, po jej niezmiernych dolinach i niedostępnych szczytach, pogłos budzącego grozę w sercach wszystkich stworzeń złowrogiego echa, ciągnącego się jakby po krańce świata. Ziemskie, wyobrażalne dla czło-

Podpatrzone
w Starej Hucie

wieka siły, nie są w stanie wywołać takiej grozy, muszą stać za tym jakieś siły piekielne, albo może rozgniewany czymś Pan. W powietrzu lecą iskry, węże błyskawic przecinają niebo i w mig dosięgają ziemi, całe pola i przestrzeni zaczynają miejscami nagle płonąć, jak suche lasy podpalane w czasie długotrwałej suszy. Okolicę smaga z wszystkich stron zimny wichur, powalający drzewa i porywający w górę budynki i przedmioty, zrywający dachy i uderzający o ziemię wszystkim, co spotka po drodze, czyniąc je doszczętnie wymłóconym, i zostawiając wszystko po swoim przejściu, do przerażającej ostateczności, małym i przestraszonym.

Wreszcie, z groźnym szumem, na ziemię spadają strumienie, ba, rzeki, a może nawet morza czy oceany wody. Wszystko się kuli w strachu przed nieobliczalnymi żywiołami – powietrzem, ogniem i wodą. Świat zalewają mokre ciemności, w których można się utopić lub udusić, jeśli nie zostanie się przebitym strzałą pioruna... Pojedyncze stworzenia drżą przed burzą, busz jakby jako całość był czymś znacznie wyższym ponad jednostkowe drobiny życia i nad grozę burzy, zagrażającej stworzeniom.

Gdy groza mija, co wydaje się jakimś szczęśliwym, ziszczającym się na oczach umęczonych do granic, pozostałych przy życiu wciąż cudem, świat a zwłaszcza busz, jawi się jakże odświeżony, czy nawet dziewiczo nowy. Widać trzeba mu przechodzić co jakiś czas przez takie groźne a ożywcze stany oczyszczenia...

Jestem, czy raczej czuję się coraz bardziej „buszmenem” w coraz bujniejszym starohuckim „buszu”. Dzika przyroda, której pozwoliłem się tu rozprzestrzenić, zaskakuje i zadziwia, budząc u jednych, tych od porządkowania wszystkiego i przykrawania do egoistycznej, ludzkiej kondycji, niesmak, u innych zaciekawienie, a czasami zaskoczenie, zdziwienie lub nawet zachwyt.

Nawiasem mówiąc, coraz częściej zauważam, jak wszędzie wokół mnie, gdzie zatrzymam się na dłuższą, powstaje coraz częściej coś w rodzaju coraz gęstszego buszu. Staje się to również na moim wrocławskim osiedlu, a nawet miejskim małym mieszkaniu, gdzie mnie samemu jest ciężko połączyć się w gąszczu własnych tajemnic, skrytek i zakamarków, pełnych różnych przedmiotów, a zwłaszcza książek, obrazów, fotografii, zeszytów, luźnych papierów z notatkami, które czasami niespodziewanie odnajduję i odczytuję z niejakim zdziwieniem, gdyż dawno już zapomniałem o ich istnieniu, a teraz nagle próbuję uoocznic sobie moment ich powstawania. Także, niczym w jakimś buszu, zawieruszają się gdzieś rzeczy potrzebne w danej chwili i nie mogę ich całymi dniami znaleźć. Tak dzieje się z różnymi kluczami, o których nie wiem, po co jest ich aż tyle, niektóre dawno należało wyrzucić, ale także z dziesiątkami innych przedmiotów, z których wielością i zagadkową przewrotnością nie potrafię sobie poradzić.

Jeśli zaś chodzi o osiedle, na którym mieszkam, to też zdaje się na nim czasami jakby buszować, w poszukiwaniu nie wiadomo czego. W ogóle zdaje się, że rzeczywistość wszędzie gdzie się pojawia, jakby z czasem coraz bardziej wokół mnie gęstnieje – czasem do tego stopnia, że w pewnej chwili trudno jest mi się po niej poruszać. Ten miejski busz, staje się coraz bardziej obcy pomimo tego, że mieszkają w nim moi najbliżsi i pomimo tego, że tworzy go człowiek, a więc istota, zdawałoby się, mi najbliższa. Przede wszystkim dlatego obcy, że coraz śmiej grasuje w nim najstraszniejszy z drapieżników, dziki pieniądź, wskutek czego busz miejski staje się coraz groźniejszy, nie tylko dla dzikiego życia, przyrody, natury, matki Gai czyli Ziemi, ale także dla zwykłego, przyzwoitego, prostego życia. To z winy człowieka, jego własny wynalazek, dziecie postępu ekonomicznego, jakim jest pieniądź, mające ułatwiać życie, coraz bardziej zastępuje, a właściwie niszczy prawdziwe, nie przeliczalne na żadne pieniądze wartości, dla których warto żyć. Myślę, że już Święty Franciszek z Asyżu zrozumiał, jaką groźbą dla najwyższych wartości stanowi pieniądź i dlatego wybrał życie, które jest

całkowitym zaprzeczeniem tego, jakie gotuje nam cywilizacja tak zwanego białego człowieka. Oczywiście, biały człowiek skutecznie broni się przed ludźmi takimi, jak Święty Franciszek, nie cofając się przed najbardziej haniebnymi metodami, z których może najłagodniejszą jest uznanie takich jak On, za obłąkanych.

Mam po kilku latach osuwania wypalonej przez słońce łąki już swój busz w Starej Hucie, jakże inny od miejskiego. Stworzyłem go jakby na przekór temu, ku czemu zmierza ludzkość na ziemi, a właściwie to niewiele tam robię, tylko uprawiam kilka grządek warzyw, sadzę drzewa, podglądam przyrodę i staram się nie przeszkadzać naturze. W ten sposób na mojej łące to natura a nie człowiek dyktuje warunki. Czasami przyroda robi mi różne, przyjemne i przykre niespodzianki, do których staram się podchodzić z zaufaniem do mądrości matki natury, ze spokojem i rezerwą. W tym roku pojawiło się w buszu, niezależnie od moich skromnych działań, wiele nowych drzewek i krzewów oraz chwastów i ziół, zwłaszcza w okolicach stawu.

Zastanawiam się, od jakiegoś czasu, nad bardziej zindywidualizowaną nazwą stawu, ale widać jeszcze nie dojrzała na tyle, aby została już wyartykułowana. Staw często zdaje się być osią, wokół której obraca się tutejszy mikroskop. Pojawiało się nad stawem tego roku wśród innych roślin, bardzo dużo, nie wiadomo kiedy i jak wysianych, wysokich roślin wiesiolka. Ponieważ nasiona wiesiolka robią od jakiegoś czasu karierę, zbierałem cały słoiczek tych nasion, czując się jakbym wszedł za pomocą opiekuńczych sił w posiadanie boskiego daru i zjadam je, po lyżeczce dziennie do posiłków.

Zbieram nad stawem kozłarze i maślaki, których nigdy przedtem tam nie było. Wypatruję dwóch wielkich karpia, które karmimy od kilku lat /jaki to wspaniały widok patrzeć na pięciokilogramowego olbrzyma, zamiatającego ogonem tafel wody i otwierającego wielki pysk, by pochłonać kawałek bułki czy chleba/. Te karpie stały się niemal członkami rodziny, zawdzięczając to wyróżnienie szczęściu, dzięki któremu w młodości nie wylapały ich czaple, a od dwóch lat były już za duże, aby dać się połknąć jakiegś tam czapli. Jednak stały się w ostatnich tygodniach czynniami ofiarami, najprawdopodobniej lisów, gdy woda spadła do głębokości pół metra /nasz staw o dziwo, i tak się obronił przed całkowitym wyschnięciem, któremu nie potrafił się tutaj oprzeć nawet kilka okolicznych rzeczek i profesjonalnych stawów rybnych, nie mówiąc o rowach/.

Zdziwieni, dlaczego w końcu września karpie nie podływały przez kilka dni do rzucanego pokarmu, zaczęliśmy snuć nieładne podejrzenia i wokół siebie widzieć w każdym kłusowniku. Gdy w początkach października zbierałem po drugiej, mniej przez nas uczęszczanej, stronie grzyby i natknąłem się na porozrucane w wielu miejscach duże rybie łuski oraz odchody i ślady lisie, sprawa karpia chyba się wyjaśniła. W taki oto sposób, do mojego starego tekstu z tego cyklu „Lisie spaunki”, czas jakby dopisał jeszcze i ten epizod. W płytkiej wodzie, rzeczywiście nie jest trudno lisowi, który jest dobrym pływakiem i sprytnym myśliwym, złowić dużego karpia. Mogła to być jednak także wydra, wielki smakosz ryb, chociaż dotąd nie natknąłem się na jej ślady na naszej łące. Czyżby to było moje pierwsze spotkanie z śladami tego drapieżnika?

W buszu mam także spore ilości krzewów aronii oraz jeżyn, z których robię wyborny sok.

W paru miejscach, kilkumetrowe już brzozy stojące wokół siebie, jedna blisko drugiej, same potworzyły naturalne filary pod amboną – proszę nie mylić z ambonami myśliwskimi. Będą to naturalne obserwatoria, czy miejsca podniebne wytchnienia, których kilka zamierzam urządzić w dogodnych punktach – wystarczy brzozy połączyć platformą i ściankami z belek i desek.

W początkach października, odwiedził mnie w buszu Ben Laden. Jest on można by rzec, oryginałem oraz artystą malarzem, rzeźbiarzem, budowniczym, wróżbitą i szamanem, ziarnarzem i kolekcjonerem, trudno wyliczyć kim jeszcze, a można by dodać o nim jeszcze niejedno. Tuż przy dawnej państwowej granicy za Starą Hutą, pomaga budować imponującą rezydencję rodową swojemu koledze, którego matka jest podobno skarbnicą opowieści o czasach, gdy był to teren przygraniczny. Ale są to już tematy na następne teksty.

Rama też jest dziełem sztuki

PRACOWNIA PLASTYCZNA

„DEKORA”

Bydgoszcz, ul. Gdańska 9,
tel. 322 19 88Służy artystom i miłośnikom sztuki
od 1945 roku.Oprócz artystycznej oprawy obrazów
prowadzi sklep z artykułami malarskimi.

Najnowsze techniki i technologie.

Najlepsi fachowcy, artyści bez mała

Zapraszamy
w godz. 10.00-17.00Lekcje rysunku i malarstwa. Przygotowanie
do egzaminów wstępnych, tel. 0604194930

Wojciech Jarosław Pawłowski

„Mniej oświetloną stroną Parnasu” potraktowałem pośrednio jako głos w dyskusji „Jaka jesteś współczesna poezja?”, bo jeśli obok „lekturowych” nazwisk pojawia się ponad dwieście innych, to znak, że poetów nam nie brakuje i chyba nie zabraknie. Piszących wiersze jest w naszym kraju znacznie więcej. To, czy zasługują na miano Poetów zweryfikuje zapewne czas i ludzie (krytycy i czytelnicy). Nie ma więc też potrzeby zamartwiania się dzisiaj o to, że ilość nie równa się jakości.

Tylko raz w roku przyznawana jest Literacka Nagroda Nobla, a przecież w niespełna ćwierć wieku dwoje polskich poetów zostało jej laureatami. Dużo to, czy mało? A wyszli oni skąd? Z narodu, w którym tak wielu chce być Poetami. Niech więc krytycy – czytając – szukają nowych dobrych piór wśród rzeszy piszących. Niech nie czekają z utęsknieniem na kolejne dzieło noblisty, by pozostać nad nim w niemym zachwycie, a i z żalem w sercach, że w polskiej poezji nie godnego uwagi się zdarzyło. Słabizna i miernota. I jak tu napisać doktorat, z czego się habilitować??

Wystarczy szukać i czytać, czytać, aż w końcu zachwyci nas zbiorek, czy choćby wiersz napisany w Bydgoszczy, Ostródzie lub Skalmierzycach. I będzie to Poezja! Daję słowo!

Ciesz się więc fakt, że tak robi się w „Akancie”!

Oto moje propozycje do „Mniej oświetlonej strony Parnasu”:

1. KRZYSZTOF CEZARY BUSZMAN – Londyn (ur. 1967 r.).

Mieszkający od kilku lat w Londynie poeta pisze wiersze, które w połączeniu z muzyką stają się piosenkami, a że jest tekściarzem znakomitym powstają utwory do czytania i słuchania, zwłaszcza jeśli muzykę skomponował np. Włodzimierz Korcz. Może nastąpi zmiana warty po Agnieszce Osieckiej? W kraju opublikował zbiorki: „Najpiękniejsze wiersze o miłości czyli przeminiemy minionych mijaniem” oraz „Wiersze zawieruszone czyli Przewodnik po chmurach”.

*/ Z wyspy nostalgii i zasmuceń
Co w mą samotność wrosły bólem
Jeszcze do kraju ja powrócę
I mocno Cię przytulę.

I za tym wszystkim, co uciekło
"I że ta wiosna też nie nasza"
Wypuszczę zadyszana wściekłość
I szepnę Ci – przepraszam.

Znowu Ty we mnie sen obudzisz
Co się przyczaił w rzęs szuwarach
I będę najszcześliwszym z ludzi
Już wiedząc – co to wiara.

Z wyspy nostalgii i zasmuceń
Co w mą samotność bólem wrosły
Jeszcze do Ciebie ja – powrócę
I stanę się dorosłym.

*/ K. C. Buszman „Wyspa nostalgii” z tomu „Wiersze zawieruszone czyli Przewodnik po chmurach”, Studio „Honek”, Kielce, s. 49

2. MARIAN STANISŁAW HERMASZEWSKI – Lublin (ur. 1949 r.).

Tradycjonalista w pozytywnym sensie. Poezja, modlitwa, wiara, a może lepiej: wiara, modlitwa, poezja. Z uporem kolekcjonuje polskie wiersze religijne. Ile to już było tomów almanachu „A duch wieje kędy chce”? Do „Mniej oświetlonej strony Parnasu” M. S. Hermaszewski został już raz zgłoszony.

*/ Nade mną niebo wiatr i zieleni
i rosa jak piosenka czysta
nie pożalował mi swych wcieleni
Bóg i Artysta-

Mniej oświetlona strona Parnasu

Zapachem łąki mnie owinął
więc trawa modlitwa o poranku
niosąca górą i kotłom
słowa kochanków

W strumieniu chłodzę łzę najświętszą
co jak sumienie wstydem woła
i wiersze mi się w duszy piętrzą
i szumią skrzydła Archaniola

*/ M. S. Hermaszewski „... nade mną niebo”, z tomu „Czas dojrzewania do wolności”, Lublin 1997, s. 7

JADWIGA JAŁOWIEC – Lipno. Z wykształcenia nauczycielka, a z powołania pedagog i poetka. Całe swoje życie zawodowo-twórcze poświęciła dzieciom. To do nich głównie kierowała swoje wiersze. Przez wiele lat była członkiem rady redakcyjnej „Swierszczyka”. Opracowała pierwszą w Polsce encyklopedię dla dzieci (nigdy nie znalazła wydawcy!?). Wiele jej utworów dla dzieci przetłumaczono na języki: angielski, białoruski, macedoński, serbski. Ponadto zajmowała się tkaniną unikatową i innymi formami plastycznymi.

Piękno otaczającego świata, umiłowanie skrawka ziemi pod stopami, ufność i wiara, to wszystko chciała przekazać czytelnikom. Zmarła w 2003 roku.

Z ostatnich jej publikacji ukazał się zbiorek „dorosłej” poezji „Wiersze” (NKL, Włocławek 1997), a rok później w tym samym wydawnictwie opublikowała książkę z własnymi ilustracjami „Siądź przy leśnej drodze – wiersze dla dzieci”.

*/ Pan poeta drogą idzie
i układa dzieciom wiersz
Podfrunęła doń biedronka.
- Czy do wiersza kropki chcesz?
Pasikonik też nie gorszy.
- Ja do wiersza skrzyпки dam.
Promyk słońca ofiarował
pięć czy sześć słonecznych płam.
Ptaszek dał trzy nutki czyste,
żeby wierszyk piękniej brzmiał.
nim obejrzał się poeta,
to już wiersz gotowy miał.

*/ Jadwiga Jałowiec „Jak poeta wiersze pisze”, z tomu „Siądź przy leśnej drodze... wiersze dla dzieci”, NKL, Włocławek 1998, s. 99

ROBERT KRAJEWSKI – Włocławek (ur. 1970 r., zm. 1991 r.). Przedwcześnie zmarły (zabity w jednej z włocławskich knajp), dobrze zapowiadający się dziennikarz i poeta. Opublikował tylko jeden tomik wierszy, który właściwie przeszedł bez echa, a szkoda – „Coś z utajonej kazi” (NKL, Włocławek 1991). Pięć lat później ukazał się zbiorek „Ja motyl” („Przedświt”, Warszawa 1996). – „... Gdyby żył, znalazłby odrębne i własne miejsce w poetyckim krajobrazie swojego pokolenia...” – napisał we wstępie do pośmiertnie wydanej książki Krzysztof Karasek.

*/ jeszcze jestem

opowiedziałem się za rewolucją
i spaliłem kosz na jabłku

i tak sobie umieram
na waszych oczach
a wy to macie dokładnie gdzieś

*/ Robert Krajewski „Czas jabłek zebranych” z tomu „Ja motyl”, Wydawnictwo „Przedświt”, Warszawa 1996, s. 47

MARZENNA LEWANDOWSKA – Kowal (ur. 1960). Autorka kilkunastu zbiorów wierszy, laureatka wielu konkursów literackich. Przez wiele lat związana z Nauczycielskim Klubem Literackim we Włocławku pod którego szyldem wydała

większość swoich książek. W roku 2000 krakowska „Miniatura” wydała jej tomik „Gdy deszcz nie mywa wzruszeń”.

Poezja intymna, ale subtelna. Delikatna, ale nie krucha. Uczuciowa, ale nie sentymentalna. Filozofia codzienności: - kobiecości, miłości, macierzyństwa, wiary: - przeżywanie świata w całej jego złożoności i prostocie.

*/ poezja to kwiaty w ogrodzie
ciężka gałąź granatowej sliwy
ciepły uśmiech noszony na co dzień
i mruczący w słońcu kot leniwy

poezja to dom pełen dzieci
twoje oczy ciągle jeszcze lśniące
świat co oknem uchylonym wleci
i w drzwiach klucze
samotność niosące

*/ Marzenna Lewandowska „Poezja” z tomu „Ja, kobieta”, NKL, Włocławek 1997, s. 23

STANISŁAW PASIERB – Warszawa (ur. 1953 r.). Kapłan, filozof, poeta, a przede wszystkim człowiek, który ujął mnie dogłębnie wyznaniem wiersza:

*/ Złóż pocałunek
w miejscu najmniejbezpiecznym:
usta,
piersi,
dłonie,
stopy.
Złóż pocałunek, jeżeli nie wiesz,
Co czynić.

*/ Stanisław Pasierb „... złóż pocałunek” z tomu „Modlitwa z muzyką”, Wydawnictwo „Palabra”, Warszawa 1996, s. 10.★

Edmund Pietryk

Jeszcze raz pozwolę sobie zabrać głos w rubryce pt. „Mniej oświetlona strona Parnasu”. Tak się składa, że od pewnego czasu moją fascynację poetycką stanowi para znakomitych wykładawców akademickich, których twórczość towarzyszy mi od debiutu kilku lat i zanosi się na to, że jeszcze długo będzie dla mnie punktem odniesienia. Może się wydać dziwne, że te świetne osoby dzieli znaczną różnica lat, doświadczeń, twórczych temperamentów, ale łączy ich klasa poetycka i naukowa.

AGNIESZKA KUCIAK – adiunkt na wydziale filologii polskiej UAM w Poznaniu. Znakoimita tłumaczka Dantego, którego „Piekle”, a ostatnio „Czyścić” przełożyła kongenialnie, co potwierdzają najwyższe autorytety poetyckie i italianistyczne. A na drugim biegunie jej poezja (tomik „Retadracje”) – drapieżna, idąca w trzewia, trudna do zapomnienia. W życiu prywatnym, autorka jest osobą cichutką, skończenie skromną, wręcz outsiderską. Jej poezja być może stanowi jej zaprzeczenie, a może jednak dopełnienie?

STANISŁAW STABRO – dostojny profesor krakowskiego UJ, chociaż jego poezja stanowi wszelkie zaprzeczenie dostojności. Drapieżna jak wiersze grubo młodziej Agnieszki Kuciak. Po prostu nie da się przejść obok nich obojętnie.

Na koniec dorzuciłbym jeszcze jedno nazwisko – JULIAN KORNHAUSER, niesłusznie, najniesprawiedliwiej w świecie skazany na margines życia literackiego. Kiedyś wymieniano go jednym tchem z Adamem Zagajewskim. I tu stała się rzecz przedziwna – rezonerskie, drewniane, oczywiste jak częstochowskie kancyzki wierszyki Zagajewskiego kreowane są na objawienia (sic!) poezji polskiej, a o znakomitych wierszach Kornhausera cisza. Drodzy państwo – Zagajewski ze swoim pisaniem może Kornhauserowi czyścić buty. ★

Danuta Sułkowska

Prezentacja autora w „*Mniej oświetlonej stronie Parnasu*” nie przybliżyła wprawdzie jego twórczości czytelnikom, ale odrobinę zwraca na niego uwagę. Trudno powiedzieć, czy stwarza to szansę na większe zainteresowanie kogokolwiek tym, co ów autor napisał. Daje mu jednak małą satysfakcję.

A może jednak? Może dzięki informacji w tym miejscu i samemu faktowi, że ktoś zadał sobie trud, aby podzielić się z innymi swoim przekonaniem, iż czyjaś twórczość zasługuje na większe niż dotychczas uznanie, przyczyni się choć w niewielkim stopniu do jej popularyzacji? Kierując się tą dosyć nikłą nadzieją, pragnę dorzucić parę informacji o dorobku literackim jednego z autorów mieszkających w Nowym Sączu. /Był już prezentowany w tym cyklu przez Stanisława Stanika – „*Akant*” 2001, nr 13, s. 32/

MAREK BASIAGA to filmoznawca, publicysta, prozaik, krytyk literacki, a przede wszystkim poeta, autor kilkunastu zbiorów wierszy. Nawet w swoim mieście i regionie nie jest ceniony tak, jak na to zasługuje. Nie zabiega o popularność, jak ognia unika wielkich gali z udziałem tłumy autorów, gości i mediów. Namówiony do udziału w trochę skromniejszych spotkaniach, omija stoły prezydyjne oraz inne eksponowane miejsca i woli rozmowy z kolegami od publicznych wystąpień. Konsekwentnie trzyma się z daleka od władz.

Powiedzieć, iż poezja Marka Basiagi dotyka najistotniejszych spraw ludzkiego życia, to za mało. Ona ujawnia próby przeniknięcia ich, dotarcia do sedna tego, co najważniejsze. Można też w niej spotkać niezgodę na różne przejawy zła i ta znajdowała początkowo wyraz w wierszach pełnych gniewu, buntu i ironii. Najczęstszym sposobem wyrażania przez poetę braku akceptacji dla pewnych zjawisk oraz ukazania czytelnikom ich szkodliwości i nieetyczności było właśnie ich osmieszenie.

Z czasem poetyckie strofy sądeckiego literata coraz bardziej wyciszają się, jakby poeta pojął, że prowadził walkę z wiatrakami. Jego wiersze stają się refleksyjne i pełne zadumy nad sensem ludzkiego bytu, pojawia się też wątek eschatologiczny. Liryczne monologi emanują spokojem, są ciepłe i przesycone światłem. Marek Basiaga to poeta poszukujący światła – w sobie i wokół siebie, w tym co jest i w tym, co nadejdzie. W czasie lektury większości jego utworów świat z jego rozlicznymi problemami wydaje się niesłychanie odległy. Nie ma wielkiej, ani w ogóle żadnej polityki, konfliktów interesów, walki o osiągnięcie ważnych lub błahych celów. Nie ma prawie wcale - zła. Nie znaczy to jednak bynajmniej, że poeta go nie widzi i nie buntuje się przeciwko niemu – mogą to stwierdzić z całą odpowiedzialnością, ponieważ znam osobiście tego utalentowanego autora. Twórczość poetycka zdaje się stanowić dla M. Basiagi rodzaj azylu - to oaza, dość skutecznie opierająca się mocy zła. Jest tam piękno i dobro, a więc rodzina, zwyczajne codzienne sprawy, piękno natury, radość z docierania do prawdy, a nade wszystko pragnienie, aby zrozumieć siebie. I jest głęboka i szczerza cześć dla Stwórcy, nasłuchiwanie Jego głosu, poszukiwanie i odczuwanie Jego obecności. Z całą pewnością najtrafniej można określić tego nowosądeckiego poetę jako tropiciela światła.

Czasem wszakże zdarza się, choć rzadko, że w jego poezji filozoficzne refleksje ustępują miejsca goryczy, pojawia się gniew i ostre słowa skierowane przeciwko negatywnym zjawiskom, lub ludzkiej niegodziwości.

Marek Basiaga zaskakuje swoich czytelników, choć ani trochę nie zdumiewa przyjaciół. Podejrzewam, że jego najnowszy, wielce tajemniczy tom poetycki, będzie takim właśnie zaskoczeniem. Przekonamy się, gdy – już wkrótce – ujrzemy światło dzienne. ■

Redakcja „*Akantu*” zaprasza do wypowiedzi w ramach cyklu pt. „*Mniej oświetlona strona Parnasu*”. Inny tytuł tej rubryki, a raczej jej wyjaśnienie to: „*Nie zawsze znani, ale godni poznania*” lub „*Znani za mało w stosunku do swoich dokonań literackich*”.

Prosimy Czytelników, aby zachcieli wymienić przykładowo po 10 nazwisk poetów godnych zainteresowania. Może być też mniej nazwisk, a nawet tylko jedno. Warto też sięgnąć do listy już zgłoszonych poetów i niektóre nazwiska powtórzyć (liczbę powtórnich zgłoszeń redakcja „*Akantu*” podaje w nawiasie).

W dobie medialnych manipulacji gustami odbiorców literatury, polegających głównie na kumoterskim lansowaniu jednych autorów i wyrachowanym przemilczeniu innych – mniej wygodnych, bądź też po prostu nieinteresowanych tymi, którzy o układy nie zabiegają – warto dopuścić do głosu osoby umiejące kierować się własnym gustem. W literaturze nie moda powinna być najważniejsza, ale wartości. Nie interes lobby wydawnicze, tylko dobro Czytelnika.

Poezja współczesna zdaje się także intensywnie żyć i spełniać w drugim, a nawet trzecim obiegu. Tych książek nie ma na półkach księgarń. A szkoda, bo tam są wartości. Powszechna nieobecność tych wartości to efekt powszechnej komercjalizacji świata i powstawania w nim sztywnych podziałów na *lepszych i gorszych, członków towarzystwa i ludzi znikąd*.

Wymieniając „*swoich*” autorów można ograniczyć się tylko do podania nazwisk i ewentualnie miejscowości, z której pochodzą. Można również wymienić tytuły niektórych książek, dane wartościowych publikacji w czasopiśmie, jak również krótko uzasadnić swój wybór, co oczywiście byłoby najcenniejsze. Nie idzie o wnikliwe recenzje i analizy. To ma być subiektywna, zwięzła nota preferencyjna. Dobrze byłoby w tych preferencjach uniknąć jednak źle pojętego koleżeństwa, czy co gorsza – kumoterstwa, albo – co niestety nieraz już się zdarzyło – lansowania swojego środowiska.

Rzecz cała nie w ustalaniu hierarchii, tylko w podzieleniu się własnym gustem czytelniczym z innymi. Trzeba też przyjąć zasadę, że nie polemizujemy z niczymi gustami. Pomyślny raczej pozytywnie, czy nie warto czasem z czyichś sugestii lekturowych skorzystać.

„*Mniej oświetlona strona Parnasu*” nawiązuje do inicjatywy z dodatku literackiego do „*Le Figaro*” z 16 marca 1992 r. (w numerze 7-8 tegoż roku podchwyciła to „*Kultura*”), ale tam chodziło o pisarzy „*przecenionych*” i „*niedocenionych*” – tutaj o poetów do „*wyeksponowania*” i wprowadzenia na bardziej widoczną stronę Parnasu. Mogą to też być poeci niesłusznie zapomniani.

Inicjatywa nasza trwa od października 2001 roku, a już wyeksponowała 231 poetów.

Oto autorzy zgłoszeni przez Czytelników:

Tomasz Agatowski, Ludwika Amber, Zdzisław Antolski, Zbigniew Ateborski, Marek Baczewski, Jadwiga Badowska, Łukasz Bagiński, Paweł Barański, Mariusz Baryła, Marek Basiaga (2x), Jolanta Baziak (3x), Jan Belcik, Maria Danuta Betto, Barbara Białowąz, Miłozna Biela, Wojciech Borkowski, Wojciech Boros, Robert Brunne, Wojciech Brzoska (2x), Bożena Budzińska, Waclaw Buryła, Krzysztof Cezary Buszman, Stanisław Chaciński, Ryszard Chłopek, Stanisław Chyczynski (3x), Marcin Cielecki, Jagoda Cieszyńska, Irena Conti, Mieczysław Czajkowski (2x), Ludwik Filip Czech (3x), Leszek Czuchajowski, Michał Stefan Dalecki, Jerzy Dąbrowa-Januszewski, Mariola Dąbrowska, Andrzej Dębowski, Stanisław Dłuski (2x), Magdalena Domura, Zofia Dormanowska, Zdzisław Drzewiecki (2x), Harry Duda, Barbara Dziekańska, Eligiusz Dymowski, Krystyna Dziurzyńska, Janusz Ekier, Elżbieta Juszcak, Krzysztof Fedorowski, Jerzy Ficowski, Anna Fidecka, Jan Filewicz, Dariusz Foks, Magdalena Forusińska, Marta Fox, Jerzy Franczak (2x), Arkadiusz Frania, Jerzy Fryckowski (3x), Juliusz Gabryel, Barbara Gajewska, Ludwik Gebel, Khalil Gibran (1883-1931), Maciej Gierszewski, Stanisław Gostkowski (1948-2000), Marek Grala (2x), Stanisław Grochowiak (1934-1976), Maria Grosicka-Jeżowska, Krzysztof Gruse, Jerzy Gruzła (2x), Mariusz Grzebalski, Krzysztof Grzelak, Marcin Halaś, Agnieszka Herman, Marian Stanisław Hermaszewski (2x), Dominika Heród, Krystyna Hilczek, Tadeusz Hofmański, Roman Honet, Andrzej Hrabiec, Tomasz Hrynac, Danuta Hryniewiecka, Genowefa Jakubowska-Fijałkowska (4x), Jadwiga Jałowicz, Klemens Janicki (1516-1543), Magdalena Jankowska, Zbigniew Jankowski, Anna Jarzębowska, Aleksander Jasicki (2x), Krzysztof Jaworski, Aleksander Jensko, Elżbieta Jeziorowska-Wróbel, Marek Jodłowski, Dawid Jung, Ireneusz Kaczmarczyk, Jerzy Karecki, Jacek Karolak, Mira Karolewska, Wojciech Kass, Sławomir Andrzej Keller, Marzanna Kielar (2x), Jarosław Klejnocki, Krzysztof Koehler, Stanisława Kopiec (2x), Karol Korczyn, Marek Kielgrzymski (2x), Władysław Klępka, Grzegorz Kociuba, Julian Kornhausner, Danuta Kostewicz, Arkadiusz Kremza, Zbigniew Kresowaty (2x), Janusz Krosny, Józef Krupiński (1930-1998) (2x), Agnieszka Kuciak, Paweł Kuszczyński, Lech Loffo Landecki, Paweł Lekszycy (2x), Paweł Łęcki, Tomasz Lipski (2x), Henryk Liszkiewicz, Bogdan Loebel, Anna Machałowska, Piotr Macierzyński (2x), Karol Maliszewski, Danuta Małecka, Alicja Maras, Włodzimierz Marczewski, Agata Mazgis, Piotr Mazur, Elżbieta Michalska, Jarosław Mikołajewski, Ryszard Milczewski-Bruno (1940-1079), Jerzy Mrzigod, Danuta Mucha, Bartosz Muszyński, Ariana Nagórska (4x), Jacek Napiórkowski, Krzysztof Niewrzęda (2x), Andrzej Piotr Nowik, Tadeusz Nowak (1930-1991), Ewa Nowakowska, Lesław Nowara (2x), Elżbieta Nowosielska, Adam Ochwanowski, Daniel Odija, Andrzej Ogródowczyk (1952-2002), Stefania Opalska, Rafał Orlewski (2x), Eda Ostrowska, Świętłana Owczarska, Andrzej Pańta, Czesław Parzych, Stanisław Pasierb, Stefan Pastuszewski (3x), Henryk Pawłowski, Teresa Paryna, Anna Piątek, Marek Pieniążek, Andrzej Pierszkata, Edmund Pietryk, Jerzy Pikul, Cecylia Pilarczyk-Ricciardi, Michał Piotrowski (2x), Róża Pisarczyk, Anna Piwkowska (3x), Jacek Podsiadło, Francis Ponge (1899-1988), Elżbieta Prażmo (3x), Henryk Rejmer, Grażyna Rochna, Beata Rokosz, Tomasz Różycki, Mariusz Rucki, Tomasz Wincenty Rzepa, Joanna Rzeszotek, Dariusz Sas, Paweł Sarna, Roman Senski, Ryszard Sidorkiewicz (2x), Maria Siwińska, Ziemowit Skibiński, Agnieszka Skierczyńska, Tadeusz Sławek, Maria Sławska, Jan Stanisław Smalewski, Piotr Smolak, Stanisław Stanik, Stanisław Stabro, Włodan Stamenković, Zbigniew Stemborski, Jolanta Stelmasiak, Jadwiga Stróżykiewicz, Jadwiga Sułkowska-Mijal, Jerzy Szatkowski, Czesław Mirosław Szczepaniak, Krzysztof Szczypiorski (2x), Lucyna Szubel (2x), Eugeniusz Szulborski, Jerzy Szymik, Adam Szyper (2x), Tadeusz Śliwiak (1928-1995), Krzysztof Śliwka, Joanna Ślósarska, Jerzy Świątkowski, Marcin Świętlicki, Mariusz Tenerowicz, Jan Towarnicki, Jerzy Tomaszewicz (1944-2001) (2x), Grzegorz Tomicki, Agata Tuczyńska, Andrzej Turczyński, Alicja Ungeheuer-Gołąb, Andrzej Warzecha, Jerzy Michał Wąsik, Wojciech Wencel, Agnieszka Wesołowska, Milena Wieczorek (2x), Hanna Wietrzny, Czesław Włosek, Zygmunt Wojdyło, Anna Wojnarska, Mieczysław Wojtasik, Maciej Woźniak (2x), Jerzy Woźniak, Grzegorz Wróblewski (3x), Irena Wyczółkowska, Tadeusz Wyrwa-Krzyżański, Tadeusz Zawadowski (2x), Alicja Zemanek, Katarzyna Zdanowicz (2x), Adam Ziemianin, Jan Zych, Bogusław Żurkowski, Zdzisław Władysław Żurek.

Zachęcamy Czytelników do dalszego zgłaszania poetów, także w formie powtórzeń. Uzasadnienia – wciąż mile widziane! ■

Jolanta Baziak

Kilka odsłon współczesnego polskiego teatru

1 października 2003 roku, środa. W Teatrze Polskim w Bydgoszczy ustawia się kanapy „pod” forum dramaturgów, krytyków, reżyserów i widzów. Pretekstem tego spotkania jest Festiwal Prapremier 2003 – Bydgoszcz.

Oto Janusz Margański zaproponował temat dyskursu: „Polski dramat kłamię”, a dyrektor bydgoskiego teatru Adam Orzechowski – podkreślił, że jest to teza ze znakiem zapytania, na co Jan Czapliński z Poznania – notabene prowadzący dyskusję – jednoznacznie odpowiedział TAK! Jakaż dyskusja? Jeśli ktoś kłamię...

W tak dramatycznych okolicznościach rozmowę podjęli: Tomasz Man, Krzysztof Bizio, Robert Urbański i Jacek Głomb. Miały być trzy odsłony porozumienia lub nieporozumienia: 1. postacie dramatu, 2. anegdota teatralna, 3. efekt sceniczny (osad teatralny).

W kwestii pierwszej – postaci teatralnych – Tomasz Man opowiedział się za prawdą rzeczywistości: „wiem o kogo mi chodzi”, „znam”, „wzrusza mnie czy denerwuje”. Postaci są tak konstruowane, by przedostały się do widza; przyciągały, zirykowały. To jednak nie mają być typy, przedstawiciele zawodów, funkcjonariusze, ale osoby – jednostki.

Krzysztof Bizio zastanawiał się w jaki sposób, nowatorski sposób, opowiedzieć o postaciach charakterystycznych. „Coś je dotknęło i wprowadziło w ruch”, co dalej ma zrobić z tym dramaturg?

Głos trzeci: Robert Urbański twierdzi: „Dramaturg musi pokochać swoje postaci”.

Dotąd dyskusja niejako przeczyła tezie, jeśli ją potraktować bez znaku zapytania.

I tu może mała dygresja „interpunkcyjna”: Roman Ingarden w ontologii dzieła literackiego stawiał warstwę brzmieniową ponad jakości graficzne, czyli sposoby utrwalania tekstu. Rozumieniem, że znak zapytania jednak jest teoretycznie obecny i praktycznie sprawdzalny. Czy rzeczywiście chcemy nobilitować ów pytajnik? Sądzę, że nie o to chodzi w sporze o istnienie teatru.

Spraw jest kilka:

- polscy dramaturdzy czują się osamotnieni, niedocenieni, pogubieni w sytuacji publikacyjno-teatralno-wystawienniczej

- polscy dramaturdzy nie poszukują aktualnych tematów na zamówienie, czyli „szewskich”, ponieważ uwłacza to ich talentowi

- polscy dramaturdzy przeceniają jakości przypadkowe, nowości danych rozwiązań i zajmują się jedynie „nadużyciami myślowymi”

Takich podpunktów jest wiele i je można mnożyć: merytoryczne, estetyczne, logiczne. Zastanawia się nad metafizyką miejsca i miejscem metafizyki w teatrze. Kolejne pytanie: Czy polscy dramaturdzy poszukują autentycznego zderzenia z widzami, bowiem co poniektórzy nie widzą możliwości współpracy z reżyserem, aktorem, a nawet dyrektorem teatru?

Następny problem:

Czy autor panuje nad postacią, czy może się ona wymknąć spod kontroli w procesie tworzenia, czy recepcja może żyć innym życiem?

Widzę tu trzy zasadnicze stanowiska:

• fundamentalistów (historycy, teoretycy, „znawcy branży”)

• genialnych a obrażających się na porozumienie stron dramatu teatralnego

• zaangażowanych, którym dokładnie wszystko nie jest obojętne.

Wobec tego nikogo:

Czy zaangażowanie jest modą? Rodzajem światopoglądu? A może nie chce zbawiać?

Ale pora na inną kwestię w relacji Autor-Reżyser. Nie wiem, czy idealnym fundamentem jest współistnienie wyżej wymienionych ról? Autor poszukuje reżysera bez teatralnej metafory, on musi go czuć wszystkimi zmysłami; potem dopiero kwestia sygnału, znaku, formy. Inspira-

cja jako rzecz fundamentalna, nie realizuje się na zasadzie *oprawca-ofiara*. – „Jest to biologia, ale nie chodzi o ciało, nuda lub nadszycność jak w >>Piaskownicy<<” – pada głos z sali.

Nad Wigrami odbywają się warsztaty teatralne, gdzie młodych adeptów z duetu autor – reżyser poddaje się sprawdzaniu ich intuicji, potem dopiero wylania się kwestia formy, co i tak, jak upiera się Jan Czapliński, to tylko półprodukt, bowiem twór ostateczny powstaje w zderzeniu z widzem, który oddziałuje poprzez odwołania do społecznych stereotypów.

Jerzy Goliński zaś uważa, że każda postać sceniczna, każdy gotowy tekst dramatu to „orkiestracja świata”, postaci pełnią w nim rolę instrumentów, które jeśli grają fałszywie, to idea mija się z celem, bo chodzi o prawdę i odpowiedzialność za to, w co się gra.

Czy można patrzeć na proces dramaturgii historycznie? Z taką progresywną tezą zdają się zgadzać Maciej Wojtyzsko, Robert Urbański. To ma być „wyrazista historia” – mówią.

Dyskusja zaczyna nabierać tempa i wyrazistości, gdy włącza się Jacek Głomb – reżyser „Wschodów i Zachodów Miasta” – dyrektor teatru w Legnicy. Otóż autor ma widzieć aktora, konkretnie i osobowo (bo rola to jednak nie półprodukt). Powinno istnieć przymierze między reżyserem i dramaturgiem, nie ma między nimi konfliktu, ponieważ są konkretnie związani z tym a nie innym (sztuka na zamówienie) teatrem i zespołem wykonawczym.

Być może chodzi też o to, by młodą dramaturgię traktować jako dziecko specjalnej troski i nie znęcać się nad nią krytycznie, nadto drukować nadsyłane sztuki w „Dialogu”, promować, preferować, a nie traktować jako coś gorszego od zagranicznej produkcji. Naczelny „Dialogu” uznał, że wystarczająco dużo miejsca poświęca się młodemu polskiemu dramaturgicznemu i czuje się zadowolony z dotychczasowego poziomu drukowalności (średnia – 18 rocznie), nie ma sobie nic do zarzucenia, że nie dopieszcza każdego debiutanta. Pada więc ponownie pytanie: *Gdzie się toczy dialog teatralny; między kim a kim?* Poza emocjami, potrzebne jest jeszcze określone myślenie i trzeba to robić z powagą – podkreślił Jacek Sieradzki. Mamy wielość propozycji, z których trzeba mądrze wybierać. Adam Sroka, dyrektor Teatru Powszechnego w Radomiu odwołał się do najważniejszego – jego zdaniem – pytania: *Co takiego ważnego mówi polski dramat?* Bowiem sądzi, że jest to rozmowa tekstów między sobą, niekoniecznie współczesnych, chodzi tylko o to, że reżyser wykazuje się głuchotą na tekst. Lokalne rozmowy i festiwale to jedno, a potem życie wraca do normy, czyli... zapomina o teatrze.

Rozmowa wróciła na tematy warsztatowe. Robert Urbański oświadczył, że „odmówił”, to znaczy, nie podjął się pisania na żądany temat. Riposta z sali: „To zależy z kim się tańczy”. Michał Walczak, autor „Piaskownicy”, przyjeżdża na próby, uczestniczy w pracach, ogląda, lecz nie napisze dopóki go coś nie poruszy. Zagadnienie historyczności wraca więc w wir dyskusji i tak. Jacek Głomb podkreśla, że rozmowa z historią jest istotna, chodzi o „Wschody i Zachody Miasta” Roberta Urbańskiego. Historia może być dana i zadana, jako tygiel, wir, groteska lub farsa, ale nigdy jako gadżet. Reżyser w tę historię wkłada własną duszę, jest to jego wewnętrzna podróż w tekst, a widz ma myśleć (porozumienie medialne). Adwersarze sporu o sztukę „szewską” i ambitną rozeszli się w kuluary bez porozumienia co do istoty poruszanego problemu.

Jacek Głomb, głęboko przekonany o potrzebie kochania teatru na każdym etapie i wychodzenia z propozycjami programowymi do dramaturgów, zaraził jednak swoją witalnością obecna na spotkaniu młodzież, która czatowała na poszczególnych twórców. Rozmowy zapewne toczyły się jeszcze na wieczornych spektaklach i w dni następne. Sądzić należy, że spór o współczesny teatr polski nie wyczerpał się ani na pozio-

mie metafizycznym, ani też merytorycznym i jest to niewątpliwą zasługą Festiwalu Prapremier 2003 w Bydgoszczy, a my przypominamy, że „Akant” dyskusuje pt. „Jaki teatr” prowadził w latach 2000-2001, też – niestety – bez sukcesu.

Jury II Festiwalu Prapremier w Bydgoszczy w składzie: Barbara Osterloff (przewodnicząca), Tadeusz Nyczek, Jacek Sieradzki i Rudolf Ziolo.

Grand Prix (20 000 zł) przyznano Helenie Kaut-Howson za spektakl *Zwycięstwo* Howarda Barkera, z Teatru Współczesnego we Wrocławiu.

Nagrodę reżyserską (6000 zł) przyznano Maciejowi Wojtyzszce za *Buhalakowa* w Teatrze im. Słowackiego w Krakowie.

Nagrody aktorskie (po 3000 zł) otrzymali: Danuta Stenka za rolę *Bradshaw* w *Zwycięstwie* Howarda Barkera z Teatru Współczesnego we Wrocławiu oraz Maciej Tomaszewski, za rolę *Karola Stuarta* w tym samym przedstawieniu.

Wyróżnienia aktorskie (po 1500 zł) otrzymali: Anita Poddebniak za rolę pielęgniarki *Danusy* w przedstawieniu *Szpital Polonia* Pawła Kamzy z Teatru im. Modrzejewskiej z Legnicy oraz Błażej Wójcik, za rolę *Bierkowa* w przedstawieniu *Buhalakow* Macieja Wojtyzszki z Teatru im. Słowackiego w Krakowie. ♣

Sprzedaż „Akantu” w punktach Kolportażu Prasy „Rolkon”:

- ✓ Salon Prasowy, 86-100 Świecie, Rynek 7
- ✓ Kiosk, 86-100 Chełmno, ul. Grudziądzka 11
- ✓ Kiosk, Chełmno, Osiedle Kopernika, tel. (0-56) 686-25-15
- ✓ Market „Netto”, 78-100 Kołobrzeg, ul. Gryfitów 1
- ✓ Kiosk „Atut”, 75-200 Koszalin, Dworzec PKP
- ✓ Salon Prasowy, Koszalin, ul. Wenedów, tel. 604 060169
- ✓ „Viki” - Market, Bydgoszcz, ul. Skłodowskiej-Curie 29
- ✓ Salon Prasowy, Bydgoszcz, ul. Krasieńskiego 2, tel. 322-80-13
- ✓ Kiosk, Bydgoszcz, ul. Piłsudskiego 4, tel. 344-93-21
- ✓ Kiosk, Bydgoszcz, ul. Skłodowskiej 25, tel. 601 633343
- ✓ As Market, Bydgoszcz, ul. Chodkiewicza 17, tel. 321-00-51
- ✓ Salon Prasowy, Bydgoszcz, ul. Kleeberga 2, tel. 344-23-23

AKANT w niektórych kioskach „Ruchu”

- Bydgoszcz
• ul. Gdańska 6 • ul. Jagiellońska 9
- Cieszyn
• Dworzec PKS • ul. Korfantejo
- Inowrocław
• Dworzec PKP • Rynek Główny
- Sanok
• Klub Prasowy

„Akant” w EMPiK-ach

Chełm, ul. Lubelska 70, Warszawa, ul. Grójcka 80/102, ul. Nowy Świat 15/17, ul. Marszałkowska 116/122, ul. Mickiewicza 27; Bydgoszcz, ul. Gdańska 15; Włocławek, ul. Warszawska 11/73; Elbląg, ul. 1 Maja 37; Gdańsk „Megastore”, ul. Podwale Grodzkie 8; ul. Długi Targ 28/29; Sopot, ul. Bohaterów Monte Cassino 57/59; Gdynia, ul. Świętojańska 68; Gorzów Wielkopolski, ul. Sikorskiego 126/128, tel. (095) 7226849; Olsztyn, ul. 1 Maja 18/19; Czeladź, ul. Będzińska 80; Kielce, ul. Warszawska 5; Kraków, Rynek Główny 5, ul. Bora Komorowskiego; ul. Wiślna 12; Nowy Sącz, Rynek 17; Lublin, ul. Krakowskie Przedmieście 59, ul. Krakowskie Przedmieście 40; ul. Zamojska 24; Łódź, ul. Piotrkowska 81, ul. Narutowicza 8/10; Gniezno, ul. Chrobrego 11; Poznań ul. Ratajczaka 44; Słupsk, Stary Rynek 6; Szczecin, ul. Wojska Polskiego 2, ul. Niepodległości 60; Toruń, ul. Wielkie Garbary 18; Wrocław, Rynek 50, Pl. Kościuszki 21/23.

Polemiki

Jacek Tabisz

Nie jestem fundamentalistą

Na wstępie chciałbym podziękować Beacie Annie Pokorskiej za chęć dyskusji z moimi poglądami i za polemikę, jak zwykle na bardzo wysokim poziomie. Niestety, jak zauważyła Autorka „Radości... obcości”, zaszło nieporozumienie. Dyskutowałbym jednak nad czasem i miejscem, gdzie owo nieporozumienie zaistniało.

B. A. Pokorska umieszcza je w mojej „Radości wątpliwości”, ja skłaniam się ku innej lokalizacji. Dlaczego?

Po pierwsze, dość bezpośredni ton mojej Polemistki (niektórzy mogliby użyć słowa „protekcjonalny”) zdaje się wynikać z przypuszczenia o mojej niechęci do czytania książek. Niestety – bardzo lubię czytać i to, o zgrozo!, również C.S. Lewisa. Zatem „Opowieści z Narnii” nie są mi wcale obce, podobnie jak zresztą „Cykl planetarny”, a nawet „Listy starego diabła do młodego”, które zresztą uważam za najmniej udaną publikację Lewisa. Wielki mój zachwyt wzbudził „Obraz odrzucony” tego Inklinga, który uważam za jedną z najwartościowszych prac na temat średniowiecznego wizerunku świata. Całkiem niedawno czytałem też autobiograficzną książkę Lewisa o jego nawróceniu. Prócz samych dzieł Lewisa wiem sporo o nim i o Inklingach, gdyż od dawna jestem wielkim miłośnikiem J.R.R. Tolkiena, jak wiadomo wielkiego przyjaciela Lewisa. Na wszelki wypadek dodam, że do lektury „Opowieści z Narnii” nie skłoniły mnie opracowania „Władcy Pierścieni” – gdy pierwszy raz czytałem obydwie pozycje byłem jeszcze zbyt mały, aby czytać opracowania.

Zatem, mam nadzieję, wytlumaczyłem pierwszy aspekt naszego nieporozumienia. Za propozycję nadesłania książek mimo to dziękuję i jeśli „Akant” posiada „Obraz odrzucony”, z chęcią skorzystam. B. A. Pokorska pyta, czy należę do fundamentalistów? Wydaje mi się, że artykuł „Radość wątpliwości” zawiera w sobie dostatecznie wiele, aby nie posądzać mnie o tę patologię. Bo cóż czynię w „Radości wątpliwości”? Stwierdzam po prostu wyraźnie, że istnieją duchowości inne od chrześcijańskiej i stawianie znaku równości pomiędzy słowami „duchowość” a „chrześcijaństwo” nie jest, moim zdaniem, prawomocne. Bliższym prawdzie stwierdzeniem jest, na przykład – „światopogląd chrześcijański może też, obok wielu innych, nieść w sobie wartości duchowe. Może, ale nie musi”. W numerze wrześniowym pojawił się mój artykuł na temat „Lisiej natury” Miłosza, z którego, mam nadzieję, jasno wynika, że wartości duchowe niekoniecznie muszą być pozytywne. Po stwierdzeniu, że dana rzecz posiada „wartości duchowe”, powinien bowiem pojawić się pytanie „jakie?”. Na ile te wartości duchowe są pozytywne dla innych, zwłaszcza tych, którzy ich nie podzielają. Na ile są też uniwersalne?

Życząc wszystkim „agonii wątplenia”, stwierdziła, że wartości duchowe Miguela de Unamuno są całkowicie uniwersalne. Nie mogłem się z tym zgodzić, było to główną przyczyną mojej polemiki. Druga rzecz, na którą nie mogłem się zgodzić, to przekonanie o pozytywnym wydzieniu tych wartości. Nadal podtrzymuję twierdzenie, że ktoś uznający, iż jeśli wszystko umrze, wszystko straci sens, jest w gruncie rzeczy egocentrykiem i jego wartości duchowe są, owszem, jak najbardziej przyziemne i horyzontalne. Stąd moje obrazowe porównania autora tej myśli z osobami uzależnionymi. Wielu narkomanów uważa, iż pewne substancje poszerzają ich świadomość, wpływają zatem dodatnio na ich „uduchowienie”. Każdy, kto miał do czynienia z tymi biednymi osobami przyzna, że jest to wniosek skrajnie subiektywny. W myśleniu przeciętnego narkomana i Miguela de Unamuno odnalazłem wyraźną analogię, żeby nie powiedzieć wręcz

– zbieżność. Czy był to fundamentalizmem? Wydaje mi się, że znacznie większym fundamentalizmem jest stwierdzenie, że między słowami „chrześcijański intelektualista”, „wartości duchowe” i „pozytywne” zachodzi niepodważalny znak równości, którego nie dość, że nie trzeba uzasadniać, to jeszcze można życzyć wszystkim. Dla mnie, w przypadku poglądów Unamuno, między tymi określeniami zachodzi wyraźna sprzeczność. Fakt, że Unamuno był (i jest) ceniony jako wielki katolicki myśliciel, też niczego nie wyjaśnia. Tu z kolei zachodzi zjawisko fundamentalizmu opinii – skoro „ogół” twierdzi, że X dobre, to dobre. Skoro autorytet P uważa, że X dobre, to dobre. Najwięksi uczeni popełniają błędy; „ogół” to także faszyzm, prześladowania rasowe etc. Argument brzmiący „Unamuno jest wybitnym chrześcijańskim teologiem, wydał wiele rozpraw i książek”, zatem nie można nie podziwiać, nie chylić czoła, nie życzyć wszystkim tego co On myślał i rozważał, brzmi dla mnie, w rzeczy samej – obco.

B.A. Pokorska zauważa, że pojmuję *chuć wiecznego istnienia* tylko w sposób materialistyczny. Zauważa, że w tradycji chrześcijańskiej pod grą słów – *jeśli wszystkich umrę, wszystko traci sens*, w istocie kryje się szlachetna chęć spotkania z Istotą Najwyższą. Autorka dochodzi do wniosku, że ja tego po prostu nie rozumiem.

Tu się z nią zgodzę. Wydaje mi się dziwne, że możliwość spotkania z Absolutem musi oznaczać również ubicie z Nim interesu, zaspokajające prymitywny, zwierzęcy lęk. Bo przecież możliwa jest gra słów – *wszystek umrę, ale poznam Boga*, albo *moje życie ma sens, być może odkryję wiele zagadek świata i, jak wszyscy, wszystkich umrę*, albo *moje dzieci mają sens, badania kosmosu mają sens, ludzkość ma sens, kiedyś wszystkich umrę*. W tym, że w sformułowaniu *jeśli wszystkich umrę, wszystko traci sens* dla wielu z nas skryte są, niewiadomo jak głębokie i pozytywne, wartości duchowe tkwi oczywisty fundamentalizm. Jest to przecież uzależnianie całego świata, Boga, wszystkich zagadek, wszystkich miłości, pasji, przeżyć od prostego instynktu przetrwania. Na to pragnęłam zwrócić uwagę, gdyż mnie, ośobiście, wydaje się to dziwne. Jeszcze raz – chęć odkrycia Boga, pragnienie podążania za Nim (o ile Ten istnieje) nie ma, moim zdaniem, nic wspólnego z lękiem przed śmiercią. Nie po to chcę poznać świat, żeby przeżyć – robię to bezinteresownie – z czystej ciekawości i miłości. Jeśli elementem rzeczywistości jest jakiś jej Autor – nie po to za nim podążam, żeby ubić z nim interes, ale po to – na przykład - by wyrazić swoją wdzięczność za świat, który stworzył.

Sądząc z tego, co wiem o twórczości Lewisa, co odczuwam w jego książkach, owa wdzięczność nade wszystko jest bliska także jemu. Życie wieczne traktuje on jako dodatkowy dar kochającej swoje stworzenia Istoty. Nie sądzę, aby zgodził się z twierdzeniem – *jeśli wszystkich umrę, wszystko traci sens*. Zupełnie co innego wynika z lektury „Pellelandry”, czy „Opowieści z Narnii”. Nie rozumiem zatem, dlaczego B. A. Pokorska odsyła mnie do lektury Lewisa – jest to literatura na nieporównanie wyższym poziomie refleksji, niż egocentryzm Unamuno.

W filozofii Lewisa nie podzielałam jego potrzeby zaświatów, jego eskapizmu – mówiąc szerzej, nie jestem, tak jak on, neoplatonikiem. Uważam, że świat materialny tylko i wyłącznie wydaje nam się przyziemny i gorszy od unoszącego się w górze świata wiecznych i lepszych idei. Uważam, że jesteśmy zbyt zajęci sobą, swoimi pragnieniami, aby odnaleźć zagadki i nieprzemijalne piękno w tym, co nas otacza. Wolimy iść na skróty wymyślając sobie zaświatowy Eden. Nie widzimy nieskończoności istnień, wszechświata, bezmiaru jego pięknych zagadek – dlatego wymyślamy sobie wirtualną wieczność. Takie jest moje zdanie.

Czy fundamentalizmem jest posiadanie swojego własnego zdania? Czy jest to obce? Czy jest fanatyzm w potrzebie polemiki, wobec faktu, że ktoś w ogóle przekreśla możliwość istnienia odmiennych od miguelowych poglądów?

Podsumowując, spojrzę jeszcze raz na to wszystko z mojej perspektywy. W czym nie zgadzam się z chrześcijańskim egzystencjalizmem?

1. Nie uważam, że jakkolwiek przeczytana przeze mnie książka jest „święta” i obowiązująca wszystkich ludzi.

2. Nie uważam, że największym problemem i wartością jest moje istnienie.

3. Nie uważam, że istnieje jeden właściwy sposób myślenia i postępowania, który jest dobry sam przez się (bo jest w pozycji z pt.1).

4. Nie uważam, że to co mnie otacza jest złe i gorsze niż to, co sobie wymyślam, aby zaspokoić moje lęki i potrzeby (i jest w pozycji z pt.1).

5. Nie naginam wszystkich zaobserwowanych zjawisk tak, aby były zgodne z pozycją z punktu 1. A jeśli coś mi się nie zgadza, nie jestem w stanie przyjąć niczego w zamian, tylko staję się coraz bardziej egzystencjalistą, w tym przypadku – piewcą braku. Nie jestem ani piewcą „księgi”, ani piewcą braku – żalobnikiem.

6. Nie uważam, że jeśli jakieś gremium uznało, że coś jest wspaniałe, nie można tej wiedzy podważyć, czy też poddać w wątpliwość. Ludzie od zawsze czcili wróżbitów obiecujących im spełnienie pragnień. Jeśli gremium umieszcza na piedestale wróżbitę, tym bardziej jest to warte wątplenia.

7. Nie wiem na pewno czy istnieje Bóg, nie wiem też na pewno, czy nie istnieje. Nie rozstrzygam tej wątpliwości na zasadzie – jest to, co bardziej zaspokaja moje pragnienia. Jeśli istnieje Bóg, niekoniecznie jego głównym problemem musi być spełnianie nierozważnych i wynikających z instynktownego lęku życzeń.

8. Jeśli pytam o świat, ewentualnego Boga etc., nie robię tego po to, aby ubić interes. Staram się odkrywać, jestem ciekawy, dlatego, że jest to jedna z piękniejszych i bardziej bezinteresownych cech inteligentnego istnienia. Chcę wiedzieć nie po to, żeby być nieśmiertelnym, lepszym od „pogan”, „niewiernych” etc. Chcę wiedzieć, bo świat wzbudza moje zainteresowanie, a istnienie (nie tylko moje, niekoniecznie wieczne) napędza mnie miłością.

9. Różnorodność jest piękna. Dobrze, że nie wszyscy jesteśmy tacy sami, dobrze, że nasze cele i poglądy się różnią.

10. Jeśli to, co wyraziłem w powyższych punktach jest fundamentalizmem, ostrzegam wszystkich przed tolerancją!

Na zakończenie proponuję wszystkim pewien eksperyment. Przeanalizujmy na chłodno nasz światopogląd (Wiara to też element światopoglądu) i wyobraźmy sobie, że może być inaczej. Po czym uwierzmy, choć na chwilę, w to co sobie wyobrażaliśmy. Nie jestem psychologiem, ale wydaje mi się, że to całkiem niezły sposób na sprawdzenie własnego fundamentalizmu, lub też (czego wszystkim życzę) tolerancji.

Ps.: Jeszcze jedno! Mistyczna „noc ciemna”, o której pisze na przykład Edyta Stein rozważając (jak zwykle) duchowość św. Jana od Krzyża... A.B. Pokorska przypisuje ową „trwożę wiary” też Unamuno. Stąd miałyby się wziąć zdanie „jeśli zaś wszystkich umrę, wszystko traci sens”. Raz jeszcze zwracam uwagę – gdyby to zdanie brzmiało tak jak powinno, to znaczy „jeśli Bóg nie istnieje, wszystko traci sens”, nie pisałbym o horyzontalizmie i uzależnieniach. Jednak wątpliwości i obawy Unamuno nie dotyczą Boga, dotyczą chuci wiecznego istnienia. To, że kogoś spowija estyma i zapach kościelnego kadzidła nie oznacza, iż staje się on świętym. Mimo wszystko nadal należy myśleć, a nie przyjmować z zachwytem wszystko, cokolwiek tylko taki osobnik spłodzi. Nawet jeśli w zdaniu „jeśli zaś wszystkich umrę, wszystko traci sens” Unamuno tylko się przejęczył, źle wyraził, to... po co to drukować, po co o tym pisać...? Mało jest publicystów, których stać choćby na poprawność? O ile z wielką przyjemnością czytam Lewisa, chrześcijańskich i muzułmańskich mistyków (np.: mistrz Eckhardt, al-Gazali (też służę moją biblioteką)), o tyle sam zapach kadzidła nie wystarczy mi, aby czytać dzieła autora „Agonii chrześcijaństwa”. Jeśli chcę mieć kontakt z czymś prymitywnym, wystarczy że sięgnę po pilota od telewizora, wtedy przynajmniej zostaje zachowane pewne decorum rozrywki. ■

Stefan Pastuszewski

Kobieca skłonność do zakupów

Wypowiedź B.A. Pokorskiej pt. „Meandry współczesnej prozy” („Akant” 2003, nr 9, s. 14-17), odradzająca wraz ze znakomitą wywiadem z J. Tomkowskim (wspólnie z Maciejem Kuczyńskim), („Akant” 2003, nr 7, s. 33-34) dyskusję pt. „Proza nasza niepowszednia” świetnie nadaje się do polemiki. Jest prowokacyjnie jednostronna i konwencjonalna, w manierycznej oczywiście konwencji współczesnej polskiej humanistyki, która zadaje, często sprzeczne ze sobą pytania i niczego nie rozstrzyga, a jednak „coś tam szeptem sugeruje”, bowiem humanistyka ta podzielona jest na różne szkoły i stajnie.

Stajnia historyczno-literacka, do której zdaje się pukać B.A. Pokorska to połączenie, nigdy zresztą nie zużytej, miary pokoleniowej, z odmedialną, neurotyczną akceleracją zjawisk. Autorka inkryminowanego tekstu rozdyma prozę PRL-u do rozmiarów balona dwukomorowego (pierwsza i druga epoka), a potem przyspiesza niczym peleton kolarski przed metą, pisząc o *trzecim, czwartym* i sygnalizując *piąte* pokolenie. Cenzurą jest oczywiście rok 1989. W rezultacie mamy wyraźny anachronizm chronologiczny: 45 lat w podziale na dwa i 14 lat w podziale na trzy. Gdzie tu skala porównawcza? Gdzie miara?

Inną jednostronnością tej stajni jest analiza twórczości „młodych”, zupełnie jakby „starzy” przestali już pisać, albo niczym konie w maneżu zaczęli dreptać jedną i tą samą ścieżką. A co, takie pióra jak W. Odojewski, A. Sapkowski, W. Paźniewski, T. Chrościelewski już nie piszą i nie eksperymentują?

B.A. Pokorska epatuje się też, jak każde dziecko epoki konsumizmu (*wszystko co nowe jest lepsze*), nowinkami formalnymi, pomijając to, co „normalne”, co jest twórczą adaptacją do rytmu epoki – tradycyjnej, komunikatywnej i niosącej *jakiś tam* przesłanie, epiki. Ekspozując swoje znużenie literaturą (za dużo chyba czyta!), ale też typową dla kobiet mniejszą wrażliwością na idee, pisze wprost, że „woli się poświęcić wylapywaniu jeno oryginałów”. I tak też czyni przytaczając nazwiska raczej egzotyczne (ach, to kobiece zapatrzenie się w osobę, głównie męską, ale też półkobietą wojujących feministek), nie analizując – choćby pobieżnie – żadnego dzieła, cytując nadobnie wywijanki krytyków i myślicieli różnej maści, płacząc różne teorie literaturoznawcze.

Największym jednak mankamentem rzeczownego tekstu, napisanego skądinąd brawurowo (znaczący wpływ K. Maliszewskiego) jest niezdeterminowanie się na spójną metodę analizy: wydaje się, że eseistka nasza kochana rzeczywiście uwielbia pokoleniową klasyfikację, lecz w pewnym momencie wątpi, czy „rzeczywiście istnieje literackie pokolenie 1989”. Upřednio oczywiście, wykreowawszy „trzęcie”, a nawet „czwarte” pokolenie polskich prozaików. – i jako się rzekło – anonując „piąte”. Innymi słowy sprowadza literaturę do kategorii supermarketu, w którym wprawdzie można dostać różne towary, a przy okazji oczopląsu, lecz w każdej branży towarem numer jeden jest „nowość”. (Tu chyba także ciąży odwieczna kobieca skłonność do zakupów, będąca – obok męskiego lenistwa – energią napędzającą konsumpcję).

Innym „grzechem” B.A. Pokorskiej jest świadome (?) pomylenie krytyki literackiej, która przecież jest twórczością z polonistyką, która jest naukowością. Autorka omawianego szkicu wręcz wartościowuje: „krytyka, ta wysoka, akademicka, oraz ta średnia, śródowiskowa”. Doprawdy, ale by się w tym momencie K. Irzykowski czy A. Sandauer, nie mówiąc już o T. Boyu-Zeleńskim, uśmiałi. Takie jest, niestety, zauroczenie niektórych adeptów (czego?) polonistyczną naukowością, wyrażającą się niekiedy w naukowość, że tego typu opracowania „powielane” są w różnego rodzaju nieregularnikach literackich. Im grubszy taki nieregularnik i im większa jego nieregularność (a, co tam, w końcu my, profesura, tylko się liczymy!), tym

więcej takowych sztamp. Ta sama forma, te same pojęcia, ten sam bukiet nazwisk i cytowania za cytowaniami. A przecież tym krytyka literacka różni się od, podszywających się pod nią, analiz filologicznych, że ma, a raczej powinna mieć, własne, autorskie kryteria wartości i jest swobodna, co wcale nie znaczy, że anarchistyczna, choć i taka, niestety, czasami się zdarza. Skrępowanie filologicznych oceniaczy wynika z hierarchiczności życia akademickiego (profesor ma zawsze rację i „nazwisko”, a adept chce uzyskać wyższy stopień naukowy, co oczywiście zależy od profesora) i samej naukowości (metoda, przede wszystkim metoda!). B.A. Pokorska przypomina w pewnych momentach takiego adepta, który wprawdzie „wychyla się” niektórymi słowami, bo takie modern – wykłady wraz z nażełowaną fryzurą i butami na słoninie, nie mówiąc już o dżinsach, są dziś na uniwersytetach szalenie modne, lecz nie wnosi niczego własnego w zakresie metody czy poglądów.

No i to natrętne stawianie pytań retorycznych, przypominających „filozoficzną mądrość” przyglupka, który w słoneczny dzień na party w ogrodzie willi profesora (to też jest dziś bardzo modne), rozognił znużone i podpite towarzystwo niezwykle odkrywczym pytaniem: - Czy słoniec rzeczywiście świeci?

Świeci, świeci, pani Beato Anno i jest – przynajmniej dla nas, ziemian – jedno, tak jak polska proza jest jedna, bez sztucznego podziału na pokolenia i jeśli coś ją klasyfikuje, to *poczytność*, a diapazon jej jest bardzo szeroki – od Marii Rodziwiczówny, przez Bolesława Prusa i Henryka Sienkiewicza, po drodże Juliusza Strykowskiego i Jana Józefa Szczepańskiego, po Stefana Chwina i Olę Tokarczuk, nie zapominając również o jarmarczno-fryzjerskiej Manueli Gretkowskiej.

Bo w odbiorze czytelniczym proza w odróżnieniu od poezji i dramatu jest mniej zmienna i falowa, jako że oczekuje się od niej – oprócz przygody estetyczno-intelektualnej-odstąpienia jakiejś prawdy, a ta, podobnie jak prawo ziemskiego ciężenia czy emanacji słonecznego światła, jest raczej niezmienna, choć w istocie swojej i ostateczności trudna do uchwycenia.

Aby zaprzeczyć chaosowi zasianemu w „Akanicie” przez B.A. Pokorską powtórzę, w rozwinięciu oczywiście, swoje rozeznanie co do stanu „prozy naszej niepowszedniej”:

1. Proza wciąż się zmienia, a jej cele i formy migocą; teraz jest większe zapotrzebowanie na

rozrywkę i fantazję niż ciężkie problemy egzystencjalne.

2. Poszczególne realizacje prozatorskie są bardzo zróżnicowane; nie istnieje „centrum” ani idei ani form, choć od czasu do czasu pojawiają się niczym fale – epigonizmy i autoepigonizmy wobec dzieł uznanych – chwilowo tylko – jako „objawienie”.

3. Dzięki awangardowym eksperymentom wzbogaciły się siły i środki powieści, która raczej nie szuka odpowiedzi na pytania, ale przede wszystkim te pytania stawia.

4. Dzisiejsza powieść chyba wierniej niż jej poprzedniczki towarzyszy człowiekowi, potwierdzając jego niepokoje, wątpliwości i nadzieje. Także łatwiej dostosowuje się do skróconego języka współczesności, który z kolei jest efektem szybszych i częstszych zmian w każdej dziedzinie życia.

5. O sytuacji w życiu literackim bardziej decyduje czytająca, choć coraz mniej liczna społeczność, niż hierarchie ustalone przez tak zwane związki twórcze oraz blaski i przemilczenia rzucane przez tak zwanych krytyków, nie mówiąc już o polonistach, czy znacznie już rzadszych - polonistkach.

No i oczywiście zapraszam do dyskusji pn. „Proza nasza niepowszednia”.

Proza nasza niepowszednia

Gorąco zapraszamy Pisarzy i Czytelników do wzięcia udziału w naszej dyskusji pn. „Proza nasza niepowszednia”. Ów przekorny tytuł debaty dowodzi, że ideą jej jest postulat, aby proza polska nie była „aż tak prozaiczna”.

Jak dotąd głos w naszej dyskusji zabrali: **Bożena Budzińska** (2001, nr 11, s. 24-25; nr 12, s. 28-30; 2002, nr 4, s. 18-19), **Tadeusz Chrościelewski** (2002, nr 6, s. 36), **Anna Makles** (2003, nr 10, s. 30), **Stefan Pastuszewski** (2003, nr 11, s. 34), **Beata Anna Pokorska** (2003, nr 9, s. 24-26), **Marcin Szerenos** (2003, nr 11, s. 33), **Jan Tomkowski** (2003, nr 7, 33-34), **Lucjan Zuzia** (2002, nr 6, s. 37).

Joanna Rzeszotek

Z łoża czytelniczej

W czasach mojej licealnej młodości większość recytatorów deklamowała, mówiła, interpretowała – wiersze W. Szyborskiej. „Zrzeźbione” intelektualnie, o specyficznej – dla wzmocnienia społecznego człowieka – treści; mogły być zarówno głoszone, kazane, mówione, jak i modłone – w tonie od agresywnej egzaltacji, aż do dramatycznego szeptu lub „czystego” wykładu.

Z Szyborskiej – jeśli kto „w nią wstąpił” – wychodzi się, ale dla czytelnika ze „świeżego naboru”, dla lojalnego literata – ta twórczość może stać się wzorcowa, modną poezją współczesną – zarówno poprzez upowszechnienie jak i namaszczanie.

Miara rzeczywistości wielkości pisarza nie jest nawet zapisanie go do historii literatury (którą przejmują kolejni historycy literatury); jest nią wybór danej jego książki jako tej na całe życie – przez choćby kilkoro tylko powszednich ludzi

z współczesnego mu i z nastającego po nim pokolenia – pokoleń. Postrzeganie Nagrody Nobla – jak i wszystkich podobnych „Oskarów” – jako miernika wielkości dzieła – jest całkowitym nieporozumieniem. Certyfikat Nobla (również – nominacja) obnaża przeznaczenie utworu, bądź mu je dopiero nadaje – jako karty w brydżu starym jak świat: polityce. Szkodę, której nikt nie podejmie się szacować, wyrządza też nakładanie na utwór literacki obowiązku bycia „lekturą obowiązkową”: czyż nie po obowiązujących (słusznych) treściach rozpoznawaliśmy totalitaryzmy?

W takim układzie, nigdy nie pocujemy potrzeby wyboru – i rozwijającej, kształtującej radości – z umiejętności wyboru.

Są wiersze, jest poezja. W. Szyborska pisze wiersze. Wiersze się stosują. Wiersze się stosuje. Dla wzmocnienia wiary, w forpocztach, patronatach. Istotą wierszy jest ich użyteczność. Poezja – jest nieużyteczna nieużytecznością lśnienia gwiazdy, kwitnienia sasanki, niemości i nieużytecznością zgody na śmierć. Piękno jest nie do użytku. Jest nietykalne i nie na własność. Jest niesocjologiczne, niepolityczne, niereligijowe i nieekonomiczne. Piękno jedno jest – a różne. Jak Człowiek czy Trzmiel jeden jest – nierozmieniany tylko. Nie kończąca się – potencja.

Bez przebywania przy Pięknie, z Pięknem, bez tworzenia go – można żyć. Nie być głodnym. Gdy rozstaw między Niebem i Piekłem zaczął wydawać się zbyt rozarty dla przeciętnie grzeszącego, zastawiano go Czyśćcem. Tak i między Pięknem i Brzydota, stanęło Ładne. Poszukiwanie, które mogło stać się potrzebą Piękna, zostało zaspokojone i zahamowane Ładnym. I wówczas – następują (lub następowały) tak zwane kryzysy sztuki – z literaturą włącznie.

W październikowym numerze „Akantu” znalazłam kilka wierszy dla siebie „na zawsze”. Oto „Bród” Jacka Dehnela, „Rachunek” i „Nieśmiertelność” (rachunek – za – nieśmiertelność? nieśmiertelność – na rachunek?) Andrzeja Baszkowskiego. I dwa wiersze – Piotra Pawlaka. Znam Piotra. Ktoś go od poezji odsądzał, a Piotr ma własną substancję wiersza; sądzę, że nie „wysiloną”, lecz autentycznie taką. Te dwa – bez tytułów – zabieram.

Andrzej Piotrowicz „przeżył” wiersz P. Wiazemskiego – „Noc w Rewelu”. Próbowałam niegdyś przekładać z rosyjskiego. Porzuciłam przekład dochodząc do wniosku, że poezja (a proza?) są nieprzekładalne, a mogą być tylko (wiersze – swobodnie) tłumaczone. Przełożyć – to „wyjąć” dany wiersz, na przykład po rosyjsku, i zarobić hokus-pokus tak, by posiadał wszystkie te cechy – w języku polskim – jakie miał w rosyjskim. Inaczej – będzie to tłumaczenie, które wcale nie musi oznaczać gorszego odbioru (przekazu) wiersza niż w przekładzie. Uzasadnionym więc jest drukowanie obok przekładu czy tłumaczenia – wersji oryginalnej wiersza. Dzięki temu nie muszę polegać na – jak w tym przypadku – „wersji” Andrzeja Piotrowicza – i dobrze.

Nie czytam tekstów „nawiedzonych” bez względu, czy dotyczą religii, filozofii, estetyki itd. W osobowości człowieka znajduje się struktura (aktywna szczególnie w wieku pokwitania) higrroskopijna: nasączeni jesteśmy lub nasączamy się – wszyscy. To „uprawy spoleczne” polityki świata. Tak było, jest i jeszcze będzie. Rozpознаjemy lub nie – obłąd i zdrowy rozsądek. Obłąkanych i nawiedzonych: rzeczywistych – i w rolach.

Dzieło sztuki – gdy już jest, gdy stało się, pozbywa się swego twórcy. Sztuka nie ma rodzica i nie ma „nauczyciela”. Nie ma nauczyciela na szczęście: arcydzieła malarstwa stojące na ołtarzach katedr, są niekatolickie. A nawiedzeni i obłąkani budzą lęk – ale nie oni są cenni, lecz ten lęk, który wyzwala. Czy moja niechęć do tekstu „nadziewanego” nawiedzeniem (jak ten – Piotra Rakowskiego w listopadowym numerze „Akantu”) – to (też) lęk?

Wdzięczna jestem Darii Danucie Lisieckiej – za odwagę nazwania rzeczy bez ogródek. Rzeczy o Mistrzu. O liściu spod ręki. Za uroczystość.

Gdy wydrukowano – miałam wątpliwość, czy dobrze się stało – „Antologię Akantu”. Potrzeba – zrewidowała wątpliwość: gdy zacieka mi czyjś tekst – szukam w „Antologii” – kto zacz. Nazwisk Maliny Przesługi i Łucji Gocek – nie znalazłam. Zatem – „narybek”. Cieszę się, bo wiersze dobre.

Pozostało mi jeszcze do przejrzania – po czytania trochę listopadowego „Akantu”. Mam jeszcze na to spory kawał listopada, i dobrze. Jeszcze tylko jedna łaska: rysunek Stefana Rusina na stronie tytułowej – owszem. Ale te wewnątrz numeru – bardzo nie owszem...¹

Jolanta Baziak

Kobieta – symbol i rzeczywistość (2)

„Ja” oddziela się od matki

Gdy „ja” oddziela się od matki, czy to przeżyje? Ale pytanie brzmi zasadniczo inaczej: Czy to przeżyje godnie, nic nie tracąc z pełni swojego człowieczeństwa?

Czy i jak rozumiemy nasze „ja”? Jesteśmy „opaskowani” PESEL-em, NIP-em, numerami różnorodnych kart. Wielu ludziom myślącym zaczęło to doskwierać i zapewne nie chodzi o skojarzenia historyczne, tu idzie o tożsamość „ja”. Moje „ja” jest statystycznie, socjologicznie i jeszcze na inne sposoby identyfikowalne. Tylko kim ono jest, jeżeli samo „ja” o tym nie wie i ciągle pyta...

„Kulisy” nr 44/2003: „Polską młodzież fascynuje śmierć” (...) Od 2001 roku czterokrotnie wzrosła liczba samobójstw wśród nastolatków! W internecie znajduje się instruktaż popełniania samobójstw. Inne znamienne hasło z wyżej wymienionego artykułu brzmi: „Dzieci się nakręcają”, „Ucieczka w strefę mroku”, „Wymiar trendu”, „Nie mogą bez niej żyć” (śmierci).

Przeraza mnie pytanie o wymiar śmierci, gdy nie zadajemy sobie pytania o wymiar życia. Nic nie wiedząc o życiu, idziemy ku śmierci.

J.W. Goethe każdą twórczość, a tak rozumie tu życie, określa: „oswobodzeniem się” – „wyzwaniem”. Tylko ku czemu człowiek może i pragnie się wyzwolić? Może jak Zaratustra „chce być opróżnion” i „chce znów być człowiekiem”, który jest zmęczonym ciałem, lecz „nieporuszoną duszą”?

„Ja” oddzielone od matki – według F. Nietzschego – w „Tako rzecze Zaratustra” bywa nie samotnikiem a „samotwórcą”, który doznaje trzech przemian ducha: duch staje się wielbłądem, wielbłąd – lwem, lew – dzieckiem, po to, by ustanowić w sobie wolność i „święte <<nie>>”, a to oznaczałoby prawo do tworzenia nowych wartości:

• „Błogosławieni są ci senni: albowiem oni zdrzemną się niezadługo”¹

• „Stuchajcież raczej, bracia moi, głodu zdrowego ciała: rzetelniejszy i czystszy to głód.

I dla porównania z Nietzschem refleksja Judith Viorst:

Rzettelniej mówi czyste i zdrowe ciało, ciało doskonałe i udane: a ono o treści ziemi powiada”²

• I przeto złorzecze życiu i ziemi. Nieświadoma zawiść jest w kosm wejrzeniu

Waszej wgardy.

• Drogą waszą ja nie pójdę, wy ciała gardzicie! Nie jesteście wy dla mnie mostem ku nadczłowiekowi!³

Zatrzymując tu rozważania „o radości i namiętności” wróćmy do pierwszego rozdziału książki Judith Viorst pt. „To, co musimy utracić”, gdzie autorka opisuje przypadek podpalenia dziecka przez matkę. Chłopiec mimo wszystko woła ją w szpitalu, bowiem ona jest dla niego symbolem bezpieczeństwa. Nie ma czegoś takiego jak <<niczyje niemowlę>>” – podaje psychoanalitik D.W. Winnicott.

Osobne życie jawi się jako rana, blizna, świadomość. Proces gojenia się ran świadomości jest długoterminowy.

Przeżyliśmy więc stratę pierwszą, oddzielenie dziecka od matki w sposób fizjologiczny. Zaczynamy doświadczać wielu innych form rozdzielania. Przejdę jednak do połączenia się niezwykłe istotnego, „bycia jednym” w miłosnym połączeniu kobiety i mężczyzny. Jak twierdzą psychoanalitik jest ono „doskonałym kompromisem między miłością a śmiercią”,⁴ „stopniem się”. Ale co ciekawe, badane osoby wcale nie mówią o doświadczeniach orgazmu, ale o „samozatraceniu się”. Osoba (kobieta) mówi, że „została dotknięta” (...); zniknęła”.⁵

To doświadczenie pierwotnego zjednoczenia odsyła nas do metafizyki, mistycyzmu, a może tylko do chwilowej, niezasłużonej transcencji, nad którą trzeba reflektować, by nie fascynowała nas aż tak śmierć (z wielokrotną, bezimienną).

Traumatyczne doświadczenie śmierci najczęściej staje się faktem medialnym, a nie osobowym przeżyciem; wprowadza nas – ślepo patrzących przechodniów – w stan niewiedzy, osłupienia, „litości”, ale nie refleksji.

Tylko podobne do miłosnego połączenia chwile – tęsknoty, głęboko przeżyte, transcendujące do drugiego człowieka tworzą pasażę połączeń, nie, niemiędzyplanetarnych. Często bowiem widzimy jak łatwo dajemy się wciągać w różnorakie fikcje na bazie emocji i uczuć.

Moje „ja”, twoje „ja” wymaga powagi i doświadczenia nieustannej jedności. Z drugiej strony moje i twoje „ja” wymaga oddzielenia. Drama! Na tym podłożu powstał gatunek „dramatycznego” człowieka.

Narodziny kobiety i mężczyzny dają pewien teoretyczny i statystyczny początek, że jest możliwość bycia matką i ojcem. Mogę? Pragnę? To proces wyodrębniania się rozdzielania, ale też zauważamy prawidłowości i stałości. W tym procesie.

Własne „ja” ma więc charakter uniwersalny i nie jest „falszywe”, między nerwicą a psychozą, musi walczyć o swoją podmiotowość, poddawać się prawom psychologii socjologii, psychiatrii itd. Każde „ja” można zatem użyć przeciw jego własnemu „ja” zgodnie z zasadami poszczególnych dyscyplin życia.

Oto inny tekst: „Był przystojnym, bogatym dżentelmenem; który pewnej letniej nocy << wrócił do domu i strzelił sobie w łeb>>”⁶

W takich okolicznościach słyszymy z tłumem: jak się powszechnie sądzi, czy też inaczej, że wszelkie badania naukowe prowadzą do... Ale... nasze „ja” ma już tego dość. Bo nasze „ja” chce być nie-statystyczne, czy nie-naukowe, bo jeśli to owe „ja” jeszcze myśli, to nie jest archetypiczne.

Tak, to „ty”, powiem, gdy zobaczę kogoś z szarymi oczami i powiem, że rozpoznaję! Pragnę wyrwać ciebie i siebie z „dramatu” istnienia:

• „Ach, bracie mój, czyliż nie widziałeś nigdy, jak cnota cnotę spotwarzać i na śmierć zagrażać umie?

• „Człowiek jest czemś, co powinno być pokonane: dlatego też powinienes swe cnoty kochać, - gdyż przez nie zginiiesz”⁷.

Ty być może nieco karykaturalna wizja rzeczywistości. A teraz choćby Arystoteles – o tym, czym jest przyjemność? Otóż to „pewne poruszenie duszy oraz pełny i dostrzegalny powrót do stanu naturalnego...”⁸ Niech się jednak Czytelnik nie lęka, że chodzi o sprawy ściśle materialne, cielesne – chodzi o retorykę i poetykę.

Zwiąży więc myśl pierwszą na pewien supeł retoryczny. Dusza i ciało w śmierci – odwieczny węzeł, który zostaje niezwykle prosto rozwiązany – w swoim indywidualnym dramacie. Można preretoryzować, po aktorsku przedstawić, wyartykułować w finezyjnym wykonaniu filozofii Józefa Tischnera. Podwoić i zwielokrotnić w życiu i sztuce. Tylko znów pytamy: czym ona jest?

Zmierzam zatem do początku, czyli do godności życia, które tak łatwo i bezmyślnie się trwoni, naraża, bo przecież ci wspomniani samobójcy często własną śmierć traktują jako internetową zabawę lub grę ze światem. Kobietom przypisano ogromną, nieprzecenioną rolę i to one muszą krzyczeć o życie w multimedialną przestrzeń. ¹

¹ Fryderyk Nietzsche, *Tako rzecze Zaratustra*, Towarzystwo Wydawnicze „IgniS” S.A., s. 30.

² Judith Viorst, *To, co musimy utracić*, „Zysk i S-ka”, s. 34.

³ Fryderyk Nietzsche, dz. cyt., s. 36.

⁴ J.w., s. 31.

⁵ J.w., s. 31.

⁶ J.w., s. 54, proszę nie szukać analogii do ostatnich wydarzeń bydgoskich.

⁷ Fryderyk Nietzsche, dz. cyt., s. 38.

⁸ Arystoteles, *Retoryka, Poetyka*, PWN, s. 116.

Sztuka i doświadczenie

PRACOWNIA PLASTYCZNA

HALINY I WŁODZIMIERZA KRZEMKOWSKICH

Hart

ul. Malinowa 6, 85-363 Bydgoszcz
tel. 052/379 67 89, e-mail: krzemart@abas.pl

Usługi z zakresu:

grafika użytkowa, reklama, informacja
wizualna, projektowanie mebli i wnętrz

Sprawa Miłosza i Szymborskiej

Robert Czop

Potrafię zrozumieć

W najtrudniejszych chwilach Polski nawet najbardziej poświęcające się swojej ojczyźnie najwybitniejsze postacie, przeżywały momenty słabości lub, mimo dobrych intencji, popełniały błędy, kładące się ponurym cieniem na całe ich życie i nie dające im szansy rehabilitacji nawet po śmierci. Biorąc do ręki twórczość najwybitniejszego poety polskiego za panowania Stanisława Augusta Poniatowskiego, mamy świadomość, iż nikt z badaczy literatury nie neguje faktu, że Ignacy Krasicki pozostawił po sobie arcydzieła, ale wielu nie mogło przejść obojętnie wobec postępowania Krasickiego w czasie rozbiorów, potępiając go, jak na przykład Ignacy Chrzanowski, za to, że nie zaprotestował nawet moralną powagą biskupa przeciwko zbrodni i nie tylko złożył wraz ze swoją kapitułą hołd Fryderykowi Wielkiemu, ale nadto służył mu czasem z większą uległością niż biskupi Niemcy.¹ O tej zbyt wielkiej służalczości oraz braku zdecydowania i konkretnych działań w tym, jednym z najważniejszych momentów życia poety, pisze w swojej pracy Włodzimierz Maciąg, uważając tę niegodną tych czasów postawę za niewybaczalną: „Książce biskup i jego kapituła musieli pogodzić się z faktami dokonanymi, z przemocą zaborców i swoją bezsilnością. Nie wszyscy się godzili, nie należało się godzić. Niestety, Krasickiego nie można tu dawać za wzór. Tylko raz jeden w pięknym odruchu solidarności Krasicki stanowczo i jawnie zaprotestował: na owej naradzie senatu w marcu 1768. Później już zabrakło mu zdecydowania, brakło wiary w skuteczność protestu, brakło i odwagi osobistej. Usprawiedliwić go nie sposób. Ale trzeba pamiętać, z tych właśnie doświadczeń, z tych rozterek i upokorzeń rodzi się osobowość księcia poetów.”

Inną wybitną postacią tych czasów był Hugo Kołłątaj i co do tego, że należał do jednych z najznakomitszych mężów stanu i pisarzy w historii naszego kraju, nie ma wątpliwości, a jednak i on także popełnił grzech, za który wciąż płaci w oczach potomnych: *Oto wyjeżdżając z Warszawy za grani-*

Maciej Porzycki

Beznadziejna sprawa

Sprawa Wisławy Szymborskiej i Czesława Miłosza na wokandy! Ocena dorobku noblistów w kontekście ich postaw etycznych.

Stefan Pastuszewski trafnie dostrzegł u oskarżycieli „>sportową złość< pod hasłem: >Bić lidera!<” („Akant” 2003, nr 10), a Jarosławowi Jakubowskiemu podobne reakcje kojarzą się, równie słusznie, z „sądem krasnoludków” (ibidem). Chyba najczęściej w „akantowej” dyskusji zabrzmiały głosy Ariany Nagórskiej (ibidem) oraz cytowanego wyżej J. Jakubowskiego (ibidem). Oboje zachowali odpowiedni dystans, okazali niezbędne poczucie humoru, sugerując wyraźnie, że roztrząsanie tak postawionej sprawy nie przyniesie żadnego sensownego rozstrzygnięcia.

Wszak odbiorców sztuki możemy podzielić na tych, którym wystarcza samo dzieło i tych, którzy oczekują, iż biografia autora będzie dopełnieniem jego twórczości. Nie wiadomo, czy pierwsi z wymienionych mają rację, lecz z pewnością złudzeniom ulegają ci drudzy. Człowiek w ogóle, a w artystycznym wcieleniu szczególnie (jakżi twórca nie popełnia przynajmniej grzechów pychy i zazdrości?), niestety, nie bardzo nadaje się na obiekt absolutnego uwielbienia. Od czego są jednak religie, legendy i baśnie oferujące gotowe zestawy kryształicznie czystych postaci; chociaż w tej kwestii także zalecana jest ostrożność.

I na koniec: wiersz, obraz lub utwór muzyczny pozwalają się jako tako przejrzeć i zanalizować, natomiast dusza artysty – za diabła!

cę po zawiązaniu konfederacji targowickiej złożył Kołłątaj na ręce jednego ze swych zaufanych piśmienników obietnicę, że przystąpi do konfederacji, jeżeli targowiczanie nie pozbawią go podkanclerstwa i zwrócą mu skonfiskowany majątek(...) Aż strach, aż zgroza pomysłu: twórca Konstytucji chciał być targowiczaniem”.³ Również Piotr Zbikowski przy omawianiu poezji więziennej Kołłątaja, zwraca uwagę, że podmiot liryczny przekonuje nas o swojej niewinności, ukazując swoje zasługi dla kraju, a równocześnie nie wyjaśnia postawionych mu zarzutów:

Wolny człek, obywatel kraju nieszczęsnego,
Broniełam mą ojczyznę od gwałtów Rusina,
Oto moje przestępstwo, oto moja wina.

„I to jest oczywiście prawda. Ale prawdą jest również, iż w krytycznym dla kraju momencie ten ofiarny obrońca ojczyzny gotów był za cenę zachowania swej dotychczasowej pozycji w rządzie i wpływu na bieg spraw pójść na ugodę z owym „Rusinem”. Tylko na taką prawdę nie było już miejsca w jego autoportrecie.”⁴

We wstępie do książki pod tytułem „O myślam świat czyli o poezji Wisławy Szymborskiej” Stanisław Żak, odpierając ataki tych, co mają za złe poetce flirt z utopijną ideologią, stara się nam zwrócić uwagę na to, że młodość jest bardziej skora do popełniania błędów niż wiek dojrzały, gdyż brakuje jej doświadczenia przychodzącego po latach mniej lub bardziej miłych przeżyć i doświadczeń. Na poparcie swojej tezy podaje przykład dwóch tekstów literackich. Jednym z nich jest fragment z „Odprawy postów greckich” Jana Kochanowskiego: *By rozum był przy młodości... / Mniej by na świecie trosk było, / By się to dwoje łączyło⁵*, a drugim pięciowiersz Adama Mickiewicza *Polały się łzy...*

Niewątpliwie brak mądrości wówczas, kiedy młodość pragnie zmieniać świat, jest argumentem na korzyść Wisławy Szymborskiej, zwłaszcza, że nie tylko młodzi popełniają fatalne błędy, jak to wcześniej, omawiając Ignacego Krasickiego i Hugona Kołłątaja, chciałem dowiedzieć. Akurat w tym przypadku Stanisław Żak dodał kolejne przykłady, które uświadomiamy nam to, iż gdybyśmy przeglądali biografie i twórczość pozostałych twórców, którzy zapisali się już na stałe w naszej literaturze, to wówczas doszlibyśmy do wniosku, że jeszcze bardzo, ale to bardzo długo moglibyśmy ciągnąć temat różnych wątków i różnych autorów na łamach pism literackich.

Powróćmy jednak do omawianej przez nas sprawy. Przede wszystkim nie możemy zapominać o wielkiej sile przekonywania, jaką niesie ze sobą, mądrze przeprowadzona propaganda, na którą bardzo podatne są młode i pełne wielkich pomysłów umysły młodzieży. Czytając książki napisane przez Józefa Czapskiego, Gustawa Herlinga-Grudzińskiego i innych, którzy przebywali na nieludzkiej ziemi, doznajemy dziwnego zaskoczenia, że tak łatwo ludzie, mieszkający w innych państwach ulegali propagandzie władz Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich, wierząc, że to państwo socjalistyczne jest największym rajem na ziemi. Chcąc żyć w tym lepszym świecie przyjeżdżali tutaj, aby uzmysłowić sobie jak bardzo różni się rzeczywistość od tej iluzji, którą do tej pory im wpajano. Bardzo często ta droga do państwa „miodem i mlekiem płynąca”, była podróżą w jedną stronę i kończyła się tragicznie.

Innym przykładem niech będzie propaganda niemiecka, kiedy to wywozów mieszkańców z innych krajów do Oświęcimia obiecywano im pracę. Wielu tak bardzo w to wierzyło, że nie chcieli dopuścić do siebie myśli, iż ci, co ich ostrzegali na mijanych stacjach przed niebezpieczeństwem, mówią prawdę. Czytając „Kamienie na szaniec” Aleksandra Kamińskiego mamy możliwość bliższego przyjrzenia się myśleniu młodych ludzi: „Przed oczyma duszy stają mu tyle razy przemysłiwane obrazy nieuregulowanych rzek, nędznie rozdających pól, smrodliwych, zatłoczonych „mieszkań” i ludzi zabiedzonych, pracujących za nędzne grosze, pracujących niedobrze, nieumiejętnie. Ludzi spragnionych odrobiny dobrobytu i bezpieczeństwa, szacunku i tego, by nikt nad nimi nie stał z batem...”⁶

Właśnie te marzenia o stworzeniu lepszego świata, zostały wykorzystane przez nowy system polityczny, zachęcający do odbudowy kraju na całkiem nowych, socjalistycznych zasadach. Trudno nie przyznać racji Stanisławowi Burkotowi, który, omawiając w jednej ze swoich prac poezję Mirona Białoszewskiego, zwrócił uwagę na losy wojenne i powojenne całego pokolenia: „Na czas ich młodości przypadł czas śmierci, naznaczony piętnem szczególnym całą ich osobowość, ukształtował sposób myślenia i przeżywania. Nie byli sprawcami wydarzeń: wojna dojrzewała w tyglach polityki europejskiej, kiedy byli dziećmi. W czasie wojny stawali się ofiarami. Na tej podstawie kształtowało się ich poczucie generacyjnej odrębności, poczucie tragedii historii. Nieufność do świata, w którym wypadło im żyć, pogłębiły lata stalinowskiego zniewolenia: nie wszyscy sprościli agresji ideologicznej – propagandowej. Jedni z tej grupy równieśniczej stawali się w nowym układzie „oficerami kadrowymi na froncie literatury”, inni – ofiarami.”⁷

W książce Anny Legeżyńskiej „Wisława Szymborska” możemy znaleźć wypowiedź poetki dotyczącej jej debiutu poetyckiego, która wyjaśni nam, jak sama poetka podchodzi do swojej poezji z tamtego okresu czasu: „Poezja dużo lepiej niż proza nadawała się do wygaszania, agitowania szybciej i skuteczniej. Myślowo nieskomplikowana, językowo też, przeznaczona była do budzenia raczej emocji niż refleksji. Takie były i moje wiersze z dwóch pierwszych tomików. Byłam wówczas głęboko przekonana o słuszności tego, co piszę – ale stwierdzenie to nie zdejmuję ze mnie winy wobec tych czytelników, na których moje wiersze może jakoś oddziaływały. (...) Gdyby nie ten smutek, to poczucie winy, to może nawet nie zaowalabym doświadczeń tamtych lat. Bez nich nigdy bym nie wiedziała, co to takiego jest wiara w jakąś jedyną słuszność. I jak łatwo jest wtedy nie wiedzieć tego, czego wiedzieć się nie chce. I do jakich akrobacji umysłowych można się posunąć przy konfrontacji z cudzymi racjami. Zrozumiałam też, że miłość ludzkości jest uczuciem bardzo niebezpiecznym, bo najczęściej prowadzi do uszczęśliwienia ludzi na siłę. No i wreszcie jaszczkę jeden wniosek: że można z tego zaslepienia jakoś się otrząsnąć, że jednak można wyzdrowieć...” (W. Ligeza, Przepustowość owiec. Rozmowa z Wisławą Szymborską, „Teksty Drugie” 1991, nr 4.)⁸

Komentując tę wypowiedź, Anna Legeżyńska zwraca uwagę na naiwność, która według niej należy do gatunku szlachetnych, ale w przekonaniu Szymborskiej jest niewybaczalna i z tego powodu ona sama nie dała sobie rozgrzeszenia i trwa w przekonaniu, że jest wciąż winna wobec ówczesnych Czytelników swej poezji. Wydaje się więc Legeżyńskiej, że „choć dzisiaj nie żywi ona (Wisława Szymborska – R. Cz.) najmniejszych złudzeń, by poezja miała stać się artykułem powszechnego użytku (tylko „Niekto lubią poezję” pisze w zbiorze pt. „Koniec i początek”), to jednak nadal – a może jeszcze bardziej niż dawniej – ma poczucie odpowiedzialności za słowo wydrukowane.”⁹

W ten sposób dochodzimy do stwierdzenia, które już w swojej książce „Świat ze wszystkich stron świata. O Wisławie Szymborskiej” zapisał Stanisław Balbus, że poetka wyrażając się wierszy nie wyrzekła się odpowiedzialności za nie¹⁰ i jak sama wyznała ma nadal poczucie winy.

Pozostaje tylko sobie teraz odpowiedzieć na zasadnicze pytanie: Czy wina Szymborskiej jest aż tak wielka, aby po tym wyznaniu i równocześnie przeproszeniu tych, których skrzywdziła swoją poezją z tego okresu czasu, nadal ją dręczyć na stronach pism literackich i cały czas wypominać jej ten błąd z młodości?

Odpowiedź na to pytanie dał już Stanisław Balbus w swojej pracy: „Aczkolwiek spośród poetów aktywnych tuż po wojnie, czyli w tzw. „czasach stalinowskich”, autorka „Pytań zadawanych sobie” ma akurat stosunkowo niewiele powodów do takich rozrachunków. Niedawno w audycji radiowej (chyba w maju 1996 roku) powiedział jeden z największych autorów moralnych powojennej Polski, Jerzy Turowicz: „Początkowe zaangażowanie dwudziestoparoletniej wówczas poetki w ideologię komunistyczną jest z tamtej perspektywy zupełnie zrozumiałe i nawet naturalne; a jeżeli zdarza się, że jeszcze jacyś ludzie mają pretensje o to jej młodzieńcze zaangażowanie, to jest to zupełnie bezsensowne i bezpodstawne, natomiast, to czym jest, co zrobiła dla kultury polskiej, to wszelkie tak zwane grzechy odkupić z nawiązką.”¹¹ Trzeba tutaj dodać jeszcze

inne fakty, o których pisze Stanisław Balbus, mówiących o tym, że autorka wierszy od roku 1976 (po wypadkach radomskich) przerwała współpracę z „Życiem Literackim”, a od wprowadzenia stanu wojennego należała do najciszejszego grona krakowskiego „podziemia” literackiego.¹²

Na zakończenie tych rozważań chciałbym zaznaczyć, że nie przez przypadek porównałem pokolenie, które pamiętało Polskę przed 1795, a później przeżyło tragedię upadku państwa i odczuło na sobie koszmara wzięcia i wywózki na Syberię z pokoleniem, które także musiało doznać gorzkiej klęski wrześniowej w 1939 roku i koszmara okupacji, ponieważ ich przeżycia są bardzo podobne i z tego powodu łatwiej jest nam zrozumieć, a co za tym idzie wybaczyć postępowanie tych, którzy, mimo swoich szlachetnych pobudek, nie potrafili sprostać ciężarowi chwili, która ich w danym momencie przerosła i okaleczyła na zawsze. ❦

¹ Ignacy Chrzanowski, Historia literatury niepodległej Polski, Warszawa 1994, t. 3, s. 83.

² Włodzimierz Maciąg, Życie Ignacego Krasickiego, Warszawa 1984, s. 183-184.

³ Ignacy Chrzanowski, Historia literatury niepodległej Polski, op. cit., s. 372.

⁴ Piotr Zbikowski, Poezje więzienne Hugona Kollątaja. Studia i teksty, Wrocław 1993, s. 23.

⁵ Stanisław Zak, O Wisławie Szymborskiej i jej poezji, (w:), Obmyślam świat czyli o poezji Wisławy Szymborskiej, Kielce 1998, s. 9.

⁶ Aleksander Kamiński, Kamienie na szaniec, Wrocław 1991, s. 137.

⁷ Stanisław Burkot, Miron Białoszewski, Warszawa 1992, s. 32.

⁸ Anna Legeżyńska, Wisława Szymborska, Poznań 1996, s. 14 - 15.

⁹ Ibidem, s. 15 - 16.

¹⁰ Stanisław Balbus, Świat ze wszystkich stron świata. O Wisławie Szymborskiej, Kraków 1996, s. 21.

¹¹ Ibidem, s. 21 - 22.

¹² Ibidem, s. 18.

Krystyna Gryś

Duma i wstyd

Bardzo sobie cenię poezję naszych noblistów. Kiedy zostali nagrodzeni przez Akademię Szwedzką byłam dumna, że to polscy poeci zostali dostrzeżeni i docenieni, czym rozślawili Polskę. (My Polacy uważamy, że jesteśmy pępkiem świata, a przecież są kraje, które nie wiedzą nawet gdzie Polska leży).

Tu pozwolę sobie na dygresję, że nasz rodak, Jan Paweł II, chociaż nie dostał nagrody Nobla, najbardziej rozślawił Polskę, pielgrzymując z „gałką oliwną”. Również osoba tak bardzo kontrowersyjna, jak Lech Wałęsa, swoim Noblem przyczynił się do wzrostu znaczenia Polski w świecie.

To są te jasne strony medalu. Jest jednak zawsze jakieś „ale”...

Muszę przyznać, że było mi wstyd kiedy Miłosz i Szymborska zostali nominowani do Nagrody Nike. Jeżeli ktoś został postawiony na tak wysokim piedestale, to sięgać po Nike już nie wypada. Mamy w kraju wielu wspaniałych poetów, pisarzy, publicystów, którym również należy się jakaś satysfakcja za ich twórczość.

Co do zachłyśnięcia się naszych noblistów socrealizmem, to ten haust nie wyszedł im na dobre. Ciągnie się za nimi nieprzyjemnym zapaszkiem, który zawsze ktoś stara się wywlec na światło dzienne. A przecież nie byli oni odosobnieni. Takich zapatrzonych na Wschód było wielu i nie myślę tutaj tylko o piszących. Teraz kierują oni głowę na Zachód. (Dziwię się, że nie dostali skretu szyi). I zawsze czy ze Wschodu, czy z Zachodu, przenoszą na nasz grunt najgorsze wzorce.

W. Szymborska wstydzi się tego okresu. Tłumaczy się naiwnością. Była wówczas młodą, nie-doświadczoną osobą. Potrafię to zrozumieć...

Natomiast u C. Miłosza raz i drugi jego antypolonizm i antykatołycyzm. Jednak tak już mówiłam: mamy prawo do zachowania swoich przekonań. Każdy człowiek to istota niepowtarzalna, nieszablona. Wydaje się więc, że powinniśmy być bardziej tolerancyjni dla siebie.

Zachwycajmy się dobrą poezją i literaturą, bo z tego co zrobimy źle i co złe w nas, sądzić nas będzie kiedyś Ktoś Inny. ❦

Zbigniew Kresowaty

Miłosz wtrącony do czyścica

Kiedy „robilem” rozmowę z rodzoną córką Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego – Kirą Gałczyńską i postawiłem tezę, że jego okres czekania w czyścicu już minął, a inni jeszcze czekają. Nie chodziło mi wcale o literaturę w tak zwany okres totalitaryzmu, a jedynie o obiektywny fakt, że po śmierci każdy twórca „z nazwiskiem” musi swoje odczekać, żeby wejść jako zweryfikowany, na Parnas. Najdłużej czekał w owym „czyścicu” musza ci, którzy byli kontrowersyjni, niepokorni, lub tak zwani „twórcy zaangażowani”.

Jak spojrzeć na dyskusję toczącą się w „Akanicie” wokół Czesława Miłosza, to można powiedzieć, że dostał się on już do „czyścica” za życia i może patrzeć na ten proces własnymi, żywymi jeszcze oczami. Autor „Gucia zaczarowanego” nie ma wcale zamiaru umierać, lecz dalej dowodzi logiki swego myślenia. Nic lepszego sobie nie można wymarzyć za życia – taki „czyścic”.

Po ogłoszeniu „Traktatu teologicznego” w „Tygodniku Powszechnym” w roku 2001, zaczęły się dyskusje nad zawartością i tezami tego tekstu, jak również moralnością poety. Najdrowsza to więc relacja – druk poematu, który poruszyły krytykę i myślicieli. Zabierali się za interpretacje tego utworu różnej maści krytycy, zgola inne wnioski wyciągając dla poszukiwania miejsca dla poety, który jasno mówi o tym, iż mogłoby to być tylko poszukiwanie siebie, ale głównie tożsamości twórczej, która przebiega na pograniczu kultur.

Patrząc jednak na wszelkie polemiki w „Akanicie” wywołane książką Joanny Salamon, Marianny Bocian i Eryka Ostrowskiego pt. „O ukrytych nurtach w polskiej literaturze. Ostatnia rozmowa z Joanną Salamon” wydaną w Oficynie Wydawniczej „Atut”, wcale nie zamierzam brać C. Miłosza w obronę ani ganić tych trojga, lecz uzmysłowić pragnę co następuje:

„Myślę, że należy więcej mówić o odpowiedzialności za słowo, czego zawsze pilnowała Marianna Bocian. Tyle, że ta odpowiedzialność powinna dotyczyć obydwu stron. Zarówno tego, który wypowiada określone słowa, jak i tego, który je ripostuje lub krytykuje, zwłaszcza, gdy ów proces zachodzi publicznie”.

Czy sprawa „nalatywania” na Czesława Miłosza nie jest w tym kontekście trochę podejrzana?

Zastanówmy się, dlaczego tylu zajadłych przeciwników, różnej opcji, ma dziś żyjący jeszcze noblista?

Sprawa wydaje się jakby uzasadniona, gdyż autor „Doliny Issy” pozostał pewną instytucją dla Polaków. Wiele esejów, traktatów, rozpraw napisał i – jak nam wiadomo – wszystkie budziły odmienne interpretacje. I dobrze, bo każde twory mistrza są ważne. C. Miłosz wiele razy oświadczał, że wciąż poszukuje własnego miejsca i przeciw ma do tego najświętsze prawo, tak jak ma prawo do wypowiedziania własnych opinii, gdyż jest osobą publiczną. Być może dlatego też wiele pamięta się Czesławowi Miłoszowi. Zarzuca się mu to, że jest ateistą – w co on sam wątpi, że (to on) powinien osiedlić się w Wilnie, że język poety dotyka pogańskiego, że autor klóci się z Bogiem, że Nobla ówczesnego powinien zafasować Zbigniew Herbert – jakby czystszy i bardziej przejrzysty.

Być może, że C. Miłosz oznajmia pewne rzeczy wprost: że na przykład chrześcijaństwo na Litwie wprowadzali równocześnie Krzyżacy i Polacy. Autor „Traktatu moralnego”, który był też trochę „poczerwieniony” miał trudny okres, gdy nie mógł zdecydować się na emigrację i właśnie w Paryżu, u J. Giedroycia został nawrócony. Noblista zajmuje się dziś wieszczami i dotyka ich (Sło-

wackiego, Mickiewicza), którzy są wciąż świętościami dla pobitej Polski. Robi aluzje do ich liberalizmu, wyszukuje banały w ich twórczości.

Autor „Pieska przydrożnego” wiele razy odpowiadał na zarzuty, w tym i na „Traktat” w TV, a nawet naigrywał się z dziennikarzy, którzy nie rozumeli o co w jego twórczości idzie. Czasem na głupie pytania padała kpiąco głupia odpowiedź. Wiemy, że W. Gombrowicz pisał, iż C. Miłosz lubi „zacierać kontury”. Ale na Boga, każdemu to wolno! Niech każdy twórca biorący udział w pogoni za „lisją kitą” spojrz na siebie, na swoją twórczość, gdyż często jest ona pomazana i przesadnie inspirowana przez mistrzów.

Wielu pisało i pisze – ot, tak sobie, żeby ponarzekać, bo inni się odważyli. Inni zaś chcą pohulajgębować, popuć do miski mistrza. Autor „Piosenki o końcu świata” prosi natomiast o odrzucenie kulturowa, bryzy banałności, stawiając się w rzędzie spadkobiercy Nowej Niepodległości. Przepraszam, nie chcę tu być cmokierem, lecz naprawdę w polemikach na temat Noblisty znajduję wiele złości i pisanie w pustę (sic!), gdyż często wywody te nie są poparte rzetelną wiedzą. Są to nierzadko ogólniki, czepianie się nogawicy, palca, nic konstruktywnego. Są to jakieś pojękiwania, ryki, machania paluchem przed nosem, gwizdy. Na przykład Tadeusz Lira-Sliwa („Akant” 2003, nr 8, s. 18) tylko wymienił pewne rzeczy, podotykał laseczką, coś przyznał, coś zabrał, czegoś nie dokończył i poszedł sobie „na piwo”.

Śmiem twierdzić, zresztą jak jeszcze wielu innych, że żadnym „ukrytym nurtem w polskiej literaturze” nie jest tu, rozbierany na cząsteczki, „Traktat teologiczny”. Między innymi powiedział to jasno Stefan Pastuszewski, odrzucając tezę autorów książki pt. „O ukrytych nurtach w polskiej literaturze”. Przy tej okazji, panie Stefanie, chcę utrzymać się przy swoim stwierdzeniu, że dzieło trojga jest kontrowersyjne, gdyż wyzwała wiele różnych racji. Kontrowersyjne – znaczy: pełne różnic zdań, rozbieżności sądów, budzące spór. Ażeby nie być gołosłownym sięgnąłem do „Słownika Wyrazów Obcych” W. Kopalińskiego (str. 231), gdzie jest tam takie właśnie odniesienie. Gdy mówiłem o tym, żyjącej jeszcze poecie i krytykowi Mariannie Bocian, to usłyszałem: - „Mnie o to idzie, Kochany Pędzelku, żeby była nareszcie dobra dyskusja...”

Gdy W. Gombrowicz ostrzega przed C. Miłozem, to nie wie, że kiedyś to Miłosz otrzyma Nobla. Były to zresztą rozgrywki środowiska, oparte głównie na animozjach. Wzajemnie przecież sobie zagrażali, rywalizowali ze sobą. Wtedy wiele może padać dygresji, pomówień, oczernień. Bo Gombrowicz lubił wylewać na cyników i hazardzistów wodę, w której umywał nogi. Zawsze potwarzam, że tylko kontrowersyjna twórczość i jej autorzy pozostaną w literaturze, gdyż wciąż będzie o nich się mówić jak o żydostwie (sami Żydzi tego pragną i chcą być umęczani). To autor „Ferdýdurke” ongiś pozwolił sobie jako kontrowersyjny pisarz napisać fenomenalną szkic „Przećiw poetom”, który cytuję T. Lira-Sliwa: „Zbyt łatwo zaiste poświęcamy na tych ołtarzach autentyczność i wagę naszego istnienia”. A także „Przećiw rozdrobieniu już się zaczęło, znowu dało się we znaki”

Rozdrobienie jest dziś przeogromne, różne interpretacje: co komu wygodne...

Miłosz nie pisał nigdy i nie pisze dla tłumu. Miłosz pisze dla intelektu i siebie w nim poszukuje. Jednakże dyscyplina eliminacji wzrasta w miarę, gdy podnosi się czynnik zagrożenia, czynnik agresji środowisk, i arogancja tych środowisk. A tu idzie przecież o tolerancję dla rozumu... I doprawdy, zachodzić w rozumy trzeba, skąd się bierze ta duma poetów oraz krytyków, „jeżeli wstyd im nieraz, że widać ich słabość”?

Nie tyczy się to książki krytycznej M. Bocian i E. Ostrowskiego i J. Salamon. Ta publikacja jest ważna choćby dlatego, że jasno określa tropy myślenia twórczego, sugeruje i przywołuje zdrową dyskusję na poziomie dokonania obu stron oraz pokazuje ich stan wiedzy. ❦

Halina Gawenda

Zaduszki Poetyckie

Zaduszki Poetyckie zostały zaprezentowane w 2002 roku przez uczniów drugiej i trzeciej klasy gimnazjum w Kawiarence Literackiej, działającej przy Gminno-Miejskim Ośrodku Kultury w Jabłonowie Pomorskim. Dołączyliśmy do szerokiego grona ludzi, którzy w wielu najróżniejszych miejscach naszego kraju poświęcają listopadowy wieczór na refleksje o życiu i śmierci, na wspomnienie tych, którzy poprzedzili nas w drodze do wieczności.

W programie wystąpiło dziewięć osób, przygotowanych na zajęciach kółka recytatorskiego. Uczniowie (ubrani na czarno) nie musieli znać tekstów na pamięć - każdy miał je przed sobą w czarnym skoroszycie.

Ważną część spektaklu stanowiła dekoracja. Na stolikach ustawiono srebrne miseczki. W nich, na wodzie, unosiły się białe chryzantemy przybrane zielenią, a w środku stał zapalony znicz. Na tablicy obitej srebrną folią zostały umieszczone klepsydry z cytatami z recytowanych utworów, np. „Życie, choćby i długie, zawsze będzie krótkie”, „Nie bądź pewny, że czas masz, bo pewność niepewna”, „Ten pierwotny błąd każdy z nas musi odkupić sam”, itd.

Program poprzedzono i zakończono odtworzeniem kilku utworów muzycznych o charakterze elegijnym.

Sam pomysł powstania Kawiarenki Literackiej zrodził się dwa lata temu. Wpłynęło na to kilka okoliczności. Przede wszystkim potrzeba poznawania i upowszechniania literatury współczesnej, zwłaszcza współczesnej poezji i twór-

ców regionalnych, jako przeciwwagi dla wszechobecnej kultury masowej.

Propozycja otwarcia kawiarenki została przyjęta z życzliwością przez dyrektora Domu Kultury - Barbarę Alfut, która zajęła się stroną organizacyjną spotkań. Wreszcie nie bez znaczenia był fakt, że Biblioteka Publiczna otrzymała nową siedzibę, więc wolne pomieszczenie w Domu Kultury można było wykorzystać właśnie na kawiarenkę.

Spotkania w niej odbywają się w sposób nieregularny, ale jest ich zwykle kilka w ciągu roku. Jedną z form działalności jest kontakt z artystami. Do tej pory gościliśmy między innymi: autorkę tekstów piosenek (i nie tylko) - Aleksandrę Bacińską, aktorkę Teatru im. W. Horzycy w Toruniu - Zofię Melechówną, poetę i jednocześnie

profesora Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego - Zbigniewa Chojnowskiego, artystę rzeźbiarza - Jakuba Matejkowskiego.

Oprócz wieczornych spotkań artystów z dorosłymi mieszkańcami Jabłonowa Pomorskiego odbywają się spotkania - lekcje dla młodzieży gimnazjalnej. Młodzież przygotowuje niektóre spotkania, jak wspomniane wyżej Zaduszki Poetyckie, Wieczór rzymski, czy też Wariacje na temat miłości. Wszystkie łączy jedno - oparcie się na literaturze pięknej, na utworach poetów współczesnych. Animatorzy zachęcają młodych ludzi do czytania, a poprzez rozmowy i dyskusje rozwijają umiejętność interpretacji i recytacji.■

Na zdjęciu: Zaduszki poetyckie w Jabłonowie Pomorskim



Marek Czuku

Książki nowe...

1. KRZYSZTOF KUCZKOWSKI: „Tlen”. Biblioteka „Toposu”, Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, Sopot 2003.

Dziesiąty zbiór założyciela i redaktora naczelnego „Toposu”. Wiersze te można najkrócej określić jako metafizyczne, a nawet - religijne. Miarą odniesienia dla autora (a potencjalnie i dla czytelnika) jest niebo; wobec zła tego świata i boleśnie doświadczanego przemijania. Ten swoisty radykalizm uwiarygadniają liczne odniesienia biblijne, jak i taka mała literacka angelologia (przemawiają tu anioły Rilkego, Kafki, Mertona, Oskara Wilde'a, Becketta, Ety Hillesuma). Tytułowy tlen daje nam oddech, ale jednocześnie spala.

2. „Magia Łodzi”. Zdjęcia, projekt i opr. graf.: Katarzyna Rajch. Wybór wierszy, redakcja: Krzysztof Smoczyk. Akademia Sztuk Pięknych im. Władysława Strzemińskiego, Łódź 2003.

Album jest realizacją pracy dyplomowej, prowadzonej pod kierunkiem prof. Stanisława Łabęckiego w Pracowni Projektowania Grafiki Wydawniczej. W „pejzaże urbanistyczne” Łodzi, wykonane kamerą otworkową, młoda artystka, Katarzyna Rajch, wplotła utwory ośmiorga łódzkich poetów (m.in. Lucyny Skompskiej, Jerzego Jarniewicza, Krzysztofa Smoczyka). Wydawnictwo bibliofilskie; poszukiwany jest sponsor większego nakładu.

3. MARIA SIWIŃSKA: „Z progów ojczy- stych”. [Nakładem własnym autorki], Łódź 2003.

Szósty tomik pisarki starszego pokolenia, z pochodzenia wilnianki, która od lat mieszka i tworzy w Łodzi. Wiersze proste, zwrócone ku człowiekowi, pięknu, Bogu. Mowa ojczyzna, rodzinny dom, pamięć o minionych pokoleniach - to częste

elementy tej pełnej nadziei poezji, a zarazem trwale wyznaczniki naszej tożsamości.

4. WANDA WACHOWICZ: „Barwy życia”. Literackie Studio Wydawnicze MEYN, Stryków 2003.

Debiut prozatorski autorki z Radomska, zawierający trzy opowiadania, nowelę i wspomnienia. Pierwowzorami jej bohaterów są autentyczne postacie, które walcząc z przeciwnościami losu, zachowują swoisty stosunek do Boga, przyrody, tradycji, a także innych ludzi. W 2001 ukazał się pierwszy tomik wierszy Wandy Wachowicz „Magia wiary”. Jest ona również laureatką kilku konkursów literackich.

5. HANNA MARIA MALIK: „Galop”. Bałucki Ośrodek Kultury RONDO, Łódź 2003.

Ten drugi arkusz szesnastoletniej autorki potwierdza jej literacki rozwój. „Wiersze stały się bardziej intymne, nie tracąc nic ze swojej poetyckiej inscenizacji. Swoista teatralizacja, fabularyzacja narracji ujawnia się najwyraźniej poprzez motyw aniołów, które symbolizują śmierć, życie, miłość” [z posłowania Danieli Zajączkowskiej].

... i nieco starsze

1. „Literatura polska 1990-2000” pod red. Tomasza Cieślaka i Krystyny Pietrych. Tom 1 i 2. Wydawnictwo Zielona Sowa, Kraków 2002.

Studia i szkice będące plonem ogólnopolskiej konferencji naukowej, która odbyła się na Uniwersytecie Łódzkim w marcu 2001. Spotkali się na niej badacze literatury z niemal wszystkich ośrodków akademickich w kraju; różni wiekiem, dorobkiem i metodami naukowymi. W publikacji pojawiają się obok siebie poeci i prozaicy debiutujący w latach dziewięćdziesiątych, jak i ich literaccy „ojcowie” i „dziadowie”. Prace te są próbą odpowiedzi na pytanie o przełom w naszej literaturze, jaki dokonał się w ostatniej dekadzie ubiegłego wieku.

2. MAREK PAWLIKOWSKI: „Proporzec Don Kiszota”. Wydawnictwo „M”, Kraków 2002.

Drugi zbiór wierszy profesora endokrynologii, byłego rektora Akademii Medycznej w Łodzi. Poetyckie refleksje dotyczą przemijania czasu, znikomości ludzkiej egzystencji oraz kryzysu wartości przełomu wieków (*Uczyłeś nas sztuki / bycia dobrym / Ale dziś / to już zupełnie niemodne - „Do Kornela Makuszyńskiego”; Rdza przeżarła pospół / nasze starożytne przesady / jak i nasze / postępowe złudy - „Titanic”).*

3. MACIEJ CHOLEWIŃSKI: „Zima w pa- ła- cu Grohmana”. M.COLOR, Łódź 2000.

Książka nietypowa, „wydanie pierwsze - niedbale”. Zbiór tekstów - impresji dokumentujących życie artystyczne Łodzi ostatniej dekady XX wieku (większość z nich publikowała „Gazeta Wyborcza”). Autor nie kryje swoich sympatii do zjawisk awangardowych i alternatywnych (a czasem nawet kontrowersyjnych), jak performance, Wspólnota Leeież, Łódź Kaliska, Konstrukcja w Procesie czy ruch rave. Drugi rozdział to zatrzymane w kadrze - kamienica po kamienicy - obrazki przedwojennej ulicy Nawrot. Wydawnictwu patronuje Muzeum Artystów.

4. ZOFIA DWORZAŃSKA: „Paleta fra- szek”. Miniatura, Kraków 2001. ZOFIA DWORZAŃSKA: „Symfonia myśli”. Miniatura, Kraków 2002.

Choć fraszki te odwołują się do, jakże nadal deficytowych, wyższych wartości, brak tu taniego moralizowania i łatwego dydaktyzmu. Charakteryzują się one ciepłem i radością przeżywania każdej chwili. Autorka mieszka w Krakowie i jest kuzynką Jana Sztudyngera.

5. STEFAN DYNAR: „Z kapownika poli- tyka”. [Express Poligraficzny, Łódź 2002].

Zbiór satyrycznych fraszek łódzkiego poety, ukrywającego się pod pseudonimem. Oto jedna z nich: *Między sejmu kadencjami / siedzą posły za kratkami („Kwarantanna”).*

Stanisław Chyczyński

Kosmiczny ogród w Milanówku

Sławny neoklasycysta, JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ aż trzy lata czekał czekać swym zwolennikom na kolejną książkę poetycką. Najwidoczniej imperatyw częstych, corocznych publikacji jest Mistrzowi obcy – i słusznie: nadprodukcja literacka to główna przyczyna inflacji słowa. Autentycznym poetą nie jest ten, kto co dzień pisze wiersze, ale ten, kto umie to czynić naprawdę dobrze. W tym świetle należy postrzegać „Zachód słońca w Milanówku”, który uzyskał Literacką Nagrodę „Nike 2002” w 2003 roku.

Gros wierszy w nim pomieszczonej dotyczy przestrzeni człowiekowi najbliższej: domu, ogrodu, świata tuż za płotem. Zdawać by się mogło, że są to miejsca „autochtonowi” dobrze znane, oswojone, więc bezpieczne, przewidywalne, pomocne. Rychło jednak okazuje się, iż ogród – zgodnie z wielowiekową tradycją – jest symbolem polisemantycznym, określającym przestrzeń szczególnie – rozpoznaną i tajemniczą zarazem. Znaczenie metaforyczne tego pojęcia pozwala widzieć w nim poetyckie miano Kosmosu, Wszechświata, Uniwersum. Per analogiam ogród może być także mikrokosmosem, więc modelem, w którym odbijają się wszelkie relacje istotne dla harmonijnego funkcjonowania makrostruktury. W takim ujęciu efemeryczny żywot np. kreta czy jeża staje się analogonem przemijalnego istnienia w ogóle, zaś dramat małego zwierzaka urasta do rangi ponadgatunkowej „sytuacji granicznej” (Jaspers). Poeta bowiem – na mocy artystycznej wizji – dokonuje egzystencjalnego zrównania jestestwa: „Wszyscy tutaj jesteśmy z tej samej gliny” („Ogród w Milanówku, gipsowe krasnale”). Ta świadoma niwelacja różnic wynika z poczucia wspólnoty losów, obejmującej bytowanie roślin, zwierząt i ludzi. Biologicznie zróżnicowane stworzenia są równe nie tylko wobec śmierci, ale też w obliczu Stwórcy: „I jeż do Boga – też się stąd dojsz stara” („Ogród

w Milanówku, pieśń nocnego wędrowca”). To jakby dalekie echa Leśmianowskiego panteizmu, natomiast sformułowanie „Chodź bury kocie tyś z ludzkiego rodu” (i.b.) zakrawa już na przejaw franciszkańskiej sympatii dla naszych „braci mniejszych”. Realistycznym wymiarem takiej postawy może być w wielu domach traktowanie czworonożnych ulubieńców jak pełnoprawnych domowników (dotyczy to z pewnością kociej pary, *Psołki i Żółtka*, czyli milusińskich samego poety).

Wspólnota losów zwierzęcych i ludzkich przejawia się ponadto w paralelnym poszukiwaniu Pana Zastępców, który zwykł się ukrywać i uparcie milczeć. Wszelako Jarosław M. Rymkiewicz wyraża nadzieję na raczej incydentalne z Nim spotkanie „Ja na to liczę że Bóg tu się zbląka” (i.b.), skoro teologia nie gwarantuje podmiotowi dążącemu do Wiedzy satysfakcjonujących odkryć. Prędzej filozofia mogłaby rzucić więcej światła na odwieczną tajemnicę bytu, stąd nierzadkie w poezji autora „Metafizyki” aluzje do myśli filozoficznej (tutaj: Pascala, Husserla, Heideggera). Ale opasłe traktaty największych filozofów poeta traktuje z ostentacyjnym przymrużeniem oka:

Na szafie siedzi kot uczony
I czyta „Sein und Zeit” od końca

(„Zima w Milanówku”)

Ewidentna humorystyczność podejścia do problemów metafizycznych zdaje się rzutować na generalną ocenę intelektualnego potencjału homo sapiens (por. niemal sarkastyczny wiersz „Co zostało z Pascala”). Nie bez kozery zatem ontologiczne rozważania zawarte w wierszach Rymkiewicza nie prowadzą do koherentnych i ultymatywnych konkluzji, co ujawniało się już w poprzednim tomie „Znak niejasny, baśń półżywa”.

Jakby wbrew Gadamerowi autor „Porwania Europy” nie przypisuje mowie związanej wyjątkowych możliwości gnoseologiczno-deskrypcyjnych, skoro zarzuca poetom, że „był z niebytem myślą” („Kosmiczny walc Johannes Brahmsa”). Muszą być tedyż umysłami niezwykle skłonny do „mnożenia bytów ponad konieczność” (Ockham). A ponieważ nie są specjalistami w zakresie myślenia

dyskursywnego, trudno od nich żądać ścisłości terminologicznej i teorii twórczej konsekwencji. Przykłady artystycznego hipostazowania możemy znaleźć w samej poezji Rymkiewicza, ot choćby w wyrażeniach: „Jest cośś bluszczu pokrzyw są inne nicoście” („Ogród w Milanówku, gipsowe krasnale”). Niewątpliwie kreacyjnym zapędem Mistrza patronuje – uwielbiający słowne igraszki – Leśmian. O ile pod względem stricte estetycznym analogiczne koncepty są efektowne, o tyle pod względem heurystycznym nie są efektywne...

Pojęciami kluczowymi dla zrozumienia utworów w zbiorze „Zachód słońca w Milanówku” okazuje się zestawienie dwóch komplementarnych kategorii ontologicznych: bytu (vel istnienia) i nicości. Istnienie, nawet jako fenomen przyrodzony, wymyka się wszelkim próbom pozaintuicyjnej obróbki, czego wyrazem staje się ukonkretnienie świadomego oglądu rzeczywistości – ów hiperrealistyczny skrót z jakim mieliśmy do czynienia np. w zbiorze poprzednim. Również pojęcie nicości jawi się jako coś nieuchwytnego i niewyrażalnego, a jego symbolicznym desygnatem pozostaje od lat... dziura w płocie. Trywialny brak ciągłości w płaszczyźnie może symbolizować tutaj metafizyczne Wrota, prowadzące do światów alternatywnych albo do enigmatycznego Antyświata. U podłoża filozoficznych dociekań Jarosława Marka Rymkiewicza zdaje się leżeć przeświadczenie o symetrii światów równoległych lub o ukrytej harmonii Kosmosu, którymi – ze względu na barierę agnostyczną – nie sposób delektować się bez zasadnych obiekcji.

Ironizujący pesymizm, wyraźna redukcja pierwiastków turpistycznych oraz zadziwiająca nagromadzenie refleksji epistemologiczno-ontologicznych świadczą o tym, iż „Zachód słońca w Milanówku” jest „prostoliniową” kontynuacją poprzednich zbiorów poetyckich Rymkiewicza, a zwłaszcza „Znaku niejasnego, baśni półżywej”. Niezbitym tego dowodem są wielokrotnie ponawiane próby uwiecznienia tego samego motywu: ogrodu w Milanówku (!).

Jarosław Marek Rymkiewicz, *Zachód słońca w Milanówku*, Wydawnictwo „Sic!”, Warszawa 2002, ss. 66.

Rafał Orlewski

Czysty akord wierszy

Zdaniem JOLANTY KIZYMY-PIĄTKOWSKIEJ, autorki tego zbioru wierszy – poezja „To akord istnienia”. Z tego zwrotu wziął się tytuł tomiku, słusznie skrócony nie tylko dla filologicznej specyfiki tytułowania wierszy czy książek. „Akord istnienia” jest sformułowaniem szerszym i głębszym znaczeniowo niż ww. zwrot: w wierszu autorka definiuje poezję jako zespół wartości służących życiu. Natomiast tytuł książki oznacza, że nasze życie (istnienie) jest akordem wielu spraw, zjawisk, przeżyć itd., poezja zaś ma artystycznie je wyrażać.

Takie też zadanie postawia sobie Jolanta, będąca dla mnie wciąż jakby licealistką sprzed lat, w której odkryłem niebanalny „ciąg” do poezji, co zresztą od razu się potwierdziło kilkoma nagrodami w konkursach oraz prasowym debiutem poetyckim (1981). Po latach autorka pojawiła się w „Zakolu” (klubie, który od 1996 r. służy adeptom pióra), a dziś jest także członkiem „Pomostów” (grupujących autorów co najmniej po debiucie książkowym).

Jak zatem poetka obrazuje ów „akord istnienia”? Jak na debiut – dojrzałe, ale od debiutu prasowego do książkowego upłynęło... dwadzieścia lat. Poeci polscy tych czasów wiedzą aż nadto dotkliwie, skąd się biorą takie anomalie. Przykład: Zbigniew Jerzyna dopiero po jedenastu latach mitregi wydał śliczny tomik wierszy dla dzieci „Czarne oczy wiśni” (2001). Więc, dojrzałe i do-

rodnie. Nie uduziwnia, nie szuka sztucznych czy pretensjonalnych metafor, nie gmatwa treści lirycznej. Operuje naturalną, a przecież artystyczną prostotą, jak w wierszu dla matki: „Zachłystnęła się życiem/ Orzekli lekarze/ Za dużo życia w siebie wzięła/ Nie miało ujęcia/ Umarła”. Albo portretując wierzbe: „Przełgda się w lustrze stawu/ Smutna jesienna pani”. Z dystansem do świata i własnych doświadczeń – oto jeden z kluczy do poezji.

Nawet wiersze o miłości, są jak życie – pełne raczej smutnych i bolesnych kontrastów. Poranna rosa milczy, w wędrownce do siebie zakłęta jest pokuta, bliscy są sobie obcy, choć ziemia potrzebuje słońca... „Dniu mój codzienny/ Dlaczego nie słońcem/ Lecz burzą mnie witasz” – pyta autorka nie tylko o codzienność, lecz o różne składniki istnienia łącznie z jego sensem, z egzystencjalnym lękiem i metafizyczną niewiadomą. Poetka wie, że twórczość ma właśnie pytać i wątpić. To też jej zbiorów jest także akordem pytań, nawet jeśli autorka nie formułuje ich wprost, a ukrywa między wierszami lub w podtekście. „Nie pytać znaczy pytać wcięż” – czytamy w jednym z wierszy i uświadamiamy bądź przypominamy sobie, że im więcej odkryć dokonuje człowiek, tym więcej niewiadomych przed nim.

Jednak poeta, jak prawdziwy żołnierz, nie składa broni. Czytamy w *Credo*: „Nie rozmięję/ Na drobne/ Tego co kocham (...)” i choć tylko „Cząstkę zieloności/ Wyszepczę/ Jednak JESTEM”. Zieleń – tradycyjny symbol nadziei, więc chociaż akord życia jest gorzki, „Nieba z dołu prawie nie widać”, a „Dla pieniędzy wyrzekamy się człowieczeństwa”, to „Każdy dzień/ Chwałę linijkę wiersza”. Poezja bowiem nie jest sama dla siebie, ona również współtworzy akord istnienia; o ileż wtedy bogatszy ten akord!

Zaprezentować refleksyjnie ten tomik, jego

przesłanie i często urzekającą poetykę, to napisać spore studium. Najlepiej jednak przeczytać te wiersze, wtedy je poznamy, co zaś ważniejsze – odczujemy. Ale chcę jeszcze zwrócić uwagę na wiersze z dedykacjami: matce, ojcu, mężowi córce, innym i... mnie. Czy łatwo sobie wyobrazić, że początkująca poetka aplikuje mi, swemu (przynajmniej wówczas) mistrzowi taką oto radę: „Nie myśl o dniu nieudanym/ Pomysł że idziesz dalej/ niż sięga ludzkie oko”. Co za psychologiczne wycucie nastolatki sprzed matury! Cały ten wiersz składa się z takich wskazań. Oczywiście, każdy może ten utwór odnieść do siebie, ale jego adresat wie, że inspiracją wiersza była jego konkretna sytuacja życiowa.

Jolanta Kizyma-Piątkowska długo czekała na wejście do rodziny poetów. Ale wkroczyła do niej tak, jak się zapowiadała, np. w jednym z najwcześniejszych wierszy:

Słyszysz znowu głos dzwonek daleki
Szumią płozy na syrkim śniegu
konie widzę tak samo brązowe
Jak twe oczy tamtej białej zimy

Powracają znajome pola
Lasek czerni się jak kiedyś w dali
Tylko zima już nie taka mroźna
Tylko sanie za śnieg nas nie noszą

Poecie i czytelnikom jej wierszy wypada życzyć, aby ten czysty akord powiększył się o następne tak czyste tony.

Jolanta Kizyma-Piątkowska, *AKORD ISTNIENIA*, Miejski Ośrodek Kultury, Piotrków Trybunalski 2002, ss. 64

Janusz Orlikowski

Goethe wciąż współczesny

Z dużą dozą przyjemności przyjąłem pozycję Instytutu Wydawniczego „Świadectwo” pt. „Sonety i inne wiersze” JOHANNA WOLFGANGA GOETHEGO. Ta druga, po Heinricha Heine „Wiersze”, książka wydana w rodzącej się serii „Biblioteka Klasyków („Akant” 2003, nr 6, s. 41).

I podobnie jak tam, autorem wyboru przekładu jest ANTONI SKIBIŃSKI, który, w słowie „Od tłumacza”, przypomina sylwetkę najwybitniejszego poety niemieckiego romantyzmu. Łamie trochę stereotyp pojmowania tej epoki, w tym twórczości Goethego, do czego i ja, zgodnie z tendencją autora, pozwolę sobie dołożyć słów kilka.

W Niemczech romantyzm rozwijał się w nawiązaniu do tendencji charakterystycznych dla *Sturm und Drang*, preromantycznego nurtu literackiego o dążeniach opozycyjnych wobec klasycznego racjonalizmu, uznając uczucie i intuicję za podstawowe źródło poznania i twórczości, głosząc wyższość geniuszu i swobodnej wyobraźni nad regułami i autorytetami. Postulował oryginalność sztuki mającej odwoływać się do natury oraz źródeł narodowych i ludowych.

Jak to pojmuje Goethe? W wierszu „Sztuka i natura”, drugim w omawianym w zbiorze, czytamy: „Bo kiedy duch w istotę świata wnika, / Objawia mu się cała romantyka. / Sztuka z naturą równo żyje we mnie”. A dalej: „Ograniczona jest natura sama; / Mistrzem jest ten kto zna swe możliwości; / Wolność jest tylko w ustalonych ramach”.

A więc nic z wariackich, szumnych romantycznych porywów! Raczej spokój i rozważa.

Jak jednak mają się do tego „Cierpienia młodego Wertera”, model postawy bohatera, a zarazem wzór zachowań, utrwalonych w literaturze i obyczajowości końca XVIII wieku i pierwszej ćwierci XIX, którego zasadniczymi składnikami były wybujała uczuciowość, widzenie świata przez pryzmat marzeń, niezgoda na konwencje obyczajowe i moralne, czemu towarzyszyło poczucie bezcelowości życia, ból istnienia, kulminujące się w geście samobójczym?

Znane są z opisów historii literatury niebieskie fraki masowo noszone na pamiątkę nieszczęsnego młodzieńca, fale samobójstw pod wpływem pierwszego wrażenia z lektury. To była owa sztampa, kiepska, jak dziś twierdzimy, moda. Kobiety poily się octem, specjalnie nie spały w nocy, aby za dnia mieć odpowiednio bladą, jakby przesyta cierpieniem twarz. I w tym miał tkwić urok.

Goethe musiał być tym przerażony. Być może dlatego 36 lat po wydaniu „Cierpienia młodego Wertera”, w roku 1809 ukazały się „Powinowactwa z wyboru”. Rzecz bardziej intelektualnej niż emocjonalnej natury; o miłości żonatego i do tego pięćdziesięcioletniego (wtedy to był już starzec) mężczyzny do młodej dziewczyny. Edward i Otylia darzą się uczuciem wzajemnym, ale co najważniejsze – małżeństwo Edwarda jest przecież udane. Goethe jednak tej miłości nie potępia i nie stara się szukać dla niej żadnych usprawiedliwień. Dla czytelników to szok. Goethe mówi tak: „Miłością rządzą te same prawa, co chemią, czy fizyką”.

„Powinowactwa z wyboru” potwierdzają racjonalizm poety. Tłumacz omawianego wyboru „Sonety i inne wiersze”, w postłowie pisze: „Sam poeta określał często siebie jako realiste, razity go skrajnie irracjonalne prądy romantyczne – subiektywizm, brak harmonii”. I tak, jak napisał A. Skibiński, jest w istocie. W twórczości Goethego da się bowiem wyróżnić dwie najistotniejsze dla poety harmonie: sztuka – natura, życie – miłość. Dążenie do nich jest najistotniejsze. Prawie każdy wiersz o tym przypomina, ku temu się zwraca. Stąd polemika z Petrarą, dla którego piękny głos zza zasłony stał się doskonałym kształtem miłości. Goethe pisze: „Petrarce Wielki Piątek ten pamięt-

ny/ Zamieszkał w sercu na zawsze – głęboko” i „Miłość Petrarki, choć czuła i wzniósła, / Nie nagrodzona była i żalosna - / Nigdy się nie kończy Wielki Piątek.” O podmiocie swych wierszy natomiast, w opozycji:

„Mnie zakwitło szczęście w wonnym maju,
Gdy czułe serca gorąco kochają,
Bez końca jest ten maj, choć miał początek”.

Maj Goethego „ma początek”, jest realny, nie jest postacią z za zasłony czyli imaginacją, miłosnym marzeniem o doskonałości. A, że z tą realnością są czasem kłopoty, stąd wachlarz miłosnych zdarzeń, wzajemnych relacji kobieta – mężczyzna. W wierszach poety czasem przybierają one postać humorystyczną, żartobliwą. W sonecie „Dziewczyna mówi” czytamy na przykład:

„Kiedy tak stoisz w bezruchu przede mną
Przy tej postaci wykutej w marmurze,
Pytam się, który będzie milczeć dłużej,
Choć twarz z kamienia chyba jest mniej senna”.

Chłopak na widok pięknej dziewczyny zaniemówił. Zamurowało człowieka na amen. Ona jednak się tym zbyt nie przejmuje. Wtajemniczeni wiedzą, że to przecież miód na jej serce. Dlatego też w końcowej sekwencji wiersza czytamy:

„Znudziła mi się do głuchego mowa:
Będę całować kochanka z kamienia
Tak długo, aż odwrziesz mnie od niego”.

Wiersz „Różne pogrózki” przytoczę w całości, bo krótki, a jakby z drugiego bieguna:

„Raz za dziewczyną wszedłem w las,
Tam gdzie najgęstsze jest poszycie;
Objąłem krasawicę w pas,
A ona grozi: << Będę krzyżeć >>

Zawolałem: << Zabiję drania,
Co nam zabawę popsuć zechce >>
A ona usta mi zasłania:
<< Cicho, bo ktoś usłyszy jeszcze >>”

Takich wierszy w książce „Sonety i inne wiersze” J. W. Goethego jest wiele. Współcześnie wszystkim czyta się znakomicie. Podobnie te o twórczości, a więc relacji: sztuka – natura. Bo czyż nie brzmią aktualnie wersy („Wyznanie”):

„Bo gdy poeta w zapale świętym
wiersz spłodzi, tak jest tym przejęty,
Że niezwołownie, nie czekając,
Chciałby światu go przedstawić;
Każdemu go czyta nie pytając
Czy go męczy, czy też bawi”.

W wierszu „Genialne zajęcia” porównuje się z uczniem i następcą Antystenesa, założyciela greckiej szkoły filozoficznej cyników, Diogenesa z Synopy, który głosił naukę o wyrzeczeniu się wszelkich dóbr materialnych i ideał życia preferował oparty na zgodności z naturą:

„Tak jak niegdyś ów Diogenes
Toczą swoją beczkę wkoto;
Czasem jest smutno, czasem wesoło,
Raz jest taki, raz inny interes”

Tak i tym podobnie toczył swą beczkę Johann Wolfgang Goethe.

Toczył, lecz w niej nie mieszkał, jak ów filozof. Dóbr materialnych się nie wyzywał, wiódł ogólnie spokojny, racjonalny tryb życia. Stąd też pojawia się u niego aforyzm, jeden z ostatnich tekstów w tłumaczeniach i wyborze Antoniego Skibińskiego:

„Wszystko znieść można na tej ziemi kochanej
Tylko nie pięknych dni ciąg nieprzerwany”.

Dwuwers ten z pewnością budzi kontrowersje. Zwłaszcza dla tych, którzy piękne dni widzą tylko po drugiej stronie szyby. Podobnie nie do zaakceptowania były dla współczesnych Goethego treści pomieszczone we wspomnianej wcześniej książce „Powinowactwa z wyboru”, traktującej o odniesieniu ludzkich skłonności do praw rządzących amoralnym światem. To rzecz wciąż niepokojąca, wciąż nieoswojona. ■

Johann Wolfgang Goethe, Sonety i inne wiersze, wybór i przekład Antoni Skibiński, Bydgoszcz 2003, Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, ss. 134

Stanisław Stanik

Czytanie z piasku

Na spotkaniu autorskim w Domu Literatury w Warszawie, Jan Zdzisław Brudnicki, mówiąc o poezji ANDRZEJA TCHÓRZEWSKIEGO, będącego bohaterem spotkania, wyraził wiele sumujących (na analizę zabrakło czasu) sądów, które podkreślały ewoluowanie poetyki utworów i wybijają się wyraziście biorąc pod uwagę debiut poety i jego najnowszy tomik. „Na piasku chwili”. Tam był język prawie dyskursywny, bezpośredni, dosłowny, tu już – u zwieńczenia dorobku – jawi się gesta metafora, gra słowem (nie na próżno Białoszewski widział w nim swego ucznia), wiązanie motywów intelektem, a nie powierzoną logiką. Przybiegła więc droga poety od prostoty, poetyki niemal nowofalowej, do rozbięcia obrazu, do kondensacji, rozpisanej na różne kondygnacje sztuki poetyckiej.

Dawna dosłowność, linearność przekształcała się w opalizację znaczeń, w gnomę i przemienność obrazów. Jest teraz autor „Wnętrza kwiatu” mniej czytelny niż dawniej, w jakimś sensie bardziej denerwujący w niejednorodności materiału „Akantu”, słowa, którego dla wyrażenia swoich idei używa.

Ale osiągnął już taki poziom swej sztuki, że nie zauważyć go, nie ująć w ciąg zjawisk naszej poezji, nie sposób. Przynajmniej ujawnić i ustawić odpowiednio należy jego pozycję, wiążaną z dziejami grupy pokolenia „Współczesności”. Ma w swych wierszach bunt przeciwko zastanej, szarej rzeczywistości, chęć uniwersalizacji jednostkowych doznań, pragnienie stworzenia od nowa, i stanów, i rzeczy. Nie znaczy to, że nie jest największym globtrotterem poezji polskiej, jej trampelem, który ćwiczył na metaforze i kunsztowności wiersza poetów startujących około 1956 roku, popróbowwał technik nowofalowych i odsunął się gdzieś na bok – ku praktyce wiersza eklektycznego, złożonego z wielu zasad wierszowania.

Podobnie było z polskością A. Tchórzewskiego: wyrastał na języku środowiskowym, przeszedł akademicki (jest z wykształcenia logikiem), a szukając indywidualnego wyrazu czerpał, i z hiszpańskiego, i z włoskiego, i z japońskiego, i z chińskiego, języków, z których tłumaczył, ale nie tylko tych. Dlatego widoczne są tu zwroty obcojęzyczne, obce formy jak haiku, i kultura zapożyczonych cytatów do mott.

I tu już trzeba wkroczyć *in medias res*. Autor „Wnętrza kwiatu” jako pisarz był aktywny szczególnie w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku (wydał pierwszy tom wierszy w paryskiej „Kulturze”, co nie ułatwiło mu życia), potem miał długoletnie przerwy w publikacjach, aż ostatnio znów „ożył”: na przestrzeni trzech lat wydał trzy zbiory poezji. Poezji, trzeba dodać, cenionej i „podglądanej”, ale jak na ironię – zupełnie przemilczanej przez krytykę.

Poezja ta nie jest łatwa, bo znaczenia w niej należy zlepić z krótkich fraz myśli i scen. Ale jest to poezja „myśląca”, bo wymaga zadumy. Zawiera tony polemiki (np. z poetami „Sztuki i Narodu”), niezgody, próby przeorientowania świata na swój sposób. Są w niej – jak zauważono – akcenty aktualności (np. przesłania do poetów Czechenii i Kosowa), wyraziście jest – co znów trzeba podkreślić – przenikanie kultur (bo sama poezja jest kulturowa, korzystająca z dorobku myśli światowej). Są wreszcie odniesienia osobiste, nie tylko egzystencjalne (autor zmaga się z sobą), a za jakąś metaforę dla całej poetyki tej twórczości może służyć dystych z ostatniego z zamieszczonych w tomie wierszy (***): „Wygnyany z kolistego czasu w sens liniowy/ odrzębuję hymny niewidzialnych ptaków”. ■

Andrzej Tchórzewski, Na piasku chwili; Oficyna Wydawnicza „Atut”, Wrocław 2003, ss. 92.

Stefan Pastuszewski

Niezdyscyplinowany jezuita

Nie podoba mi się ta książka. Jest manieryczna. Począwszy od samego tytułu – „Sztuka u Boga”, który wydaje się być kiepską grą słów. (W ogóle autor ma, denerwującą w tekście z natury przeciwko kolokwialnym, skłonność do takiej gry, np. „Może ubycie człowieka to >>ubożenie<<, bycie u Boga”, s. 168).

No i dobór tekstów do omawiania! Głośne, wyświechtane nazwiska, szeroko omawiane tytuły. Wprawdzie autor – JACEK BOLEWSKI we wstępie, zwanym napuszenie „Prologiem”, wyjawia jakby transcendentny charakter takiej a nie innej kwalifikacji („Niektóre z tych postaci nawiedziły mnie wbrew oczekiwaniu, jakby domagając się uwagi”, s. 8), to jednak wyjaśnienie to nie przekonuje. Kamufluje jedynie „rynkowy” charakter dzieła, a może nawet „rynkowy” charakter umysłowości; w pewnym momencie autor całkowicie się obnaża: „Znam tytuły, o których „się mówi” w opiniotwórczych kręgach” (s. 33).

Obecność w tym zbiorze analiz, a raczej dywagacji psychologiczno-duszpasterskich dokonywanych na materiale literackim (autor jest jezuitką wykładawcą antropologii i teologii dogmatycznej na Papieskim Wydziale Teologicznym „Bobolanum” w Warszawie) jest z jednej strony optymistyczna, że literatura aż tak inspiruje, z drugiej drażni, bowiem w większości przypadków literatura służy J. Bolewskiemu jedynie jako pretekst do wygłaszania śmiertelnie długich homilii (Karol Kardynał Wojtyła jako ordynariusz krakowski „gonił” takich kaznodziejskich nudziarzy). Jezuita usiłuje bowiem znaleźć „odniesienia do Stwórcy, najwyższego Autora (...) między wierszami, poza wyobrażeniami” (s. 7).

Nie zamierza dokonać jakiegś sensownej, odpowiadającej na takie czy inne pytania, analizy, czy interpretacji, tylko pisząc chce dotrzeć w „głębsze wymiary, do których inaczej – bez pisania w ogóle by nie dotarli” (s. 8). Zaskakujące, jakże użyteczne, mało pokorne wobec literatury, wykorzystanie słowa! Słowo jako medium niezbyt jasnych praktyk! Przypomina to metodę malarzy hochsztaplerów, rzucających swobodnie pędzlem na płótno, a potem... przypisujących powstałym zestawom kształtów i kolorów „określone znaczenie”.

Zbłądzi więc ten, kto w „Sztuce u Boga” szukać będzie religijnego, a choćby tylko mistyczne-

go wymiaru wybranych utworów. Znajdzie jedynie aż nazbyt swobodne, pełne aż nazbyt zindywidualizowanych ocen (np. „Chyba najwybitniejszy w Polsce poeta młodej generacji – Jacek Podsiadło”, s. 13) „odbicia się” od przypadkowo dobranych utworów w celu... wygłoszenia kolejnego, zazwyczaj monotonnego, bo pełnego powtórzeń i myślowych zawiłości, kazania.

Przyjmując taką metodę pisania, nie – pisanie książki nie dziwi wcale zestawienie twórczości Stefana Chwina i Wisławy Szymborskiej z pisarstwem Karola Wojtyły czy Macieja Kazimierza Sarbiewskiego. Rozgadane go jezuitę wprowadzie trochę drażni ustawienie obok siebie komunizmu i komunii oraz „współbrzmienie idei głoszonych przez Kościół i Partię” (s. 56). w „Krótkiej historii pewnego żartu” autora „Hanemanna”, to jednak zobaczywszy w dworcowej księgarni powieść „z wielkim nazwiskiem Stefana Chwina, widniejącym na okładce” poczuł się zniewolony: „Co było początkiem? Od razu ją nabyłem i rychło przeczytałem” (s. 59). Chyba tylko z powodu tego „Wielkiego Nazwiska...”

Zapewne z tej samej przyczyny J. Bolewski aż cały rozdział (s. 161-171) poświęcił Wisławie Szymborskiej, rozpoczynając od jej „ekstazy erotyków” pt. „Zakochani” „Klucz”, na których się również zwróciłem uwagę w recenzji z tomu „Pytania zadawane sobie” („Akant” 2003, nr 12, s. 50), a kończąc na własnej homilii poświęconej... Najświętszemu Sercu Jezusa. Nie mogąc sobie jednak poradzić z konsekwentnie ateistyczną wymową całej twórczości autorki „Dlatego żyjemy” dokonuje szeregu karkołomnych nadużyć, których szczytem jest zdyskontowanie lekko przesławieczego w stosunku do Litanii do Serca Jezusowego wiersza W. Szymborskiej pt. „Upamiętnienie” (autorka pisze m.in. „Serce jaskółki, zmiłuj się nad nimi”) w następujący sposób: „Ptak został opisany w sposób, który przypomina pewne elementy tradycyjnego obrazu Bożego Serca – ciernie korony, które je otacza, żalostliwy ból, aureolę świetlistych promieni... Jeszcze bardziej uderza powracające łączenie rozmaitych przeciwieństw: cech >>ziemskich<< i >>niebieskich<> („Kotwica powietrza”), ludzkich i boskich („wniebowzięty fraku”), opacznych i opatrnościowych („zezie na niebiosach”) [s. 105].

Jezuita – wciąż nie dostrzegając jawnego (po raz pierwszy bliźniaczo skłonność W. Szymborskiej – wystąpiła w jej sławnym wierszu pt. „Lenin”) szyderstwa, wywodzi, że wyrażenia te „próbują upamiętnić ulotność miłości”, erotycznej oczywiście, i. „otwierają na tajemnicę Serca Jezusa – miłości, w której najpełniej jednoczy się to co Boże, i ludzkie”.

Doprawdy, ale wielkie musiało być uderzenie w głowę przez „Wielkie Nazwisko”, aby pisać takie nedoręczności.

Z uwagi na setki takich swobodnych „interpretacji” zbioru tych rozważań nie polecam nikomu, który szuka prawdy i mądrości. Także z uwagi na brak jakiegokolwiek dyscypliny intelektualnej i pisarskiej. I dlatego, że klimat jej przypomina wczesny mariawizm, w którym wszystko, nawet udowodnione sądowo deprawacje, miało rzekomo pochodzić od Ducha Świętego. A zapisane tu homilie również są „natchnione” jak u nowoapostolów (synkretyczna konfesja „łącząca” katolicyzm z protestantyzmem), bo... Duch Święty wieje kędy chce...

Budujący jest w tej książce jedynie dziecięcy entuzjazm do Boga i do sztuki.■

Jacek Bolewski, Sztuka u Boga, Warszawa 2003, Wydawnictwo „Rhetos”, ss. 312.

Eugeniusz Szulborski

Sztuka przebaczenia

Mam przed sobą piątą książkę IRENY SŁO-MIŃSKIEJ noszącą tytuł „Przebaczyć sobie dzień”. Piątą bo zgodnie z notką na czwartej stronie okładki „Stopy za stopą” to tylko arkusz zaczynający dzieje poetyckie Ireny Słomińskiej.

Przebaczyć sobie dzień otwiera wiersz bez tytułu, zresztą tak jak przytłaczająca większość tekstów z tego zbioru. Poetka stwierdza tu: *nie wiem czy napiszę / tę moją historię choroby / zbyt wiele mnie kosztowała / by przeciągnąć strunę* (s.3). Poetka zapowiada więc poetycką opowieść o chorobie. Dlatego pewnie skromnie twierdzi, że unika spotkań autorskich na temat tej książki, że nie zamierza jej promować. Tylko, że tych wierszy nie da się pominąć. Nie da się przejść nad nimi do porządku dziennego, choćby nawet autorka chciała bardzo. Zastniały już. Są i będą żyły w świadomości czytelników własnym już życiem. Zresztą śmiem twierdzić, że autorka „W błękitach odnajdzimy się o zmierzchu” nie zupełnie pisze o swojej chorobie. Są tu również krajobrazy, szumiące drzewa, las ... Jest o tym wszystkim, co jest już za autorką, za nią ale i co przed nią jeszcze, o tym, co za nami i co przed nami. A przed każdym z nas przecież jest nauka miłości i cierpienia, bo w cierpieniu / rośnie coś tak ulotnego jak heroizm (s.6).

Wiersze, których tworzywem jest cierpienie, są bardzo misterne. Zestawienia słów są tak celne, że obraz, który tworzą jest jasny i pełny: *panie doktorze / rok temu wzeszło słońce / a jeszcze dawniej pogubiłam / ściągawki myśli /.../ uczyć się miłości / litości/ dobra / to takie wyczerpujące / zadanie /.../ żyć / na linie to znaczy spadać / wiele razy / pogruchochotana dusza / nie znieśie nic oprócz zniewagi / śmierci* (s. 8-9). Jeśli w książce jest mowa o szpitalu i jego pacjentach, to w sposób naturalny, jakby była to opowieść o majaczeniu sennym, o czymś, co się oglądało kiedyś. Poetka snuje swą filozofię trwania i bycia, cierpienia i miłości, mówi o sprawach zbliżonych do tego, co określamy mianem moralności, rysuje twarze „całkiem zwyczajne” i „bohaterskie”. Narkomani u I. Słomińskiej, to ludzie, którzy chcą piękna / i płacą za piękno. Poetka narzeka jednocześnie: *gdybym umiała / patrzeć na świat rzeczywisty tak / jakby był planetą // rozmytą w mym umyśle / gdybym umiała / byłoby mi łatwiej* (s.16). A dalej stwierdza: *i była we mnie przemoc / nad własnym ja / a tak właściwie ja / podzieliło się na kata / i ofiarę*. Dotyka więc problemu winy i kary w zmieniającej się rzeczywistości. Siebie umieszcza pomiędzy tymi dwoma biegunami i stwierdza, że *rozumieć znaczy / przebaczyć* (s.17). Skupia się na „supelkach myśli” - jak twierdzi - *wyobcowana z losu / wyobcowana z siebie* (s.18), ale owe wyobcowanie prowadzi przecież do „odrodzenia się” w wierszach, do fascynacji życiem, mimo wszystko - fascynacji, bo *fakt że zdołałam / pokochać jednego człowieka / znaczy że jestem zdolna do miłości* (s.22). W całkiem innym utworze stwierdza: *i sprawdzi się miłość / bolesna / jak narodziny / i w szczęściu będzie ból / zasada wszechrzeczy* (s.33).

W wierszach Ireny Słomińskiej miłość jest więc jednym z motywów wiodących. Choroba o jakiej mówi jest tylko doświadczeniem, pryzmatem pozwalającym lepiej miłość zrozumieć, lepiej pojąć człowieczeństwo, jak też pulsowanie w bycie między dobrem i złem, przypadkiem i podwójnością. Sztuka przebaczenia jest przecież umiejętnością patrzenia na innych i na siebie, jest więc niczym innym jak miłością.

„Przebaczyć sobie dzień” to książka z głębokimi pokładami mądrości pozwalającymi wydobyć nas z ograniczonej myślenia i wierzyć *w światło / i wszechogarniającą dobroć Boga / / reszta - przecież - jest milczeniem* (s. 38).■

Irena Słomińska, Przebaczyć sobie dzień, Nauczycielski Klub Literacki, Białystok 2003, ss. 40

Kameralny nocleg w środku miasta



spotkania
bankiety
imprezy
okolicznościowe

85-094 Bydgoszcz
ul. Marii Skłodowskiej-Curie 10a
tel./fax (052) 341-51-15
tel. (052) 341-70-02, 341-70-05

Stefan Pastuszewski

Towary droższe i tańsze

Fraszkopisanie jest obok aforystyki coraz powszechniejszą formą twórczości literackiej. Nie zawsze wpuszczaną na łamy pism literackich (wyjątek stanowi „Akant”, otwarty na wszystko co dobre i smakowite), w rezultacie czego powstają dość hermetyczne grupy, ba, nawet cechy fraszkopisarzy i aforystów. Organizują oni różne turnieje i spotkania, wydają wspólne almanachy, a przede wszystkim znają się i popierają.

Popularność tych gatunków literackich, mających zresztą bardzo starożytny rodowód biesiadny, bierze się nie tylko z owej skłonności do biesiadowania (biesiada to nie tylko uczta, ale i rozmowa, często na wysokim poziomie), lecz również z rytmu naszych czasów. Po prostu indywidualny czas dany każdemu człowiekowi, w wyniku inwazji przeróżnych bodźców i propozycji, dzieli się obecnie na coraz krótsze cząstki. Powieści zastępują mini-powieści, poematy – wiersze zagadki, a fraszki i aforyzmy, zawsze zresztą lapidarne, cieszą się coraz większą popularnością. Taką nawet, że w sposób niezauważony wkraczają w obszary liryki, biorąc chociażby pod uwagę krótkie wiersze zakończone puentą (czasem wydaje się, że resztę, takiego utworu, oprócz oczywiście puenty, można opuścić). Dochodzi do utożsamienia sentencji wierszem, o czym bardzo interesująco pisała N. Ślesińska („Akant” 2002, nr 13, s. 44).

Jednym z bardziej znanych i skutecznie zapoznanych fraszkopisarzy jest LESZEK WIERZ-

CHOWSKI. Jest on autorem blisko 10 000 tych krótkich, pełnych dowcipu, choć oczywiście nie zawsze, jak to w dobrych fraszkach bywa, bowiem są one również nośnikami gorzkich mądrości. Na przykład:

Nowoczesne barbarzyństwo
Zawracanie ludziom głowy
Przez telefon komórkowy

Ostatnio ukazały się dwa, starannie edytorsko przygotowane zbiory tegoż autora. : „Manifest erotyczny” oraz „Dziwne stany świadomości”. Twórca zapowiada jeszcze „Listownik zakochanych”, będący swego rodzaju zestawem flirtików.

Utwory L. Wierzchowskiego cechuje bogata inwencja twórcza, bowiem zdają się one być nie tylko efektem własnych obserwacji i przemyśleń, ale również pracy z językiem (szereg „zapożyczeń” z języka potocznego i archaicznego). Czasem jednak praca ta przynosi tylko wydumki lingwistyczne, być może atrakcyjne na zakrapianej biesiadzie, lecz trochę drażniące w cichym czytaniu, tym bardziej wtedy, kiedy coś już w swoim życiu się przeczytało, na przykład:

Udany seks
Seksualne wyniki
Wynikają z techniki.

I co tu jest odkrywczego albo dowcipnego? Chyba, że w głowie już porządnie się kręci i człowiek mówi, co mu ślina na język przyniesie. Same tylko słowa nie są mądrością. (Jest to przestroga dla wszelkiej maści lingwistów, także lirycznych).

Niemniej większość zgromadzonych w tych dwóch zbiorach utworów daje satysfakcję nawet bardzo wymagającemu odbiorcy, głównie z uwagi na szeroki zakres tematyczny i różnego typu komizmy, od sytuacyjnego i – właśnie – postacio-

wego począwszy, a na skojarzeniowym i lingwistycznym skończywszy. Nie nuży sylabotonią, bowiem dwuwiersze te są skrojone na różną długość (od pięciu zgłosek po trzynaście). Uwagę przykuwa też skrótowość, zazwyczaj pełnych treści i głębokiej mądrości wypowiedzi. Wprawdzie autorka wstępów do obydwu zbiorów Anna Ohde – pisze, iż autor „Millenium” nie przekracza granic przyzwoitości i norm moralnych, to jednak przekroczeniem przeciw naturze jest kilka fraszek poświęconych homoseksualistom. Doprawdy, ale wprowadzenie tego wynaturzenia w orbitę sztuki jest już swego rodzaju akceptacją, a przynajmniej banalizacją szkód jakie pedałstwo w życiu społecznym czyni. Mało wybredne bywają również fraszki z rozdziału pt. „W sutannie i bez...”, bowiem one również mogą odegrać złą rolę w podważaniu jednej z fundamentalnych zasad stanu kapłańskiego w Kościele Rzymskokatolickim. Dziwię się, że tego nie bierze pod uwagę lider Polskiego Ruchu Monarchistycznego, bo L. Wierzchowski właśnie nim jest, jako, że monarchizm – przynajmniej dla mnie – bliski jest dobrze pojmowanemu konserwatyzmowi, a ten z kolei jest pełen szacunku dla fundamentalnych wartości, człowieka i naród stanowiących.

Warto jednak te zbiory posiadać, aby przy różnej okazji, szukając czegoś dowcipnego „na język”, po nie sięgnąć, tym bardziej, że precyzyjny podział na rozdziały, takie „okazyjne” wykorzystywanie ułatwia. No i jest tu jak w wielkim sklepie: towary droższe i tańsze. *

Leszek Wierzchowski, *Manifest erotyczny*, Kraków 2003, Wydawnictwo Autorskie, ss. 144

Leszek Wierzchowski, *Dziwne stany świadomości*, Kraków 2003, Wydawnictwo Autorskie, ss. 206

Emil Biela

Bliźniaczy brat Pana Cogito

Jeżeli sześćdziesięcioletni mężczyzna, a w dodatku profesor uniwersytetu, ogłasza pierwszą w życiu książkę poetycką, to muszą ku temu być ważne powody. Jednym z nich jest bez wątpienia „postuluszeństwo” względem Zbigniewa Herberta, który kiedyś pozytywnie ocenił przedstawione mu wiersze. Uczniem autora „Pana Cogito” i „Rovigo” zechciał zostać RYSZARD HORODECKI, specjalista z zakresu informacji kwantowej. Opublikował tom niezwykle dojrzałych wierszy, zatytułowany „Sum ergo cogito”. Ojciec nowożytnej filozofii, Kartezjusz, mówił: *myślę, więc jestem*. Horodecki odwrócił porządek: *jestem, więc myślę*. Stworzył Pana Sum, bliźniaczego brata Pana Cogito.

Seamus Heaney, irlandzki poeta i noblista z 1995 roku, w jednym z wywiadów powiedział:

- Zawsze mnie podnosiła i umacniała niezachwiana ufność Herberta w dziedzictwo kultury klasycznej, a także wykorzystanie w jego poezji kultury wysokiej. Można odnieść wrażenie, że on sobie wstrzykiwał energię płynącą z tej kultury.

Ryszard Horodecki mógłby powiedzieć to samo. Jego wiersze swym ładunkiem intelektualnym wywołują u czytelnika onieśmienie dotyczące sacrum i profanum i podziw dla wykładanych racji. Każdy wiersz w tomie „Sum ergo cogito” wart jest osobnej analizy i filozoficznego dyskursu najwyższej próby. Człowiek nieustannie przeżywa duchowe katastrofy, ale otrzymuje siłę od Stwórcy, by się z nich nieustannie dźwigać. Myślenie duchowe unosi się nad głębiami racjonalizmu, nad prawami fizyki. Fizyka bowiem jest jak poezja. To przekonanie Ryszarda Horodeckiego z pewnością potwierdziłby profesor Grzegorz Białkowski, wybitny fizyk i też autor kilku zbiorów wierszy.

Tom „Sum ergo cogito” powstał na przestrzeni lat 1970-2003. (Prawie podobnie rzecz miała się z ogłoszeniem poezji Janusza Szubera).

Pan Sum, zanurzony w naturze, odczuwający jej fizyczne i zarazem metafizyczne więzy, rozpięty między *fides* i *ratio*, zmagając się o właściwy kształt swego człowieczeństwa. Horodecki wyraźnie zmierza do tego, by swe wiersze uczynić uniwersalnymi, takimi, jak miało to miejsce z Herbertem, czy kiedyś z Norwidem. W wierszu pt. „Cyprian” poeta wyraża pragnienie, by idąc śladami twórcy „Vade-mecum”, „pokoleniom rzucić rękawicę poezji czystej jak lot anioła”.

Kazimierz Wyka uważał, że dla Norwida naturalnym światem poetyckim jest obiektywny świat kultury. Podobnie rzecz ma się z Horodeckim, który sprawę dodatkowo poszerza, uważając, że współczesny człowiek ma wiele receptorów, zaprogramowanych na odbiór Stwórcy, ale są one często zablokowane. Poezja ma szansę dokonania procesu odblokowania. Gdański poeta konsekwentnie tworzy tę możliwość podprowadzając czytelnika do progu Tajemnicy istnienia. Godne polecenia są utwory: „Pan Sum szuka swej gwiazdy”, „Z pamiętnika Pana Sum”, „Pan Sum i żywioły”, „Rozmyślenia Pana Sum o przypadku”, „Z pamiętnika Pana Sum (Pan Sum spotyka na swej ścieżce Pana Cogito)”, „Ratio Pana Sum”, „Pan Sum przed inkwizycją”. Pan Jestem stawia na różnorodność, ale ostatnio jest wyraźnie zaniepokojony, gdyż spostrzega, że zarastają ścieżki poznania, a „świat obraca jego duszę wokół chwicznej osi ciała w kosmosie pożądania”

musi coś robić
zacząć działać
zanim nadejdzie
lawinowy
rozpad
Ego
(„Proces”)

Nie bądźmy głusi na to wołanie – ostrzeżenie poety. Poeci widzą i słyszą więcej. *

Ryszard Horodecki, *Sum ergo cogito*, Wydawnictwo „Marpres”, Gdańsk 2003, ss. 62.

CENTRUM HANDLOWE
DOM i styl
85-796 Bydgoszcz
ul. Fordońska 333, tel. 343 22 11
www.domistyl.com.pl
e-mail: biuro@domistyl.com.pl

PN.-PT. 10.00-20.00
SO.-N. 10.00-15.00

- NIEZWYKLE MEBLE
- WSZYSTKO DO ARANŻACJI DOMU
- STUDIO ZDROWEGO SNU
- STUDIO BIKOMINKÓW

Lubię ładne rzeczy



Klub Polskiej Książki w galerii sztuki prowadzi Hanna Mierzwa spotkania w ostatni poniedziałek każdego miesiąca o godz. 18.00

Arkadiusz Frania

Imago

Debiutancki tomik 18-latkii MARTY SMOLEŃ pt. *Imago* zapowiada pojawienie się w częstochowskiej liryce osobowości niezwykle uzdolnionej, czytanej i drapieżnej.

Zbiór ma konstrukcję trzyczęściową: *Piektło* – *Czyścić* – *Niebo*. Podtytuły wprowadzają jednocześnie kontekst współczesny, odnosząc „triadę zaświatową” do ludzkiego bytu, którego brutalność – czy raczej realność – opisuje autorka: *Piektło (Labirynt Luster)* – *Czyścić (Wielkie Pranie)* – *Niebo (Impreza u Pana Boga)*.

Wiersze przesiąknięte są ciemną aurą; obraz współczesności został utkany ze słów wróżących pustkę, samotność, niebyt, lęk i obcość. Już otwierający tom wiersz *Mate pustki* wprowadza minorowy ton całości. Przestrzeń poezji M. Smoleń to miasto, w którym człowiek, osaczony przez „sterylnie szyby”, błądzi – jak w „labiryncie luster” – po omacku szukając kogoś bliskiego. W rzeczywistości bez Boga sensem życia i klątwą staje się samotność: „W mieście pustych kościołów i brudnych autobusów / w potoku niemych cieni / człowiek jest samotny” (s. 9). Ale w imię Boga dokonuje się zamachów terrorystycznych: „Tam, za oceanem, / Nienawiść i trwoga / Skryły swoją nędzę / Za imieniem Boga” (s. 13).

Życie jest „ludzką tragedią”: „W milczeniu pustej ulicy / W cementarzach wspomnień / W miłości podlampowo-kioskowej” (s. 49); toteż czasem pojawia się rezygnacja i rozpacz, niezgoda na brutalną realność „ziemskiego piekła”: „Wbijam paznokcie w twarz / Zagłuszam ból / życia” (s. 10). Stąd wołanie: „Ludzie / żyjcie za mnie chwilę / albo zdechnijcie / za mnie” (s. 10). W chwili bluźnierstwa podmiot porównuje swoje ciało (stworzone przez Boga na obraz i podobieństwo) do „ścierwa” (s. 10).

Potępienie, piektło mogą być jednak przeznaczeniem człowieka. W świecie czyha bowiem wiele pokus, grzech jest najłatwiejszą sztuką życia. W „miłosnym liryku do pana Szatana” bohaterka wyznaje: „Sześćset sześćdziesiąt sześć dróg / Wiedzie mnie uprost w Twe ramiona” (s. 18).

Miłość została przez autorkę przedstawiona w swojej brutalnej, szorstkiej autentyczności jako źródło cierpienia i obrzydzenia. W wierszu *Drzewo* czytamy: „Tutaj rośnie moja miłość. / Jest brzydsza od innych miłości - / Napętnia bólem chore korzenie, / Z podłoża wysysa resztki marności” (s. 11). Kobieta czuje swoją słabość i uzależnienie od mężczyzny: „niewolnica Twojej rozkoszy / i własnej słabości” (s. 14). Partner wzbudza strach i lęk bohaterki: „Zapadłam się w łóżko / Jak w trumnę” (s. 21). Eros prowadzi do nieplanowanej ciąży. Liryk *Zabieg* porusza problem aborcji; poetka pisze: „Spi / malutki nieboszczyk / w trumnie mego łona” (s. 16), a narodzenie nowego człowieka rozważa się w kategoriach czysto ekonomicznych: „Jeszcze jedna / Gęba do wykarmienia” (s. 42).

Erotyki posiadają nalot katastroficznego, przybierają formę mrocznych definicji uczucia, zdrady, związków destrukcyjnych i toksycznych, niszczących osobowość. Porzucona kobieta wyznaje: „Od Wielkich Pustkowi / nadchodzi / Twój następca // Bierze w swe białe dłonie / pustą / zimną / wypaloną / mnie” (s. 26). Bohaterka jest introwertyczna, w samotności przeżywając swój ból. Tęsknota za ukochanym przejawia się w czekaniu na SMS-a od niego: „Między jednym a drugim esemesem / puste / nędzne / nic” (s. 32).

Jednocześnie podmiot liryczny interpretuje swoją kobiecość w kontekście „fizjologicznej i psychologicznej / uzasadnionej” (s. 34) potrzeby seksualnej mężczyzny.

Chwilami pojawia się miłość zmysłowa, pełna namienności i czułości: „Nasze ciała drgają w uniesieniu / jak światło odbite przez wodę” (s. 44), „Tkwię / zawieszona w płonącym powietrzu / jak otwarta biała muszla / czekająca / na swego umiłowanego / Oprawcę” (s. 46).

Interpretując świat z pozycji feministki, autorka wysuwa przypuszczenie, iż „Bóg / jest /

kobietą” (s. 48), gdyż rzeczywistość przepelniona jest pierwiastkiem żeńskim.

Podmiot liryczny ma kłopoty z konstatacją własnej osobowości. W wierszu *Emocjonalny kisiel* czytamy: „idę // z własną schizofreniczną osobowością / Pocałunki butów i kałuż / smutne // Niesamowitość // anormalności // Anormalność // niesamowitości // flakizolejemocjonalnykisielmoralnani-jakość” (s. 31).

W obrębie poetyckich zainteresowań autorki znajduje się patologia świata i natury człowieczej. Poetka pisze o żonach alkoholików – „żonach żeglarzy”, które czekają na „Przyptyw furii // Sztorm // Statek – widmo” (s. 12). Tren dworcowy to naturalistyczny portret alkoholika: „Zimna posadzka / Kałuża moczu / Bryłka mięsa i tłuszczu / z wydętymi wargami” (s. 41). Wiersz *Siniak* przynosi konterfekt „Małej”, młodej dziewczyny ery narkotyków: „Pije nalewki bo po winie rzyga / Czasem pali trawę i daje dupy” (s.15).

Mimo wszystko podmiot liryczny najlepiej realizuje swoje człowieczeństwo właśnie na ziemi. „Byle nie do nieba” (s. 43) staje się credo poetki. Życie pojmuje autorka jako ruch, „wspinaczkę”, do której człowiek powinien być przygotowany: „Niebo jest za wysoko // Chyba już zostanę / na Ziemi // Tu bezpieczniej” (s. 25).

Bohaterka pragnie intensywności przeżyć: „Chcę tylko trochę / Miłości człowieka; / Grzesznej i gorącej. / Tylko na nią czekam.” (s. 43), „Odam miejsce w niebie / Za jeden słodki dreszcz” (s. 43), „Wybacz mi mój Boże / Przyjmij moją skruchę. / Ja chcę być płomieniem, / A nie zimnym duchem” (s. 43).

Życie posiada wartość, podświadomie kusi, odwodzi od złych myśli, potrafi zatrzymać przed skokiem przez okno „w przepaść ulicy” (s. 28): „Nagle / życie puka mnie w ramię” (s. 29).

Tytuł *Imago* można interpretować w dwójki sposób. Pierwszy podsunęła autorka w wierszu pod tym samym tytułem, traktując „imago” biologicznie jako „dojrzałą postać owada”, przez co należy rozumieć w wymiarze ludzkim dorastanie człowieka, osiągnięcie wieku dojrzałego, kiedy kobieta zaczyna rządzić libido, emocje seksualne; to wiek, „Kiedy nie wystarczy chodzenie za rękę / i łąduje się w łóżku z chłopakiem” (s. 30). Drugie znaczenie „imago” ma charakter psychologiczny: „podświadome lub nieświadome wyobrażenie określonej osoby (np. dobrej matki, złej matki), wytworzone we wczesnym dzieciństwie, rzutowane później na inne osoby z otoczenia”.

Konkludując, można stwierdzić, iż podmiot liryczny wierszy M. Smoleń, osiągnąwszy pierwszy etap dojrzałości płciowej, prezentuje swoje wyobrażenia o ludziach i rzeczywistości. Bohaterka jest emocjonalna w wyrażaniu swoich sądów. Dziwi się sobie i otoczeniu, przy czym daje świadectwo mrocznym zakamarkom ludzkiej psychiki, co przekłada się na ciemne widzenie świata. „Marność nad marnościami i wszystko marność” – zdaje się powtarzać za Eklezjastą autorka. Pośpiesznie wyrzucone z siebie wiersze wyrażają niezgodę na świat, a poezja ma charakter terapeutyczny dla młodego outsidera i konstatatora.*

Marta Smoleń, *Imago*, Wydawca: Gminny Ośrodek Kultury w Rędzinach, Rędziny 2003, ss. 56.

SZYBKO - SOLIDNIE - TANIO

**- SPRZEDAŻ OPON
I FELG
- SERWIS
- WULKANIZACJA**

**- CZYSZCZENIE I TOCZENIE FELG
- NACINANIE BIEŻNIKA
- SEZONOWA PRZECHOWALNIA OPON
- FACHOWE DORADZTWO**

Firma Artura Rzepki

Bydgoszcz, ul. Glinki 12

tel. (052) 345 15 53, 375 30 94

Danuta Maria Sułkowska

Nie tylko szarość

Na stronach tytułowych „Wierszy wybranych” MARII DANUTY BETTO - książki, w której pomieszczone zostały niektóre utwory z tomików tej interesującej poetki wydanych w latach 1998 - 2002 - znajdują się wiele intrygujące słowa: „Zanim wstąpię w środek mroku”. Dlaczego autorka poprzedziła wybór swoich wierszy taką, według mojego odczucia, ponurą zapowiedzią? Zastanawiałam się nad tym, zanim zaczęłam czytać książkę, przyjmując, iż ów „środek mroku” to śmierć. Nic wszakże nie składa się wyłącznie ze środka - oprócz niego jest jeszcze cała, przeważnie pokaźna reszta. Czy zatem już od przynajmniej kilku lat poetka czuje cień śmierci, który przysłania jej blask życia i sprawia, że dominują w nim różne odcienie szarości? Odpowiedzi na to pytanie mogłam poszukać w jedynej możliwej dla mnie sposób - poprzez lekturę „Wierszy wybranych”.

Rzeczywiście panuje w tym zbiorze aura, która przypomina nastrój jesiennego dnia, kiedy to nisko wiszące chmury grubą warstwą zasłaniają słońce, mgła zasnuwa horyzont, a chłód wywołuje w nas dreszcze. Klimat ten tworzą przede wszystkim uczucia i refleksje wyrażone w wierszach. Ich strofy pełne są smutku, nostalgii i rezygnacji. Niewesołym wyznaniom podmiotów lirycznych często towarzyszą opisy smętnych krajobrazów, lub tylko lekkie szkice niektórych ich elementów. Obrazy natury zawsze mają dokładnie taki nastrój i koloryt jak przeżycia wewnętrzne osoby mówiącej w wierszu. Jest to zabieg celowy i świadomy i dowodzi talentu autorki „Pory lęku”. Takie budowanie nastroju daje niezwykle silne efekty. Można się o tym przekonać czytając początek wiersza „Kolejność”, który otwiera tom:

Słońce w chmurach
głową trzyma
barchanieje czas

w koronie smutku
skwaśniał anioł

pełnie mgła

Skojarzenie z jesienią nasuwa się w czasie lektury „Wierszy wybranych” nie tylko z powodu panującej w tej książce atmosfery. Od niepaństwicznych czasów kolejne okresy ludzkiego życia porównywane są do pór roku - jesień to niewątpliwie druga jego połowa. Autorka „Rozmów z nieobecnych” ma już za sobą sporo życiowych doświadczeń - wyznaje to w jednym z wierszy: „Z dalekiej drogi jestem / zakurzona jak dusza moja”. W jej utworach pojawiają się czasem wspomnienia różnych zdarzeń, które miały miejsce w czasie wędrówki ową drogą. Niektóre wciąż są źródłem silnych emocji bohaterki lirycznej omawianego zbioru wierszy. Najczęściej obecne jest w jej myślach wspomnienie utraconej miłości, któremu towarzyszy smutek lub gniew i ciągle nieukożona tęsknota. Uczucia te z reguły połączone są ze spokojną, choć zaprawioną goryczą rezygnacją. Ta wielka, nieszczęśliwa namienność, wpływa dość znacznie - mimo upływu czasu - na stan ducha autorki „Wzgórza ptaków”. W tomie, który jest przedmiotem moich rozważań, znajdujemy jej echa w kilkunastu wierszach. Przechytajmy ten, który ma charakter związanej, rzeczowej informacji o minionych i obecnych zdarzeniach i uczuciach i zapewne dlatego jest mniej smętny od innych.

Chociaż tworzyliśmy
duet nieszczęsny
spójrz ile lampek tęsknoty

i ziarna gniewu

powolnym krokiem
nadzieja odchodzi

rozdzielił nas zapach
tamtej kobiety

dokoliczenie na str. 46

dokończenie ze str. 45

Jak widać, cienie w poetyckich pejzażach Marii D. Betto, są dosyć zróżnicowane. Pochodzą z przeszłości, z poczucia samotności w chwili obecnej oraz ze świadomości ciągłego zbliżania się tego, co nieuniknione. Tych ostatnich jest szczególnie dużo. Myśli o śmierci nawiedzają autorkę „Chwil magicznych” bardzo często, stąd też w jej poezji tak wiele mrocznych, przejmujących metafor. Trudno o radość, gdy znów „wiosnę o wodę / trącił Charon”, bo wtedy „gasną gwiazdy / spadają / w ogon śmierci”. Czasem ta – według ludowej mądrości – „jedyna sprawiedliwość na świecie” zdaje się być już całkiem blisko lirycznego „ja”:

/.../
nadchodzi śmierć

przez wiele lat
zdzieraała za mną podeszwy

teraz popędzi mnie
jak owieczkę

przed sobą

Ponure przecucia, cienie, katastroficzne wizje – to przynębia. Osobiście jestem zwolenniczką nieustannego poszukiwania, a może raczej dostrzegania źródeł radości w życiu. To pomaga zachować nadzieję - niezależnie od okoliczności. Uważam, iż trzeba starać się wyjść na światło z każdej, nawet najtrudniejszej sytuacji i wyznaczać sobie wciąż nowe cele, zamiast smętnie rozmyślać, iż od poczęcia trawieni jesteśmy „śmiertelną chorobą przenoszoną drogą płciową”.

Czy jednak oprócz jesiennej szarugi nie ma na kartach „Wierszy wybranych” ani odrobiny babiego lata? Otóż jest! W jednym z utworów nawet zakończenie ziemskiej wędrówki maluje poetka w jasnych barwach. Na str. 30 widzimy dosyć pogodny pejzaż, mimo iż przyjaciółka właśnie odchodzi oraz optymistyczną zapowiedź naszego „przejścia na drugą stronę”: „po śladach jej / w wielką światłość wstąpisz / a słońca kołowrót / za wami”.

Szarość i cienie ustępują też kilkakrotnie miejsca nadziei. Pojawia się ona przede wszystkim w wierszach o tematyce religijnej, które mają

o wiele pogodniejszy nastrój, niż pozostałe. Oto dzięki modlitwie „pekła skorupa nieba / wyjrzało piskląt słońca”, to znów „świt z wody wychylił twarz / z pluskiem / kąpie się w jeziorze”. Zjawiska te interpretowane są przez poetkę jako wybaczenie win, o które prosiła Boga – „to od Ciebie znak” – stwierdza, zwracając się do Niego.

Czy zjawiska zachodzące w przyrodzie mają dla autorki „Pory lęku” znaczenie symboliczne, czy też ich opisy to metaforyczne przedstawienie przeżyć wewnętrznych lirycznego „ja”? Poeta to osoba wrażliwa i obdarzona wyobraźnią, widzi więc znaki tam, gdzie inni nie dostrzegają nic zgoła, ale poeta bywa też utalentowany, jak Maria D. Betto i potrafi świetnie posługiwać się różnymi środkami artystycznego wyrazu, aby osiągnąć zamierzony efekt. Wnioski z tego wywodu tylko pozornie są oczywiste...

Dobrze jest zakończyć rozważania nad dziełem literackim jakimś pogodnym, optymistycznym akcentem. W przypadku omawianego zbioru wierszy wcale nie jest to trudne, cho-

ciaż przeważają w nim melancholijne nastroje. Na szczęście znajdujemy w „Wierszach wybranych” również jasne momenty i one ostatecznie zwyciężają, jeśli czytelnik niełatwo poddaje się przynębieniu i poszukuje strof, w których nadzieja pokonuje smutek. Tak jak w tym wierszu:

/.../
niebo łzami zalane
Bóg w kaloszach chodzi

a my
mozolnie wspinamy się
rajską drogą

z nadzieją w tle

Strofy te przywołałam nie tylko po to, aby końcowa refleksja miała optymistyczny charakter. Pragnę w ten sposób życzyć autorce „Tematu do obrazu” tylko słonecznych pejzaży w następnych tomach poetyckich. *

Maria Danuta Betto, Wiersze wybrane, Bydgoszcz 2003, Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, ss. 72

Rok założenia 1991

PPH **DOMAROLL**

PRODUCENT STOLARKI Z PCV I ALUMINIUM

Nagrody i wyróżnienia na:

Targach GRYF-BUD 99 w Bydgoszczy
Targach Budownictwa TORBUD 2000 i 2001 w Toruniu
III i IV Pałuckich Targach Rolnych w Żninie
III Targach 2001 w Mogilnie
Nagroda Burmistrza Miasta Żnina – 2002

Biura handlowe:

Żnin, ul. Szpitalna 74, tel./fax 052/302 80 30
Toruń, ul. Szosa lubicka 168B, tel. 056/659 91 17
Bydgoszcz, ul. Czerkaska 32, tel./fax 052/341 61 31
Bydgoszcz, ul. Moczyńskiego 1, tel./fax 052/328 61 66

Okna PCV

w systemie TROCAL posiadającym
międzynarodowy znak jakości ISO 9001

Stolarka ALU

Stosujemy nowoczesne rozwiązania technologiczne
zapewniające właściwą wymianę powietrza bez ingerencji
w strukturę techniczną okna i jego szczelność:

- uszczelkę samowietrzącą **COMFOLIP** bez
- nawietrzaki ościeżnicowe **REGEL-air**® dopłaty

**Rafał Orlewski****Ci nasi obcy**

Czekałem, wielu czekało na tę książkę, zapowiadaną jako powieść autobiograficzna. Otrzymałem ją z dedykacją autora: „...w dowód długoletniej, czasami «zgrzytliwej» - a jednak szczerzej przyjaźni...”. Chodzi o książkę JERZEGO KISSONA-JASZCZYŃSKIEGO „Ci nasi obcy”.

Obszerny tom zawiera trzy części: „Dzieciństwo i nieco dalej”, „Uciekanie, uciekanie” oraz „Miałem szczęście do przyjaciół”, do których pisarz dodał prolog i posłowie, a przedmową rzecz opatrzył prof. Jerzy Kukulski, pisząc: „Książka nie jest klasyczną autobiografią. Raczej opisem własnych i cudzych przeżyć”. Podkreślił także zasługi autora – piotrkowianina XX wieku, publicysty, działacza, pisarza – dla miasta. O samych tych zasługach można by napisać oddzielną książkę. Kwestionować je może tylko ten, kto o nich nic nie wie, albo prymitywny zawistnik.

Książka jest jednak autobiografią nie zaś powieścią w klasycznym rozumieniu tego gatunku prozy. Jest opowieścią. Znakomitą! Jej walorami są: imponująca wiedza o czasach, zdarzeniach i ludziach oraz narracja. Byłoby przesadą twierdzić, że 400 stron przeczyta się „jednym tchem”, ale prawdą jest, że trudno od lektury tej się oderwać. Już same dzieje narratora, gdyby tylko one były w niej opisane, są fascynujące. Cóż dopiero, gdy owe losy, ukazane zostały w czasie (70 lat XX wieku z retrospekcjami), w panoramie zdarzeń, z mnóstwem postaci, którymi pisarz załadnił karty książki. Przy czym są to osoby autentyczne, żyjące w tym okresie, choć nierzadko przywoływane już spoza „smugi cienia”. Ież tu zna-

jomych – jeśli nie poznanych osobiście, to z różnych znanych sytuacji. Czytelnik, który nie zetknął się z Piotrkowem, odnajdzie w tej książce wątki i postawy, ludzako podobne do tych, jakie gdzieś, kiedyś przeżył, w których brał udział.

Gdyby nie była to osobista refleksja z lektury, lecz interpretacja podręcznikowa czy szkolna, niechybnie padłoby pytanie: co jest tematem tej książki? Odpowiedź brzmiałaby: jest to studium o nietolerancji wobec osób z tak zwanym „mieszanym rodowodem”, których rodzice posiadali różną narodowość. Byłby to temat prawdziwy, ale powierchowny, pomijający niejako psychologiczny aspekt tej prozy, bowiem wbrew modnemu dziś nawoływaniu do tolerancji oraz uogólnianiu, że kiedyś jako naród byliśmy tolerancyjni, to jednak nigdy tacy nie byliśmy. Ludzie to ogół, masa, tłum. I najgorsze – stereotyp.

Tymczasem cierpi nie zbiorowość, lecz pojedynczy człowiek, kiedy jest sekowany, i to absurdalnie, za to tylko, że ma „mieszany krew”. Toż to rasizm! A zdawało się, że po hekatombie hitlerizmu, po łagrach, apartheidzie, a wcześniej hańbie niewolnictwa, takie myślenie odejście do lamusa. Człowiek zaś będzie oceniany za człowieczeństwo – za to, co robi i w jakim stopniu pożyteczna jest jego życiowa droga. Autor pisze o takim: „Piękny człowiek”.

Postaci pięknych nie brak w życiu, także w tej książce. Niestety, ludzkie piękno to bardziej chęjstwo niż rzeczywistość. Dzieje świata to obraz przerażający, bo jego istotą jest głównie zadawanie cierpienia człowiekowi. Książka prezentuje malarstwo, ale szczegółowy, i dlatego bolesny, wyimek tego obrazu. Każdy, kto ją przeczyta, będzie miał, rzecz jasna, swoją ocenę problemu – zwłaszcza ci, którym szaleńczy wiek dwudziesty mnożył cierpienia: na zachodzie, na wschodzie, praktycznie wszędzie. Sam jako podrostek w czasach hitleryzmu widziałem i doświadczyłem tyle, że nie

wyobrażam sobie czegoś podobnego dla pokolenia moich wnuków.

Mam więc prawo do pamięci. Ma je także Jerzy Kisson-Jaszczyński i każdy, kto kiedykolwiek był zaszczuwany. Lecz dar pamięci jest po to, by darzyć, a nie krzywdzić. Właśnie krzywda stanowi granicę tolerancji. Wszakże nie jest to książka li tylko o podłości, choć gdy się ją czyta, skóra cierpnie. Jest to opowieść człowieka, który doznał wiele zła tkwiącego w mroczności duszy ludzkiej, w głupocie i zawiści, nawet w nikczemnej mentalności. Ale nie taka jest – nie ciemna – tonacja książki. To, co w niej przykre, to po prostu prawda. A prawda powinna być naga. Jeśli taka nie jest, staje się kłamstwem.

Jednocześnie książka jest barwna, pogodna, żywa – jak i pełnokrwiste są portrety postaci; jest też okraszona smakowitymi anegdotami. O tych i innych zaletach decyduje sztuka pisarza. Wreszcie – jest to dzieło optymistyczne, gdyż z jego gęstwy narratorskiej, z podtekstu i przesłania jawi się przekonanie, że jeśli nawet człowiek nie jest, to może być piękny. Chyba najlepiej określa to tytuł, w którym wyraz „obcy” brzmi sarkastycznie, bo jacyż to obcy? Obcy to agresor i zaborca. Ci natomiast (Mischlingi – „mieszkańcy”, wśród nich wicły, jak. np. Tuwim, Leśmian czy Hirsfeld i legion innych) nie są „nasi”? Nawet Olisadebe nie „nasz”, skoro gra w reprezentacji Polski w koszulce z białym orłem? Ci, o których mówi książka, najczęściej tu się urodzili, tej ziemi oddali swoje, często wyjątkowo twórcze lub bohaterkie życie.

Autor jest jednym z nich, czyli z nas. Snując te myśli wierzę, iż niewielki nakład książki nie będzie czekał na czytelników, a jej lektura nie pozwoli na obojętność wobec walorów tej prozy. *

Jerzy Kisson-Jaszczyński, Ci nasi obcy, Naukowe Wydawnictwo Piotrkowskie, Piotrków Trybunalski 2001, ss. 398

Stanisław Truchan

Zatruta studnia i „koniec historii”

Świętej pamięci Charles de Gaulle wzdychał kiedyś: „Jak tu rządzić krajem, w którym jest trzysta gatunków sera?!” Być może zresztą tych serów było nie trzysta, a trzysta sześćdziesiąt – nie pamiętam... Przypomniał mi się ten żart wielkiego męża stanu w związku z wydaniem niedawno zbiorom esejów o tematyce politycznej, pióra jednego z czołowych publicystów polskiej prasy. Jak tu czytać książkę opatrzoną ośmiostronicową bibliografią?! A tyle właśnie stron liczy bibliografia najnowszej książki EDWINA BENDYKA, noszącej tytuł „Zatruta studnia. Rzecz o władzy i wolności”. Trzeba przyznać, że „lista lektur” E. Bendyka robi wrażenie. Kogóż tam nie ma? I Zygmunt Baumann, i Daniel Bell, i Mikołaj Bierdajew... Nie brakuje też – oczywiście – Francisa Fukuyamy i Samuela P. Huntingtona, a listę polskich autorów otwiera Bolesław Balcerowicz, dość często w ostatnich czasach pojawiający się w telewizji w związku z wojną w Iraku. Muszę się przyznać, że na widok tak obszernej bibliografii zazwyczaj zadaję sobie pytanie: „Czy autorowi udało się znaleźć – wśród cytatów i odwołań do cudzych poglądów – miejsce na jakąś własną myśl?” Różnie to bywa...

„Zatruta studnia” Bendyka – co stwierdzamy czytając 12-stronicowe „Wprowadzenie” – jest w założeniu próbą konfrontacji tezy Fukuyamy o „końcu historii” z realnym światem przelomu tysiącleci, z wydarzeniami, których tragicznym zwiększeniem był zamach na World Trade Center. Swego rodzaju datami granicznymi są tutaj – z jednej strony – rok 1989 (wybory w Polsce i upadek muru berlińskiego), z drugiej – 11 września 2001. Dwunastoletni okres, zawierający się pomiędzy tymi dwiema datami, zdominowany został w politologii i historiozofii przez pogląd zwany endyzmem: przekonanie o zbliżającym się, albo nawet stanowiącym już fakt dokonany, końcu wielu zjawisk stanowiących istotny element współczesnego świata, a także „końcu” (tzn. utracie przydatności poznawczej)

wielu pojęć służących do opisywania rzeczywistości. „Nastroj endyzmu – pisze Bendyk – udzielił się wielu innym myślicielom, którzy w pośpiechu zaczęli dopisywać swoje rozdziały do tekstu Fukuyamy, by zdążyć, nim ktoś krzyknie: koniec czytania! i zgasi światło”. W latach 90. ubiegłego stulecia ogłoszono bowiem m.in. koniec nauki (J. Morgan), koniec pracy (J. Rifkin), koniec społeczeństwa i postępu (A. Touraine), a nawet koniec samego człowieka (B. Joy). Przy okazji publicysta „New York Timesa”, Thomas L. Friedman, ogłosił początek epoki globalizacji, której symbolem są bary MacDonalda. A ponieważ – jak twierdzi tenże Friedman – „nie zdarzyło się, by dwa państwa, które mają u siebie MacDonalda, zostały ze sobą wojnę” – epoka globalizacji miała być zarazem epoką powszechnego pokoju. Oczywiście – co przyznaje publicysta *nyt* – „niewidzialna ręka rynku nic by nie zwojowała bez niewidzialnej pięści”; pięść to oczywiście lotniskowce US Navy i dzielnice marines... Bendyk tak rozwija tę myśl: „A więc zaprowadzimy globalizację choćby na ostrzach bagnietów, doprowadzimy do logicznego końca dzieła, które rozpoczął w 1806 roku Napoleon, wygrywając bitwę pod Jeną. Wiara w koniec historii wynika z przekonania, że to my mamy rację, że nasze wartości są uniwersalne, a kto się im sprzeciwia, jest barbarzyńcą, któremu, dla jego własnego dobra, wartości te należy narzucić siłą”. I już w następnym akapicie ironizuje: „Z barbarzyńcami, jak zwykle, jest pewien kłopot. Nie wszystkim smakują hamburgery”. Poglądowi o „końcu historii” przeciwstawia – zlekceważoną na początku – wypowiedź subcommandanta Marcosa z meksykańskiego Chiapas, opublikowaną w 1997 r. na łamach „Le Monde Diplomatique”. Przywódca zapatystów postawił wówczas tezę o permanentnej wojnie biednych przeciwko sile globalnego kapitału. Wkrótce potem pojawiły się ostrzeżenia – formułowane m.in. przez Manuela Castellsa – przed nowymi zjawiskami społecznymi, zaprzeczającymi tezie Fukuyamy i zdolnymi wpłynąć na bieg przedwcześnie „uśmierconej” historii w sposób trudny do przewidzenia.

Czym dla tezy o „końcu historii” i nieuchronnym nadejściu ery globalizacji był – co rusz pojawiający się na kartach książki Bendyka jako swego rodzaju punkt odniesienia – zamach z 11 września 2001 roku? Publicysta „Polityki” twierdzi, że tego dnia „legła w gruzach ostatnia wielka utopia zbudowana na optymistycznym projekcie oświeceniowym, definitywnie zakończył się wiek XX – stulecie niespełnionych wizji rajy na ziemi”. Według jego diagnozy – „głosiciele tych wizji nie dostrzegli, że społeczeństwo nie rozwija się liniowo, według jednego tylko scenariusza”. Bendyk odkrywa też, że – paradoksalnie – źródłem coraz liczniejszych zagrożeń okazuje się postęp (czego dowodem może być choćby choroba szalonych krów, a w ekonomii upadek Enronu – dowód niskiej sprawności struktury ekonomicznej współczesnego świata), a istniejący stan rzeczy owocuje spadkiem zaufania do istniejących struktur, z państwem i jego instytucjami na czele.

Jedną z postaci wspomnianego wyżej „optymistycznego projektu oświeceniowego” jest dla Bendyka komunizm. Jego zdaniem, ten system wykazał swoją słabość w momencie szczególnie istotnym: w trakcie wyścigu o opanowanie kosmosu. Czy ZSRR przegrał ten wyścig ze względu na zapóźnienie technologiczne? Na to pytanie autor „Zatrutej studni” odpowiada przecząco. Kluczem do zrozumienia przyczyn takiego właśnie, a nie innego biegu wydarzeń jest dla niego pojęcie inteligencji zbiorowej. „Okazało się – pisze Bendyk – że projekt tak złożony jak lot na Księżyc wymaga zupełnie innej struktury zarządzania i społecznej organizacji. Tak skomplikowanemu zadaniu może poddać jedynie struktura refleksyjna, zdolna do szybkiego identyfikowania błędów i ich korygowania, co w efekcie powoduje, że działa ona

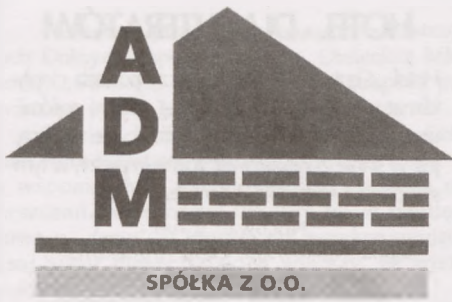
jak jeden inteligentny, zdolny do uczenia się organizm”. Jednak „refleksyjność (...) wynika z kultury i wartości dzielonych w społeczeństwie”. Nie może to być kultura oparta na „rozumie wspieranym terrorem”, pozbawiona „horyzontalnego wymiaru komunikacji”, ale „kultura otwartości, dyskusji, kwestionowania autorytetów, zdolna do absorpcji innowacji i podejmowania ryzyka”. Na pewno nie taka, w której obowiązuje zasada: „Nie pytaj, a słuchaj”.

Czy więc mieli rację ci, którzy widzieli panaceum w formalnej demokracji i regulach wolnego rynku? Bendyk zdaje się być bliski twierdzenia, iż jest to kolejna „utopia zbudowana na optymistycznym projekcie oświeceniowym”. Kluczowa – jego zdaniem – dla funkcjonowania społeczeństwa „inteligencja zbiorowa” możliwa jest dopiero „wówczas, gdy ludzie patrzą na siebie nie tylko w kategoriach konkurenta, ale partnera, gdy chcą się dzielić wiedzą i zaufaniem niezależnie od skutku handlowego” i „tam, gdzie istnieje duży kapitał społeczny, gdzie jest duży kapitał zaufania i bezinteresownego (podkr. – S.T.) współdziałania”. Jeśli Bendyk ma rację (a trudno mu racji odmówić), to wystarczy przyrzec się naszej polskiej rzeczywistości, by z prerażeniem zapytać o najpewniejszą drogę ucieczki – w dowolnym kierunku, byle dalej... W tym samym zresztą miejscu autor „Zatrutej studni” konkluduje: „Sam wolny rynek nie buduje kapitału społecznego, sprzyja za to, jak pisze John Naisbitt w Megatrendach, »networkingowi« – tworzeniu »sieci koleśków«, patologicznej wersji społeczeństwa sieciowego, ograniczonej do wybranych”.

Jak widać, Bendyk niezwykle krytycznie ocenia przydatność modnych na przelomie drugiego i trzeciego tysiąclecia teorii do wyjaśniania zjawisk społecznych i politycznych, jakich jesteśmy świadkami. Najpopularniejszą z nich, koncepcję „trzeciej fali” Alvina i Heidi Tofflerów, uznaje za całkowicie nieprzystającą do wydarzeń roku 1989 i lat następnych. Przykładem uproszczonego, schematycznego postrzegania świata przez twórców wspomnianej koncepcji jest następujący, cytowany w „Zatrutej studni” pogląd, zawarty w „Wojnie i antywojnie”: „Gdy poeci i intelektualiści z zacofanych ekonomicznie regionów świata układają hymny narodowe, poeci i intelektualiści państw spod znaku trzeciej fali opiewają wdzięki »świata bez granic«”. Jest to znana nam od lat myśl, oparta na przeciwstawieniu postawy „otwartej” i „zamkniętej”, przy czym ta pierwsza przypisywana jest społeczeństwom wysoko rozwiniętym, a druga – zapóźnionym w rozwoju (i – dodajmy – ta ostatnia bywa, czasem słusznie, znacznie częściej bezpodstawnie, identyfikowana z nacjonalizmem i szowinizmem, podczas gdy ta pierwsza – też nie zawsze słusznie, określana jako bezideowy kosmopolityzm). Jak trafnie zauważa Bendyk, Tofflerowie „zamknęli się w stworzonym przez siebie schemacie” – co oczywiście sprawia, że nie są oni zdolni do trafnej oceny zdarzeń. O ile jednak w Polsce wspomniany pogląd Tofflerów bywa często identyfikowany z szeroko pojętą lewicowością (ewentualnie z lewicowym liberalizmem), publicysta „Polityki” przypomina związki Tofflerów z Reaganem, wobec którego odegrali oni wręcz rolę nieomylnych guru. Jeśli odkrywamy zbieżność poglądów amerykańskiej prawnicy i zachodnioeuropejskich lewicowych intelektualistów, ta zbieżność według Bendyka „nie jest wcale paradoksem”, gdyż wynika „z identycznych przesłanek intelektualnych, jest ciągle pokłosiem oświeceniowych roszczeń ludzi, o których Paweł Jasienica mówił, że »za dużo wiedzą na pewno«. Gdy potem życie postawi problem, dyskredytują jego prawomocność z pozycji fundamentalnych, uznając go za artefakt niezgodny z logiką historii”. Ci ludzie „wierzą, że sam rozum, któremu raz na imię Postęp, raz Socjalizm, raz Trzecia Fala, wystarczy, by zapanować nad naturalnym chaosem międzyludzkiej relacji”.

Czy z powyższego wynika, że Bendyk uważa, iż wzajemne relacje pomiędzy ludźmi i całym społeczeństwami ludzkimi są z natury „niesterowalne” i wymykają się ocenie ludzkiego umy

dokończenie na str. 48



SPÓŁKA Z O.O.

Administracja Domów Miejskich „ADM” spółka z o.o. w Bydgoszczy
85-011 Bydgoszcz, ul. Śniadeckich 1
tel. (0 52) 34 81 600, fax (0 52) 34 81 607
www.adm.com.pl

oferuje:

- ▲ kompleksowe usługi w zakresie zarządzania nieruchomościami
- ▲ obsługę wspólnot mieszkaniowych
- ▲ transakcje na rynku nieruchomości poprzez Pośrednictwo Obrotu Nieruchomościami ADM

slu? Czy jego zdaniem – „mędrca szkiełko i oko” są wobec nich bezradne? Taki wniosek byłby z pewnością nieuzasadniony. Bendyk raczej kwestionuje autorytet niektórych „mędrców” i wątpli w przydatność niektórych „szkiełek”, poszukując na ich miejsce innych, nie deformujących obrazu. Poszukuje nowego klucza do zrozumienia złożonych procesów, kształtujących naszą rzeczywistość – klucza doskonalszego niż te, którymi posługują się Tofflerowie, Fukuyama czy inne autorytety ze wspomnianej na wstępie ośmiostronicowej listy. Takim kluczem może być pojęcie „społeczeństwa sieciowego” – niewątpliwie zainspirowane burzliwym rozwojem Internetu. Tenże Internet określony został w „Zatrutej studni” jako „technologia wolności”. Bendyk – w ślad za Derrickiem de Kerckhove – przypisuje temu medium trzy istotne cechy: hipertekstowość, interaktywność i komunikacyjność. Pierwsza z nich to dostęp do najróżniejszych treści (Internet jako „hiperbiblioteka”), druga – możliwość zarówno korzystania z treści już istniejących, jak i tworzenia własnych, trzecia wreszcie – możliwość nieskrępowanego porozumiewania się z innymi użytkownikami sieci (mnie powyższy schemat nieco zbyt natrętnie się kojarzy ze słynnymi trójczłonowymi strukturami Lévi-Straussa, ze słynnym „trójkątem kulinarnym” na czele).

Te trzy atrybuty Internetu Bendyk przenosi na wspomniane wyżej społeczeństwo sieciowe. Jego najistotniejszą cechą stanowi, jego zdaniem, „nieskrępowana komunikacja horyzontalna”. Elementów „sieciowości” dopatruje się Bendyk m.in. w strukturze sił, które przyczyniły się do sukcesu powstania w Chiapas i w strukturze organizacji terrorystycznych (nie zapominajmy, że zamach z 11 września 2001 r. jest swoistym leitmotywem jego eseju).

Oczywiście nie jest tu możliwe przedstawienie choćby ogólnych zarysów wspomnianej koncepcji, podobnie jak – z braku miejsca – nie da się pełnej listy poruszonych przez Bendyka problemów i wszystkich płynących z nich wniosków; w tym celu należałoby „Zatrutą studnię” po prostu streścić... Pozostaje więc zapytać o konkluzje. Jedną z nich jest niewątpliwie przekonanie o małej skuteczności narzędzi poznawczych wypracowanych przez większość uznanych autorytetów i o przydatności pojęcia „sieci” jako klucza do zrozumienia procesów zachodzących w świecie poddanym globalizacji. Można też znaleźć inną, o charakterze postulatycznym. Bendyk – poniekąd wbrew swojemu sceptycyzmowi wobec „optymistycznych projektów oświeceniowych” – widzi konieczność powrotu do „wartości Oświecenia, ale w wydaniu »mędkim«, otwartym, najpełniej wyrażonym w optymistycznej filozofii Karla Rajmunda Poppera (...), bezwzględnie tępiciecia posiadaczy absolutnej prawdy, czy to nabytej, czy to objawionej”. Jej filary to realizm, optymizm poznawczy, indeterminizm oraz przekonanie o niepełności naszej wiedzy, stanowiącej zaledwie przybliżenie prawdy obiektywnej. Myśl tyleż trafna, co niezwykle ogólnikowo sformułowana...

Bo – niestety – wadą eseju Bendyka jest dysproporcja pomiędzy warstwą faktograficzną a sferą refleksji. Autor szczegółowo opisuje fakty oraz poglądy analizujących je myślicieli (ośmiostronicowa bibliografia mówi sama za siebie...), trafnie „punktuje” ograniczenia przyjętej przez nich optyki – ale z wnioskami jest już gorzej. Można by powiedzieć: za dużo Fukuyamy, Glucksmanna, Castellsa, Tofflerów, za mało samego Bendyka... Co bynajmniej nie umniejsza znaczenia tej, jak najbardziej godnej uwagi, analizy problemów współczesnego świata. Warto tylko – myśląc o przywiązaniu autora do koncepcji „sieci” – zadać przekorne pytanie: Czy a by na pewno sam Bendyk uniknął powtórzenia błędów autorów „Trzeciej fali”, polegającego na „zamknięciu się w stworzonym przez siebie schemacie”? ✎

Edwin Bendyk, *Zatruta studnia. Rzecz o władzy i wolności*; Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2002, ss.272

Stefan Pastuszewski

Panteistyczna droga do gwiazd

Kluczem do zrozumienia, a raczej pojęcia, bo poezji się nie rozumie tylko się ją pojmuje w swoistym akcie olśnienia, twórczości JADWIGI BADOWSKIEJ-MUSZYŃSKIEJ jest jej zeznanie z września 2002 roku: „Wierzę w gwiazdy, które nas prowadzą w kosmiczną otchłań”. Ma więc rację T. Januchta, pisząc o identyfikacji poetki z roślinami, zwierzętami, domami, różnymi przedmiotami”. W jednym z wierszy „buk modlił się do Boga: Pozwól mi zostać człowiekiem”. A więc – według poetki – przepływanie ducha i materii jest dwu- a raczej wielokierunkowe. Wszystko jest jednością, choć w różnych postaciach. Jest to już nie filozofia, ale wręcz stan umysłowo-emocjonalno-fizyczny doświadczany przez większość kobiet (stąd m.in. ich zamiłowanie do kwiatów i ogrodów), a uzewnętrzniany przez takie poetki jak: J. Baziak, E. Borkowska, A. Kajtochowa, D. Kostewicz, K. Michalewska, H. Poświatowska, M.D. Sułkowska.

Najnowszy, jubileuszowy (90 lat życia we fragmencie Kosmosu czyli na Ziemi) zbiór wierszy J. Badowskiej-Muszyńskiej pt. „Miedzioryty” oparty jest na dość rzadkim rodzaju kosmicznej więzi. Jest to więź ze zmarłymi (zbiór został zainspirowany grafikami wileńskiego artysty Leona Komulskiego), z odległą Litwą i jej niepowtarzalną przyrodą oraz z... budowlami, tak często eksponowanymi w dotychczasowym dorobku (10 zbiorów wierszy) autorki „Ondyny nad Niemnem”. Trochę akademickim, trochę baśniowym miedziorytom towarzyszą „ilustracje” słowne – opisy, komentarze i wypowiedzenia. Między tymi dwoma formami artystycznego wyrazu też istnieje przedziwna więź, jak między zmarłym w 1952 roku Leonem a żywą jeszcze (2003) Jadwigą. Węzłem płaczącym i umacniającym tę więź jest symboliczna grafika pt. „W szklanej trumnie”, która powstała z widziadła sennego, kiedy to Leon ujrzał Jadwigę na ... baśniowych marach. Fascynuje na tym miedziorycie gwaździste niebo, miasto na górze (Biblia!), płonący znicz, otwarta księga, maski Melpomeny i szczeblinowe okno ujęte w klasycystyczną ramę portyku. Dużo na tych grafikach i w tych wierszach klasycyzmu, zarówno w wydaniu plastycznym („Kolumny stały się kochankami Twoich rąk”), jak i literackim. Bo autorka „Zamkniętych w słowach” uprawia poezję na wzór starożytnych i ich renesansowych, a później romantycznych następców – symboliczną, o fundamentalnych problemach, z powściągliwym patosem. Przyznaje się do muzy o janusowym, podwójnym obliczu: „muzy pieśni urodzaju słowiańskiej i greckiej”. Doprawdy, ale do podręczników historii sztuki winien wejść ten oto wiersz:

Klasycyzm (1941)

Te białe kolumny są przyjazne Wilnu
Weszły w nasze miasto aby je rozbielić
Dążą wzwyż ku światłu ojczyzny ziemi
Jak wszystko co do nieba rośnie
Nigdy nie traci jasności
Jak człowiek jeśli nawet upadnie

Okazuje się, że częścią owego magicznego Kosmosu, a może nawet bramą do niego jest przedziwne miasto Wilno, co jako Wielki Mistrz Bractwa Inflanckiego mocą swego urzędu potwierdzam. Zatapia się więc podmiot liryczny nie tylko w roślinach („po ścieżynkach deptała tarnina”/ Przed nami za nami szła w bieli”), nie tylko w „architekturze twardej”, ale i w Wilnie jako fenomenie, zjawisku o randze światowej i kosmicznej oczywistości, nie mówiąc już o „architekturze przyrody”. Ma świadomość, jako chrześcijanka spod Ostrej Bramy, że jest to pogaństwo najczystszej wody, ale cóż... Przecież ów hiper – rzymsko-katolicki, bo wykwiłtnie barokowy kościół pw. św. św. Pio-

tra i Pawła na Antokolu w istocie swojej jest wielce starożytno-pogański (ach, to nagromadzenie symbolicznych fetyszy stiukowych i łacińskich zakłęb!), choć tylko pozornie zdaje się stawać człowiekowi na przeszkodzie w jego panteistycznej drodze do gwiazd:

Gwiazdy nad Wilnem (1943)

Gwiazdy nad Wilnem nas prowadzą
I nic już nie ważne krom przeznaczenia
Umieściłeś mnie Leonie w swoich obrazach
W zakłętym kręgu miasta nad Wilią
I nigdy już z niego wyjść nie zdołam
Chociaż na drodze stanął Piotr i Paweł

A jednak autorka „Dziwnego ogrodu” nie byłaby kobietą, gdyby nie zadrżała, czy nie okazała słabości (na wzór żony Lota). Wykryć ją, czyli kobiecą słabość, można w historiozoficznym wierszu „Na drugą stronę”, w którym przewiduje utratę Litwy, a tym samym zubożenie Polski (ciekaw jestem co poetka powie o kolejnym obciążeniu naszego stanu posiadaniu przez tę cholerną Unię Europejską?). Tylko w Wilii, a więc w swojej kołysce, czuje się dobrze, tylko tu potrafi żyć:

Na drugą stronę (1944)

LEONIE gdzie jest nasza Polska?
Mieszkała przez wieki pod Krzyżami
Potem się skryła w Ostrej Bramie
Nie chcę płynąć na drugą stronę
Nie znam innych rzek ja utonę

Czyta się ten zbiór dobrze (szczególnie o zmierzchu) i chłonie się z niego kosmiczną moc wiecznego życia. Czuć także swobodę, nieskrępowanie, i konwencjami, i rygorami życia, co można osiągnąć tylko w pewnym, bardzo już dojrzałym wieku. Pod względem tej kosmicznej lotności „Miedzioryty” J. Badowskiej-Muszyńskiej podobne są do „Punktu” D. Kostewicz („Akant” 2003, nr 8, s. 50). ✎

Jadwiga Badowska-Muszyńska, *Miedzioryty*, Biały-stok 2003, Nauczycielski Klub Literacki, ss. 60

HOTEL DLA LITERATÓW!

Hotel „Centralny” w Bydgoszczy posiada ciepły klimat pensjonatu. Opiekuje się swoimi gośćmi, urządza dla nich wyjazdy w atrakcyjne miejsca, jest w stanie zorganizować różne imprezy, w tym sympozja i spotkania autorskie.

Nocowali u nas:

Zofia Nałkowska, Leon Kruczkowski,
Ernest Bryll, Adriana Szymańska,
Jolanta Baziak, Teresa Kowalska,
Kazimierz Braun, Tadeusz Lira-Sliwa,
Krzysztof Bilica, Janusz Mrzygod,
Maciej Andrzej Zarębski

Ceny od 108 zł (pokój jednoosobowy),
od 165 zł (pokój dwuosobowy),
od 260 zł (apartament) za osobę.

Przedsiębiorstwo Hotel „Centralny”
ul. Dworcowa 85, 85-010 Bydgoszcz
tel. (052) 322 88 77, 322 88 76,
fax 322 88 70



Raz na miesiąc, w trzeci wtorek,
w godz. 18.00-20.00 spotkanie
Klubu Polskiej Książki.

Organizator: Michał Krzemkowski
tel. 052/3796-789

Tadeusz Lira-Śliwa

Poeta świata

RATNASIRI SURIYA ARACHCHI (SURI): „Między rzeką a rzeką”. – Egzotyczne nazwisko autora. Poetycki tytuł książki.

R. S. Arachchi (Suri) urodził się w Sri Lance (dawna nazwa: Cejlon). Jest absolwentem dwóch uczelni: University of Sri Jayawardenapura w Sri Lance i Akademii Ekonomicznej w Katowicach. Jako poeta debiutował w 1982 roku w Sri Lance; w 1989 roku w Polsce. Obecnie Suri jest mieszkańcem Rudy Śląskiej; pracuje w Instytucie Metali Niezależnych w Gliwicach. Swoje wiersze publikuje w prasie regionalnej i ogólnopolskiej. Suri jest laureatem licznych konkursów literackich, m.in. X edycji Tyskich Spotkań Kulturalnych „Śladem pegaza” (1999).

Z powyższej notki można wywnioskować, że Suri pisze wiersze w języku polskim... Poeta pamięta najpiękniejszy dzień swojego życia literackiego w Polsce. Wydarzył się w 1994 roku, gdy jego starszy syn miał dwa lata. Suri napisał wtedy wiersz („Jaś”), w którym urodził się jako poeta piszący po polsku. Ten utwór liryczny – poświęcony synowi z okazji jego drugich urodzin – Suri napisał po syngalesku (ojczysty język Sri Lanki); przełożył go na polski, gdy Jaś miał pięć lat.

Suri pisze w „Słowie poety”, że polscy przyjaciele namawiali go, żeby wydał zbiór wierszy. Poeta był świadomy odpowiedzialności artystycznej; nie chciał wydawać czegoś „tytułem uzupełniającego zdania” (s. 5). Suri pragnął dobrze rozpoznać fakturę języka polskiego. Dlatego uczestniczył w warsztatach poetyckich oraz w konkursach literackich. Autorem tomiku pt. „Między rzeką a rzeką” jest w jakimś stopniu... żona poety (uczyła go języka polskiego).

Jest jeszcze jedna „językowa kwestia”. We wspomnianym tomiku znajdujemy tłumaczenie wierszy na język niemiecki (Rita Dubas). Ta „dwujęzyczna propozycja” nie powinna nas dziwić. Autor mieszka na Górnym Śląsku. – Najważniejsze jest to, że Suri stał się mieszkańcem Polski. Można powiedzieć, że poeta zaczął czuć i myśleć „po polsku”.

Zdolność przystosowania się „egzotycznego poety” do nowych warunków (społecznych, kulturowych, literackich, etc.) zasługuje na szczególną uwagę. – Czy „poeci świata” mają podobne geny?... Chyba tak. Suri odwołuje się w swoich wierszach do szerokiego spectrum znaków i mitów kultury śródziemnomorskiej. Już sam tytuł książki nawiązuje do tych odwiecznych tropów.

Heraklit z Efezu, filozof joński (VI-V w. p.n.e.), uważał, że zasadniczą własnością przyrody jest jej zmienność. Obrazem rzeczywistości miała być rzeka... Wszystko płynie („panta rhei”), nic nie trwa, „niepodobna wstąpić dwukrotnie do tej samej rzeki”. W tych poglądach Heraklita zawarta jest myśl, że we wszystkich zjawiskach otaczającego nas świata występują sprzeczności i że te sprzeczności nie wykluczają harmonii.

Autor tomiku pt. „Między rzeką a rzeką” jest wyznawcą filozofii Heraklita. W tytułowym utworze (i w innych wierszach zbioru) wszystko jest zmienne, ale przez to właśnie istnieje coś stałego, a mianowicie... zmienność:

*płynęła tędy rzeka mała
płynie tędy rzeka inna
szedł ktoś rzeki brzegiem
chodzi ktoś nie tym samym
(...)*

*blękit przemienia się w mętność
mętność blękitniej
przemijają chmury nad wodą
fale się rozbijają o brzeg*

*jakby nie rozróżniały
śmierci i narodzin*

(„Między rzeką a rzeką”, s. 57).

Wspomniana zmienność jest stałą własnością świata. Stały jest też porządek, według którego dokonuje się przemiana. Suri, podobnie jak Heraklit, uważa, iż jedno prawo rządzi wszystkimi przemianami zarówno w odniesieniu do człowieka, jak i wszechświata. Tym prawem jest logos (rozum). Dzięki niemu przyroda nie jest chaosem, a uporządkowaną harmonią. Rozum jest siłą kosmiczną, a nie tylko ludzką.

Suri zna kulturę i sztukę europejską. W jego utworach jest wiele aluzji literackich:

(...)
*naprzeciwko w kamienicy
samotna dziewica
w balzakowskim wieku
czeka na Godota*

(„*** pośrodku nocy...”, s. 47)

W wierszach poety są również „polskie troje”. Suri osobiście doświadcza skutków tak zwanej transformacji gospodarczej (... i to na Górnym Śląsku!). Autor tomiku pisze, że pogania go „czynsz/ za wynajęty pałac/ w kieszeni grzeje rachunek/ za energię elektryczną” („*** codziennie jadę windą...”, s. 39). Poeta nie widzi „za oknem/ rycerzy, królów. Zaręczonych z królowkami/ ani biedronek latających do nieba/ ani aniołów” („Wiersz na dobranoc”, s. 11). W Rudzie Śląskiej mieszkają „ci czarni”:

(...)
*to nie diabyły
górniki i kominarze po pracy
za nimi ledwo idzie pani listonosz
w towarzystwie kulawej emerytki*

(s. 11)

W takiej rzeczywistości „istnieje poeta”: „ból jak krew/ przepływa we mnie” („O istnienie poety”, s. 13). Suri przeprasza swojego młodszego syna Kamila, że nie potrafi pisać tak, jak inni twórcy (... ze śląskiej szkoły poezji?) o „krajnie czarodziejów” („Wiersz na dobranoc”, s. 11).

Godnie uwagi jest to, że autor demonstruje w swoim tomiku autentyczne walory warsztatu poetyckiego. Jego wiersze są oszczędne, prawie lakoniczne: „w zwiędłych kwiatach/ na grobie/ szuka nektaru/ motyl” (czterowiersz bez tytułu, s. 64). Suri jest „lapidarnym wizjonerem” (formuła Kazimierza Wyki). Można powiedzieć, że autor debiutanckiego tomiku holduje poetyce Zbigniewa Herberta i Tadeusza Różewicza. W wierszach poety napięcia między obrazami są najczęściej wynikiem zderzenia „gotej rzeczywistości” z nagłą tajemnicą:

*od dawna znosi jaja w sobie
gra jak Weronika u Kiesłowskiego
nawet nie wie
kiedy przychodzi czas na wylęg
gdy wychodzi tajemnica-kurczątka
obok umiera ktoś jak skorupka
(„Wylęg”, s. 83)*

W poezji Suriego słowa są pojęciami i obrazami; znaczą więcej, niż znaczą. Taką nadwyżkę możemy znaleźć w krótkim wierszu pt. „Ja-pociąg”: „czemu/ zakwitłaś/ pomiędzy/ torami” (s. 101). Należy dodać, że wiersze autora debiutanckiego tomiku zakwitły... w Polsce. R. S. Arachchi (Suri) jest dobrym poetą („żniwiarzem”): „od wylewu studni oczu/ gleba wilgotnieje” („Pieśń żniwiarza”, s. 97). Ten „wylew studni oczu” nie jest „nagim” wyznaniem; tworzy coś więcej: poetycki model świata.✽

Ratnasiri Suriya Arachichi (Suri), Między rzeką a rzeką; R. S. Arachchi, Ruda Śląska 2003, ss. 104.

Robert Czop

Tu, w górach zbudujemy dom

Pamiętam jak dziś, kawiarnia w Ustrzykach Dolnych i spektakl Teatru Oreleckiej Młodzieży „TOM-90” (reż. Grażyna Chrapko) poświęcony poezji Jerzego Harasymowicza.

Gościem honorowym, oprócz Janusza Szubera, była wówczas Maria Harasymowicz, która wspomniała o wielkiej miłości jej męża do Bieszczad. Najbardziej utkwiły mi w pamięci słowa o „domu”, o którym tak przekonująco pisał autor bieszczadzkiej wierszy, że wielu uwierzyło, iż istnieje on naprawdę.

W tym roku został wydany przez Wydawnictwo BOSZ zbiór wierszy „Bieszczady”, gdzie we wstępie żony poety odnalazłem wypowiedziane wówczas te same słowa. Wprawdzie od dłuższego już czasu myśli się o tym, aby wybudować dom twórczy, poświęcony właśnie temu twórcy, gdzie mogliby się spotykać artyści związani z bieszczadzką krainą, ale czy o taki dom chodziło poecie?

Niewątpliwie JERZY HARASYMOWICZ bardziej cenił sobie piękno tego zakątka, niż urok miast: *Zawsze kiedy tam wracam / Siedzę na ławce z książeczką / I szumią brzoź kropidła / Dalekie miasta są niczem.* Zachwycał się krajobrazami, kochał lasy i góry, rejestrował zjawiska, które go oczarowywały: *Kto wejdzie / Na tę górę / Wyciera ręce / W błękitny ręcznik / Zachwyceni.* Z wielkim szacunkiem podchodził do przeszłości tej ziemi, pochylał się nad jej cierpieniem i ubolewał, że tak bardzo krwawiła. Jak przykre były widoki pozostawionych ruin cerkwi i cmentarzy, mówił o tym zamieszczone w tym zbiorze między innymi wiersze: *Bieszczady – Bystre, Hoszów, Rze-*

pedź, Komańcza oraz Ruiny cerkwi. Żernica II Bieszczady:

*Wystarczy
coś powiedzieć
wyjść z cerkwi
i runie
gwiazdne sklepienie
bo to się trzyma
wszystko
na skrzydle jaskółki
między ziemią
i niebem*

Po tym jakby wprowadzeniu, można przypuszczać, że Jerzy Harasymowicz myślał o „domu”, który nie byłby ograniczony jakimikolwiek ścianami, ponieważ wówczas straciłby to, co właśnie w nim jest najcenniejsze – piękno krajobrazu i historia. Już chociażby spis materiałów w wierszu „Burzliwa pogoda”, z których ma zostać wybudowana ta budowla, uświadamia nam, że nie o zwykły dom tu chodzi: *Tu w górach / zbudujemy dom (...) / Materiał zwieziony / sztaby gromów (...) / Pod fundamenty domu / niebo z chmur.* Sądzę, że najbardziej trafną definicję tej niezwyklej budowli podał Antoni Dąbrowski w innym zbiorze poezji Harasymowicza *Dom z wiatru i mgieł: Do domu z wiatru i mgieł, którego nie ma i który jest wszędzie. Związczą tam, na połoninach.*

Książka „Bieszczady” wydana przez Wydawnictwo BOSZ, zadziwia nas nie tylko pięknem poezji, której wybór dokonali Maria Harasymowicz i Janusz Szuber, ale także fotografiami Ryszarda i Zygmunta Naterów, nostalgicznymi bardzo. ✽

Jerzy Harasymowicz, Bieszczady, Olszanica 2003, Wydawnictwo BOSZ

Stefan Pastuszewski

Zostały rytmy, rymy...

Drugi zbiór wierszy WISŁAWY SZYMBORSKIEJ pt. „Pytania zadawane sobie” jest mniej spójny od pierwszego („Dlatego żyjemy”), pełen chaosu myślowego, ale też – jakby – w zamian – eksperymentów artystycznych. Zdaje się być tygłem, w którym gotuje się nowy napój; na tym etapie (pełnego wrzenia), nie wiadomo jeszcze jaki. Poetka sięga po różne tematy, wśród których dominują lekturowe („List Edwarda Dembowskiego do ojca”, „Malowidło w Pałacu Zimowym”, „Rozmowa ze sceptykiem”, „Ucieczka”, „Wyspa syren”), a większość z nich to „mądrości” prasowe, co podważa tezę S. Jurkowskiego („Akant” 2003, nr 10, s. 52), że autorka „Wołania do Yeti” nie uprawia ani publicystyki ani donosu. Mamy też dwa utwory będące jakby efektem obserwacji innych ludzi („Wstępującemu do Partii”, „Do zakochanej nieszczęśliwie”), ale co najważniejsze – aż pięć („Ten dzień”, „Pytania zadawane sobie”, „Rozgrywana muza”, „Zakochani”, „Klucz”) należących do tak zwanej liryki bezpośredniej. Wprawdzie jeden z nich pt. „Ten dzień”, nawet niezły artystycznie i bardzo sugestywny, co dowodzi autentyczności przeżycia, powstał pod wpływem śmierci Stalina (cytowany w całości: „Akant” 2003, nr 11, s. 32), to jednak aż dwa dotyczą miłości partnerskiej a nie platoniczno – ideowej i są naprawdę piękne („Zakochani”, „Klucz”). Przytoczmy fragment jednego z nich:

Tacyśmy zadziwieni sobą,
Że cóż nas bardziej zdziwić może?
Ani tęcza w nocy
Ani motyl w śniegu.

Załamuje się jednak rozmywa, szczególnie w „Kluczu”, ta spontaniczna bezpośredniość; autorka wykazuje bowiem nieprzewidywalną skłonność do ujmowania swych uczuć i myśli w twarde kleszcze dyscypliny słowa. Być może nie chce zbyt daleko odejść od świetlistej drogi socjalistycznego posłannictwa, które wymagało od swoich wyznawców, a autorka „Soli” należała przecież do ich pierwszego szeregu, zgrzebności, chłodu uczuciowego, poświęcenia spraw osobistych sprawom wspólnym. Nie jest jej jednak, trzydziestolatce, z tym dobrze. W bardzo interesującym, bowiem dialogującym z samym sobą, trochę nawet jakby samobiczującym się wierszu pt. „Pytania zadawane sobie” wyczytać można bolesną, ale już na pewno pełną wrażliwości kwestię:

Współodpowiedzialna
za szczęście tysiącleci –
czy nie lekceważysz
pojedynczej minuty,
lzy i skurczu twarzy?

Doprawdy, ileż tu ironii, sarkazmu wręcz, wobec komunistycznego imperatywu „budowy nowego świata” za wszelką cenę! Podobnie jest z niezwykłym traktatem, filozoficznym bez mała, o postępie. Coś mi się wydaje, że prawdziwym alter ego autorki „Chwili” nie jest „Ja” (traktat ma kształt dramatycznego dialogu), ale „On”, który mówi:

Postęp to ładne słowo
Traktorem plóg zastąpić,
a gruzy cegłą nową...
Ale człowieka zmienić –
- o duże śmieszne dzieci,
łatwiej namówić księżyc,
by własnym światłem świecił!

Nawet gdyby rzeczywiście takiego skrzyżowania ról w tym utworze nie było, to już sam fakt, że autorka „Dlatego żyjemy” przytoczyła

czyjeś (?) zwątpienie co do „stworzenia nowego człowieka” (Lenin jako „nowego człowieczeństwa Adam” z tomu „Dlatego żyjemy”) jest nie lada odwagą, ale też świadczy, że przez te dwa lata od wydania pierwszego, jednoznacznego w swej wymowie, zbioru wierszy agitacyjnych, sporo zaszło w jej świadomości i zaczęła widzieć a nie tylko patrzeć (s. 15). Niemniej w omawianym zbiorze znajduje się kilka utworów jawnie propagandowych, choćby przytoczyć „List Edwarda Dembowskiego do ojca”, będący jakby usprawiedliwieniem dla ZMP-owców odmawiających posłuszeństwa rodzicom albo wręcz – jak Pawka Morozow – donoszących na nich. (W utworze tym zawarty jest równocześnie dość przekonujący nawet dziś wywód o nierównościach klasowych i konieczności zaprowadzenia sprawiedliwości społecznej).

Wiersz pt. „Wstępującemu do Partii” stanowi jakby przepytówkę ze strony egzekutywy kierowaną do kandydata do PZPR. W przepytówce tej objawiony został model młodego komunisty oparty o takie cechy jak szczerłość, surowość „niczym płomień”, nadzieja, miłość (do partii oczywiście), która nie powinna nigdy się zmienić w „chłodne sprzyjanie” (już wtedy dostrzegano grzech karierowiczostwa i koniunkturalizmu), nieunikanie trudu. Spotkanie z egzekutywą kończy się przepyszny hymnem ku czci PZPR:

Partia. Należać do niej,
z nią działać, z nią marzyć,
z nią w planach nieulękłych,
z nią w trosce bezsennej –
wierz mi, to najpiękniejsze
co się może zdarzyć
w czasie naszej młodości
- gwiazdy dwuramiennej.

Indoktrynacja prowadzona przez W. Szyborską nie zawsze jednak jest tak czysta i sugestywna. W wyjątkowo nieudany (chaos myśli, banalne nawiązanie do „Odysei”) wierszu pt. „Wyspa syren”, tym nieszczęsnym istotom (cóż to za kobieta, która nie ma nóg, będących przecież, szczególnie po depilowaniu, jednym z głównych nośników seksu!), poetka przypisuje całe zło tego świata, a już na pewno fałsz. Odys wraz z towarzyszami urasta natomiast do rangi rewolucyjnego bojowca:

To, o czym mówię,
ma jeden adres,
wyraźny adres.
Płyną przez morza
piękne jak zorza
czerwone żagle.
Próżno się wyspy
Spowijać chęć
w mroki i ciszę:
pięść zaciśniętą
podnosi Odys
i towarzysze.

Rodzi się „nowy świat”, stary, spowity w mroki i ciszę, jest już tylko wyspą skazaną prędzej czy później na unicestwienie („Malowidło w Pałacu Zimowym”):

Więc zapadaj się jak w topiel w głąb
zwierciadła,
jazdo moru, jazdo głodu, pańska jazdo,
z każdą chwilą podobniejsza do widziadła,
kawalerio kapitału, na dno, na dno.

Zadziwiające jak autorka „Soli” potrafi operować w szerokim diapazone emocji: od łagodnego liryzmu erotycznego, poprzez zdyscyplino-

wany wywód traktatowy, do pełnego wściekłości i nienawiści – ataku na imperialistycznego wroga („to burza, która wzbiera się w Białym Domu!”, s. 30). Doprawdy, ale ta nienawiść, do której podmiot liryczny przysposobił się w poprzednim tomie (wiersz „Z Korei”) okazała się dla autorki „Wołania do Yeti” bardzo generatywnym napędem, co widać w wierszu pt. „Jako matka”, w którym zastosowała – jakże typową dla siebie – lirykę roli:

Mój gniew
nie jest ani wątki, ani ciasny –
gniew kobiety,
która nie ma dzieci własnych. (...)

Grób poległym
kopie syn mój złotolity.
Co robicie z moim synem,
napastnicy? (...)

Choćbym matką jestem tylko
samożwańczę,
nic nie chroni mnie przed bólem
rzeczywistym.

Jako matka
będą dzieci moich tarczą,
jako matka
będę strzałą w pierś faszysty.

W tym momencie po raz kolejny trzeba powołać się na czyste fakty, którym usiłują zaprzeczyć S. Jurkowski i A. Makles („Akant” 2003, nr 10, s. 51-52; nr 11, s. 31) pisząc, iż autorka musiała coś tam podpisywać ze strachu, że zniszczą, albo po prostu z wiary naiwnej. Przynajmniej po śmierci Stalina w 1953 roku nie było „twórczego przymusu” (czy kiedykolwiek on był?), dowodem czego może być zbiór Mieczysława Jastruna pt. „Poezja i prawda” (1955), w którym są wprawdzie wiersze antywojenne i antyhiroszimowe, lecz nie ma trywialnej agitacji komunistycznej.

Najciekawsza w omawianym zbiorze jest forma – pulsująca, zmienna, zapowiadająca przejście z sylabotoniki do wiersza wolnego, nie pozbawionego jednak rytmu, własnej a nie narzuconej przez podręczniki poetyki, melodii. W. Szyborska ma bowiem niesamowicie wyczuć słowa, zarówno w jego walorze znaczeniowym jak i brzmieniowym. Można nawet powiedzieć, iż jest ono tak naturalne, tak intuicyjne, że nieraz aż ślepe, dowodem czego mogą być bezsensowne, ale piękne zestawienia, choćby wspomnieć zakończenie wiersza pt. „Klucz” (byłby najlepszym wierszem w całym zbiorze, gdyby właśnie nie ta, ni przypiaľ ni przytęłał, puenta):

Nie z kart, nie z gwiazd, nie z gwiazd,
nie z krzyku pawia
Taki horoskop się ustawia.

Autorka „Wszelkiego wypadku” też zaletą a równocześnie wadą przypomina Juliana Tuwima, który w przypływie zaskakującej szczerości powiedział o sobie, że genialnie pisze, tylko... nie ma nic do powiedzenia. Z autorką „Wielkiej liczby” nie jest może aż tak źle, bowiem wprowadziła do liryki polskiej filozofię małych, ale równocześnie wielkich rzeczy, tudzież, utrzymana w tonacji antyromantycznej a zarazem na wodzy umysłu, sceptyczny ogląd świata i siebie. Bywa jednak, że niewiele z jej wierszy – kamyków (ulubiony rekwizyt poetycki autorki „Stu pociech”; w omawianym tomie znalazło się takie oto sformułowanie: „Kamień leżący na dnie rzeki oglądam i kształt jego badam”, s. 35), da się wycisnąć, jak to ma miejsce w najnowszym tomie „Chwila” („Akant” 2003, nr 7, s. 58-59).

Poezja J. Tuwima i W. Szyborskiej, a do tego dodać A. Ważyka i M. Białoszewskiego, jest dość jałowa treściowo, ale za to błyszcząca, co raczej podoba się kobietom, tak przecież wrażliwym na błyskotki (czy drogie kamienie posiadają jakąś treść, oprócz oczywiście swej historii, czę-

sto krwawej?). Ostatnio na łamach „Akantu” (nr 12, s. 5-7) objawiła się gorąca apologetka autora „Kwiatów polskich” – Sonia Watras-Langowska, która zapewne uwielbia też – na zasadzie podobieństwa – autorkę „Ludzi na moście”.

Zresztą czy poezja zawsze musi porażać myślą? Wystarczy, że uczyni to urodą takich metafor, jak porównanie dętych słów do „duńnięcia pustych skrzyń, grzechotu szczerbatego dzbana” (s. 6), ukrycie imienia Stalina pod figurą „na sztandarze rewolucji profilu czwartego” (s. 11), zbudowanie nastroju niedzielnego przedpołudnia – kiedy to dwudziestoletni robotnik pisze wniosek o przyjęcie do PZPR – poprzez „słońce, które brzęczy u okien” (s. 13), „zawziętość jak mrowisko” (s. 19), „spalone mosty spotkań” (s. 19), „rozgawędzona zieleni w lesie” (s. 27), „bukiety słońca nad strumieniem” (s. 27), „ziarno w kobiet biodrach” (s. 27), „cisza z wosku” (s. 28), „kokarda napalmowa” (s. 29), „piasek do ludzkich czaszek sypany przez syreny” (s. 31). Fascynują też takie obrazy i postacie jak „wzrok zmrużony chytrze w oknach dworów” (s. 7), „wzdychający ksiądz, który nabożnie patrzy w karty” (s. 8), autorka czyli sama W. Szymborska, po śmierci Stalina „dokoła patrząca łzami” (s. 11), sceptyk co do szans światowej rewolucji, a więc właśnie samotny z tego powodu i dlatego „gawędzący wieczorami ze swym odbiciem w lustrze” (s. 25) oraz

„drzewo z nagła powalone,
które za płytko wrosło w ziemię
któremu wyrwał wiatr korzenie
i jeszcze żyje cząstkę czasu” (s. 34)

Mamy więc zbiór 31-letniej poetki, będący tylko po części kontynuacją pierwszego, ale przede wszystkim, dość nieskoordynowanym, nie zawsze konsekwentnym rozwinięciem, zapowiedzianych tam cech jej poezji (liryka roli, ironia, traktatowość semantyczne niespodzianki, doskonałość eufoniczna, aliteracja). Właśnie te cechy zadecydowały o późniejszym sukcesie poetki, którym – niezależnie od poglądów filozoficznych i politycznych – jej i naszych – wszyscy się chlubiemy.

Niemniej w tym momencie muszę nieco skorygować swą opinię o braku zmysłu profetycznego u autorki „Ludzi na moście” („Akant” 2003, nr 11, s. 50-51). Poetka jednak przewidziała, że

kiedyś ból mi zada
piosenka moja,
że przyjdzie dzień i nagle
słowem zaprzeczy,
zostaną rytmy, rymy

Wprawdzie szło tam o „piosenkę” o miłości obłubieńczej, lecz tej i innym jej „piosenkom”, w tym o platonicznej miłości do Słońca Narodów, „dzień też zaprzeczył” i rzeczywiście pozostały po nich tylko rytmy, rymy. Niezłe zresztą. Godne Nobla. Bo taki już ten Nobel jest...*

Wisława Szymborska, Pytania zadawane sobie, Kraków 1954, Wydawnictwo Literackie, ss. 36.

Zdzisław Tadeusz Łączkowski A jednak wojna...

Wojna zawsze jest okrucieństwem i bezprawiem, gdyż nigdy nie będzie z człowiekiem, a zawsze przeciwko człowiekowi, jego wolności, godności w życiu. Wiele głosów było przeciwko wojnie w Iraku, a jednak 20 marca o 5.33 czasu bagdadzkiego (o 3.33 w Polsce) pierwsze amerykańskie pociski Tomahawk spadają na Bagdad.

W historii dobrego dziennikarstwa, historii światowej, nie kto inny, jak Ernest Hemingway zasłynął jako ten, który kierował się nade wszystko honorem. To piękna karta dziennikarstwa w ogóle. Dzisiaj tak trudno o honor, nie tylko w prasie.

Dlatego też z wielką satysfakcją, a także i niemalym wzruszeniem, choć temat książki – o której pragnę wspomnieć wzrusza boleśnie, będę pisał, o książce nieprzeciętnej, dwu dziennikarzy, reporterów, korespondentów wojennych Radia RMF FM, książce o znaczącym tytule „Bagdad 67 dni” – PRZEMYSŁAWA MARCA i JANA MIKURTY. Wspominałem o Hemingwayu i honorze pisarza i dziennikarza, gdyż relacje z Bagdadu w dużej mierze podejmują właśnie sprawę honoru, a nawet powiedziałbym i rycerskości.

Autorzy honor stawiają na bardzo wysokim miejscu. To nie przypadek, że na wstępie swojej publikacji mówią m.in.: „Za istotne uznaliśmy kwestie czysto militarne, informacje o ruchach wojsk, ich wyposażeniu, za ważne – ludzkie losy. Wojny to nie tylko czołgi, rakiety i samoloty. Wojny wywołują ludzie i ludzie są ich ofiarami”. W pełni należy się pod tymi zdaniem podpisać. To właśnie jest hemingwayowskie spojrzenie na wojnę.

Książka Przemysława Marca i Jana Mikurty – nieprzeciętna, gdyż mówiąc o bestialstwie wojny i bezprawiu wobec cywilnej ludności – mówi w sposób wysoce humanitarny. Jest z człowiekiem w biedzie, nędzy, upadku. Bagdad to przecież inna kultura, obyczaj. Czy można się dziwić, że ci, którzy jeszcze nie tak dawno czcili Saddama Husajna, dzisiaj, po wkroczeniu wojsk amerykańskich, niszczą, palą jego portrety i złorzeczą obalonemu władcy? Byli jego „uchem i okiem”. Mówili: „Duszę i krew oddamy za Saddama”. A teraz burzą i depczą pomniki „boskiego” tyрана. Obaj dziennikarze w znakomity sposób oddają klimat „przemiany” człowieka, który jest już poza strachem, poza lękiem, który wreszcie wraca do swej godności, który dotyka poprzez koszmar upokorzeń – prawdy o sobie, o świecie, o innych.

W książce „Bagdad 67 dni” czuje się solidarność rodzaju ludzkiego. I choć to czas wojny – to jednak narasta w człowieku budowanie, coś w rodzaju „ekologii duszy”. Narasta nadzieja, a nigdy pogarda dla jednostki. I to jest cenna obserwacja dziennikarzy, którzy przyjechali do Bagdadu, gdy ulice tętniły jeszcze życiem. To

jest cenny dar powołania i tego słowa należy tutaj użyć, bo obaj dziennikarze: Przemysław Marzec i Jan Mikurta traktują swoją pracę jako zaszczytne powołanie. Nie szukają sensacji, chociaż ona mimo woli pojawia się.

Poszukują człowieka obolałego, zniewolonego i pragną poprzez swoją pracę tego człowieka ocalać, przywracać do normalnego życia. Piękny, szlachetny wymiar humanizmu! Dla wojny nie istnieją ludzie, budynki, pomniki wszelakich sztuk. Jest tylko cel i ten ce należy zniszczyć!

Zastanawiałem się czy autorzy „Bagdadu 67 dni” nie czuli lęku? Przecież strach towarzyszy ludziom od zarania, podobnie jak chęć przygody i – śmiem twierdzić – jak miłość i śmierć. Ci dziennikarze niejednokrotnie znajdowali się w centrum bitewnym, w centrum wojennej osi. Groziło im więc to, co najgorsze, co w każdej chwili może nastąpić i nie będzie już wtedy odwrotu. Zły czas, który zabrał ich przyjaciela. Temu zabitemu przyjacielowi – Tarasowi Proczukowi, operatorowi z Agencji Reutera – poświęcają więc swoje dzieło. To także wzruszająca chwila – pamięć ludzka o tych, co odeszli.

„Ale czy dziennikarstwo to krew, pot i łzy?” – pytają reporterzy. I dalej: „Dziennikarz nie jest wojownikiem... W Bagdadzie nie było dziennikarskich popisów, były za to codzienne zmagania z ograniczeniami i cenzurą, ciągłe dążenia, by dać jak najbardziej prawdziwe świadectwo poglądów i uczuć w bombardowanej stolicy. Zadanie niezwykle trudne”. I jeszcze dalej: „... Najwyraźniej pamiętamy zmęczenie. Nie obawy, niepokój czy strach, lecz zmęczenie”.

Godne podziwu są te słowa, tak jak godna jest praca takich dziennikarzy z rozumem i sercem. To była piękna, odpowiedzialna i moralna misja do spełnienia, która została „czysto” wykonana. I proszę się nie dziwić, że „nawet na wojnie dziennikarze bywają sentymentalni”.

W tych relacjach jest też i miejsce dla Polaków, bo „Polacy są wszędzie”.

Są też miejsca w tej pożytecznej i mądrej książce, które budzą uśmiech czytelnika, jak choćby opowieść o Daszy, korespondentce rosyjskiego dziennika. Otóż Dasza zwraca na siebie uwagę swoim strojem i wyglądem. „Podczas jednego z pierwszych nocnych nalotów – siedzieliśmy w czwórce w naszym pokoju. Dasza była coraz bardziej nerwowa. Raz po raz powtarzała, że musi natychmiast jechać do położonego w rządowej dzielnicy hotelu Al. – Mansur.

Nie mogliśmy opanować zdziwienia.

- Dasza, to samobójstwo! Właśnie tam spadają teraz bomby.

- Muszę tam pojechać, natychmiast – nie ustępowała”.

Okazało się, że chodziło o sukienki z Paryża, włoską torebkę i kilka innych, równie cennych części garderoby. Na szczęście hotelu nie zbombardowano i rano Dasza odzyskała dobry humor. Garderoba bez uszkodzenia została przewieziona do hotelu „Palestyna”.

Już na zakończenie, informacja: Autorzy omawianej książki byli także, jako korespondenci, w Pakistanie i w Afganistanie, gdy upadał reżim Talibów. Przebywali, jako jedyni polscy reporterzy na amerykańskim lotniskowcu w Zatoce Perskiej. Jan Mikurta w październiku 2002 roku „na żywo” relacjonował przebieg akcji odbicia zakładników z moskiewskiego teatru na Dubrowce.

Książka o Bagdadzie ma jeszcze jeden, bardzo zasadniczy walor: została napisana prostym językiem, bardzo przystępnym dla każdego czytelnika, chwilami wręcz językiem skrótu. Wszystko to bogaci tę pracę reporterską i czyni ją jeszcze bardziej strawną.*

Przemysław Marzec, Jan Mikurta, Bagdad 67 dni., BOSZ, Olszanica 2003, ss. 152.



**SPECJALISTYCZNE
USŁUGI MIESZKANIOWE**

- KONSERWACJA, NAPRAWY, WYMIANA WIND OSOBOWYCH I TOWAROWYCH
- OPOMIAROWANIE CIEPŁA I WODY
MONTAŻ URZĄDZEŃ REGULACYJNYCH
- PROJEKTOWANIE BUDOWNICTWA
- SPRAWOWANIE FUNKCJI INWESTORA
ZASTĘPCZEGO, NADZÓR BUDOWLANY
- KAŻDY WŁAŚCICIEL I ZARZĄDCA
MOŻE ZLECIĆ **POBUDOWI** ZADANIA
Z POWYŻSZYCH ZAKRESÓW

POBUD sp. z o.o.
PRZEDSIĘBIORSTWO ORGANIZACJI BUDOWNICTWA
85-868 Bydgoszcz, ul. A.G. Siedleckiego 14,
Telefony: (052) 371 37 82, (052) 371 37 84, (052) 371 37 86, (052) 371 66 82, telefax: (052) 371 37 85

Nowe tytuły

Jan Marian Gulak, Życie jest poezją, Księga III, Kielce 2003, Wydawnictwo Autorskie, ss. 232; Księga IV, ss. 388

Rafał Jaworski, Wierni i wybrani, Tychy 2003, Wydawnictwo Autorskie, ss. 40

Zygmunt Królak, Polska wobec wyzwań globalizacji i integracji, Warszawa 2002, Dom Wydawniczy „Elipsa”, ss. 268

Eugeniusz Kurzawa, Wciąż nowa prywatność, Zielona Góra 2003, Wydawnictwo „Kropka”, ss. 56

Red. Stanisław Leon Machowiak, Krobia i Pudziszki słowem malowane, Krobia 2003, Urząd Gminy, ss. 36

Eryk Ostrowski, Ludzie, których obecność wystarczy, Kraków 2003, Klub Artystyczno-Literacki Teatru „Stygmaty”, ss. 130

Joanna Salamon, Z życiorysu mojej kuzynki Anieli albo Poemat z dziejów Polski w dziewięciu obrazkach, Kraków 2003, Klub Artystyczno-Literacki Teatru „Stygmaty”, ss. 92

Ryszard Słowicki, Krok za cieniem, Szczecin 2003, Wydawnictwo Autorskie, ss. 36

Jan Szkaradek, Malarstwo i rysunek, Bydgoszcz 2003, K-PTK

Barbara Badowska-Muszyńska, Miedzioroty, Białystok 2003, Nauczycielski Klub Literacki, ss. 60

Red. Arkadiusz Bogłajewski, Myśli niepokornie białe, Lublin 2003, Centrum Kultury, ss. 104

Mariusz Cezary Kosmala, Pieśni z pierwszego piętra, Toruń 2003, Wydawnictwo Adam Marszałek, ss. 72

Maria Teresa Pokora, Strzępy wspomnień i przemyśleń, Bydgoszcz 2003, Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, ss. 176

Stanisław Stanik, Głuptaki, Warszawa 2003, Wydawnictwo „Planeta”, ss. 162

Urszula Małgorzata Benka, Kielich Orfeusza, Toruń 2003, Wydawnictwo „Adam Marszałek”, ss. 70

Jacek Bolewski, Sztuka u Boga, Warszawa 2003, Wydawnictwo „Rhetos”, ss. 312

Karolina Francis, Z chwil, Kraków 2003, Oficyna Konfraterni Poetów, ss. 56

Przestrzenie Poezji, Wiersze poetów polskich i tunezyjskich, przekład z arabskiego **Karolina Francis**, Kraków 2003, Oficyna Konfraterni Poetów, ss. 150

Wojciech Kajtoch, Doba. Wiersze i proza, Kraków 2003, Towarzystwo Słowaków w Polsce, ss. 62

Krystyna Królikowska, Dla mnie to wciąż jeszcze była miłość, Warszawa 2003, Wydawnictwo Autorskie, ss. 56

Dzień dobry, Redakcjo

Tak naprawdę to ja już sobie nie wyobrażam życia bez „Akantu”. Myślę, że nie tylko ja.

Edmund Pietryk

Publikacja w „Akancie” – jednym z najlepszych czasopism literackich w Polsce, to kolejny krok na literackiej drodze. Czy będzie ona miała miejsce – to już ode mnie nie zależy.

„Akant” jest ostoją polskiej literatury. Redakcja nigdy się nie spóźnia z kolejnym numerem. Czasopismo to nie jest nastawione na jeden temat, czy na jedną dziedzinę literatury. Za to dziękuję!

Życzę dalszej siły i nieugiętości w ocalaniu kultury.

Piotr Lewicki

Bardzo przyjemnie czyta mi się „Akant”, już chociażby z tego względu, że wielu autorów współpracujących z tym miesięcznikiem znam listownie a nawet osobiście: Lucjan Zuzia, Anna Błachucka, Karol Maliszewski, Janusz Orlikowski, Jolanta Stelmasiak, Tadeusz Lira-Sliwa. Czuję się więc prawie jak w rodzinie.

Robert Czop

Nawet nie przypuszczałam, że „Akant” jest aż tak popularny. W szybkim czasie, po ogłoszeniu mojego konkursu, przysłyły listy z całej Polski. A trzeba wiedzieć, że sama nikomu o tym nie mówiłam, bo kto nie czyta, wiedzieć nie musi. Kopię komunikatu (oczywiście już po ogłoszeniu w „Akancie”) dostała tylko „Łabuz” i poznański „Protokół Kulturalny”.

Do nic nie czytających (jak wnioskuję z listów) też jednak informacja ta dotarła, widocznie od tych, co czytają.

W Gdańsku, który nigdy z czytelnictwa nie słynał, aż trzy osoby (!) twierdziły, że kupiły „Akant” z racji mego artykułu „Kity elity, czady gromady”. Czy są elitą czy gromadą – nie badałam.

Ariana Nagórska

To oczywiście, że nie redakcji „Akantu” winą jest, iż miesięcznik nie dociera wszędzie. Tyle, że nasze wykrzykniki oburzenia nawet psu na budę się nie zdają w czasach absolutnego kultu pieniądza. I to jest ważny powód, by wbrew takiej mentalności, tudzież klajstrowaniu mózgowi i duszy przez nachalną kulturę (?) masową wydawać czasopismo o profilu literackim. Może to motyka na słońce, ale i to prawda, że kropła draży skałę – by posłużyć się przysłowiami.

Rafał Orlewski

Zawarliśmy bliższą znajomość z „Akantem”. Dobre pismo! Jedynie dziś literackie! Z dużym napięciem śledzę dyskusję o Noblistach.

Jacek Kajtoch

Restauracja „Kolumnowa”

zaprasza codziennie w godz. 7.00-23.00



Hotel „Pod Orłem”, ul. Gdańska 14, 85-006 Bydgoszcz
tel. (052) 583 05 30, fax (052) 584 02 24



Szef kuchni oferuje
dania kuchni polskiej i międzynarodowej.
Receptury niektórych dań sięgają stuletniej tradycji.

Organizujemy:

- ✓ bankiety ✓ przyjęcia ✓ szkolenia
- ✓ konferencje ✓ imprezy cateringowe

FUNDATORZY „AKANTU”

Jadwiga Badowska-Muszyńska	Barbara Matyszak
Maksymilian Bart-Kozłowski	Alojzy Michalski
Katarzyna Bohdanowicz	Czesław Mozydłarz
Teresa Borkowska	Bernard Najdek
Kazimierz Burnat	Daniela Niespodziana
Renata Cieszyńska	Anna Obuchowicz
Stawomir Stanisław Czarniecki	Kalixst Plechocki
Małgorzata Dobkowska	Wojciech Reszka
Irena Gąszcz	Józef Jacek Rojek
Andrzej Giersz	Antoni Skibiński
Monika Gładysz	Jan Stanisław Smalewski
Jerzy Grupiński	Krzysztof Stanisławski
Mieczysław Gryś	Danuta Sulikowska
Krystian Hadasz	Zbigniew Szwaja
Genowefa Jakubowska-Fijałkowska	Natalia Tadych
Teresa Januchta	Jan Adam Tomaszewicz
Antoni Kaniasty	Daromila Tomawska
Jacek Karolak	Barbara Tylman
Ludomir Kaszewski	Szczepan Warmiński
Mieczysław Kilian	Sonia Matras-Langowska
Eugenia Klak	Ireneusz Wieczorek
Danuta Kostewicz	Małgorzata Wojciechowicz-Lewicka
Hanna i Włodzimierz Krzemkowscy	Mieczysław Wojtasik
Zbigniew Kwieciński	Anna Zabacka
Ryszard Lisowski	Włodzimierz Zieliński
Ryszard Liszka	Andrzej Ziobrowski
Zdzisław Tadeusz Łączkowski	Tadeusz Ziobrowski
Marta Ewa Matuszek	Jan Zejmo

poligrafia MAGENTA

85-066 Bydgoszcz, ul. Konarskiego 2
tel./fax (0-52) 328 72 77
e-mail: magenta48@wp.pl

Oferujemy druk:

- książek,
- folderów, katalogów, wizytówek,
- listowników, ulotek reklamowych,
- kalendarzy, itp.

Rzadkie techniki:

- zanikający, ale szlachetny druk typograficzny,
- tłoczenie, wykrawanie, zlocenie,
- unikatowe introligatorstwo.

Zapewniamy
wysoką jakość naszych wyrobów!

MIESIĘCZNIK LITERACKI AKANT

Redaguje kolegium:

Jolanta Baziak – redaktor naczelny
Konrad Papala – red. wyd. internetowego
Artur Kubasik – redaktor graficzny
Andrzej Orylski – redaktor techniczny
Jolanta Papala – korektorka
Beata Anna Pokorska – redaktor
Katarzyna Wodecka – redaktor techniczny
Grzegorz Misiewicz – kierownik marketingu
Konto: PKO BP SA I/O Bydgoszcz
10201462-73033-270-11
Adres redakcji: ul. Dworcowa 51B/4
85-009 Bydgoszcz, tel. 052/321 33 71
tel./fax 052/371 40 90
✉ e-mail: akant@akant.telvnet.pl
Druk: MAGENTA, tel. 052/328 72 77
85-066 Bydgoszcz, ul. Konarskiego 2

RADA REDAKCYJNA:

Marek Pietrzak – przewodniczący
Michał Krzemkowski, Grzegorz Misiewicz, Wojciech Reszka,
Zdzisław Rozwada-Rulikiewicz, Mieczysław Wojtasik, Włodzimierz Zieliński

